

# ukradziona twarz

mieć 20 lat w Kabulu

latifa



wstrząsający pamiętnik młodej Afganki  
5 lat życia pod rządami talibów

ukradziona twarz  
mieć 20 lat w Kabulu

## Spis treści

1. Biała flaga nad meczetem
2. Kanarek w klatce
3. Trzy dziewczyny
4. Masakry i cuda
5. Trzy dziewczynki z Tajmani
6. Polowanie na latawce
7. Kto w Afganistanie ma głos?

زنده گی آخر سرايد بنده گی در کار نيست  
بنده گی گر شرط باشد زنده گی در کار نيست  
با حقارت گر بيارد برسرت باران دُر  
آسمان را گو برو بارنده گی در کار نيست

کتابی که در دست داريد شمه بی از حوادث جاری و گذشته زادگاهم  
افغانستان است که شاید این کتاب کلیدی باشد برای آینده زنانیکه تا  
بحال زبان نه گشوده اند و چشم دیدهایشانرا در قلب شان بسته دارند.

این کتاب را به آن زنان و دختران افغان که تا آخرین لحظه باعفت  
زیسته اند و به آن زنانیکه در وطن خود از حق و حقوق شان بی بهره  
هستند و در قرن بیست و یکم در تاریکی زیسته اند اهداء میکنم .  
اهداء به آن زنیکه بدون محاکمه در مقابل اطفالش و مردمش به ضرب  
گلوله شهید شد .

واهداء به مادرم که همیشه مبارزه و آزاد زیستن را برایم آموخته است.

Każde życie ma swój kres,  
Nie warto być uległą,  
Jeśli moje życie ma zależeć od poddania,  
Nic mi po takim zniewolonym  
Życiu.  
Niech nawet pada złoty deszcz,  
Powiem wtedy niebu:  
Nic mi po takim deszczu.

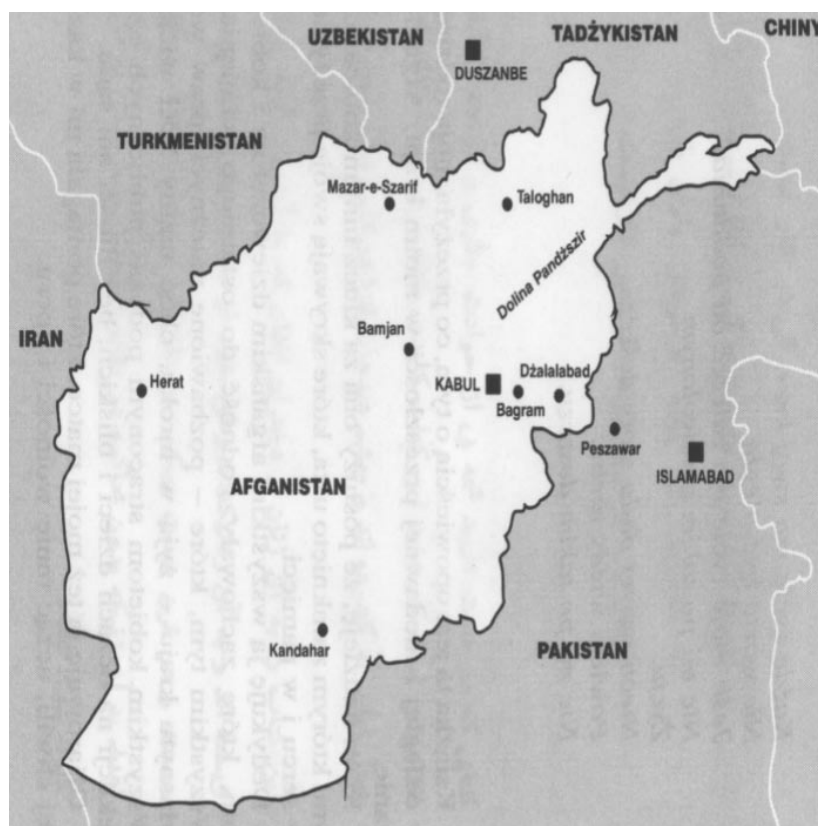
Książka ta jest opowieścią o tym, co przeżyła moja rodzina w odległej i niedawnej przeszłości w moim kraju, Afganistanie.

Mam nadzieję, że posłuży ona za klucz innym kobietom, tym, którym zamknięto usta, które skrywają swoje przeżycia w sercu i w pamięci.

Dedykuję ją wszystkim afgańskim dziewczętom i kobietom, które zachowały godność do ostatniego tchnienia. Wszystkim tym, które - pozbawione należnych praw we własnym kraju - żyją w mroku, choć mamy XXI wiek. Wszystkim kobietom straconym podczas publicznych egzekucji na oczach dzieci i bliskich, bez litości ani sądu.

Ofiarowuję ją też mojej matce, która pomagała mi w każdej chwili, ucząc mnie wolności i oporu.

LATIFA



Biała flaga nad meczetem

Dziewiąta rano, 27 września 1996 roku. Ktoś raptownie puka do drzwi. Rodzina siedzi jak na szpilkach, bo od świtu panuje nerwowa atmosfera. Ojciec zrywa się na równe nogi, a matka patrzy za nim z niepokojem; po nieprzespanej nocy rysy twarzy ma ściągnięte z wyczerpania. Nikt nie zmrużył oka. Strzały wokół miasta ucichły dopiero o drugiej nad ranem. Cały czas, w ciemności, z moją siostrą Sorają rozmawialiśmy szeptem i nawet kiedy zapadła cisza, nie mogliśmy na dobre zasnąć. A przecież przywykliśmy już w Kabulu do tego, że stanowimy cel dla pocisków raketowych. Chociaż mam dopiero szesnaście lat, wydaje mi się, jakbym je słyszała od zawsze. Od tak dawna miasto jest otoczone i bombardowane, a mordercze walki zsyłają na nas ogień i dym, czasem wypędzając nas do piwnic, że jeszcze jedna noc wypełniona tym hałasem nie robi różnicy!

Tak było do dzisiaj.

Tata wraca do kuchni, a za nim wchodzi nasz młody kuzyn Farhad, zadyszany i blady. Farhad jest cały rozedrgany, na jego twarzy maluje się strach. Mówi z trudem, słowa zderzają się na jego wargach w jakiejś dziwnej czkawce.

- Przyszedłem... dowiedzieć się, co u was! Wszystko w porządku? Nic nie widzieliście? Nie wiecie? Już weszli! Zajęli Kabul! Talibowie są w Kabulu! Nie było ich u was? Nie zażądali broni?

- Nie, nikogo nie było, ale zauważyliśmy, że biała flaga powiewa nad meczetem. Obawiamy się najgorszego, Daud spostrzegł ją rano.

Około piątej młodszy z moich braci, Daud, zszedł jak zwykle po wodę na parter bloku, ale wrócił pośpiesznie z pustą miską.

Chociaż brat mówił, że widział białe flagi, nie chciałam w to uwierzyć. Wolałam myśleć, że siły opozycyjne pewnie się wycofały, żeby lepiej przygotować się do walki, albo ukryły się na północy, na innym przedmieściu stolicy. Modżahedini nie mogli zostawić Kabulu. Tyle razy słyszałam zatrważające opowieści, czytałam niepokojące wiadomości. Wolałam jednak ignorować informacje radia Kabul: „Kobiety zamykają... Zabraniają im pracować, chodzić do szkoły! Nie ma dla nich życia, odbierają im córki, podpalają domy wieśniaków, mężczyźni na siłę wcielają do swoich oddziałów, talibowie chcą zniszczyć kraj!”

Jeszcze wczoraj, mimo ruin i wojny domowej, w Kabulu toczyło się „normalne” życie. Byłam z siostrą u krawcowej i mierzyłyśmy sukienki, które miałyśmy włożyć dzisiaj na wesele. Grałyby muzyka, tańczyłybyśmy! Życie nie może zatrzymać się ot tak, jakiegoś 27 września 1996 roku! Mam dopiero szesnaście lat i tyle jeszcze do zrobienia, przede mną egzamin wstępny na wydział dziennikarstwa... Nie, to niemożliwe, żeby talibowie zostali w Kabulu, to tylko stan tymczasowy.

Słyszę rozmowę ojca z Daudem, ale tak jestem poruszona, że docierają do mnie tylko strzępy.

- Nadżibullah jest Pasztunem jak oni! To nie do pomyślenia, że zabierają się za Pasztunów! W dodatku schwytali go w budynku ONZ! Powiesili go? To niewiarygodne!

Mój ojciec też jest Pasztunem, należy do najliczniejszej grupy etnicznej w kraju. Jak wielu innych, myślał, że jeśli zdarzy się nieszczęście i talibowie zajmą stolicę, to na pewno będą szukać Nadżibul-laha, ale nie po to, żeby go powiesić, tylko żeby go uwolnić i zaproponować mu udział w ich nowym rządzie!

Kabulczycy nie lubili Nadżibullaha, byłego szefa rządu, łatwo przechodzącego z jednego obozu do drugiego, niczym handlarze bronią i narkotykami krążący po pograniczu z Pakistanem. Ojciec osądzał go surowo i uważał za zdrajcę. Nadżibullah, skorumpowany przestępca, kierował afgańskimi komunistycznymi tajnymi służbami, ChAD-em, tym złowrogim odpowiednikiem radzieckiego KGB. Po ostatnim zamachu stanu w kwietniu 1992 roku, kiedy ruch oporu zajął Kabul, on po prostu uciekł! Wojsko schwytało go na lotnisku, gdzie zamierzał wsiąść do samolotu udającego się za granicę. Zmuszony do pozostania w kraju, schronił się w budynkach ONZ, w pobliżu placu Ariana, skąd nie wychodził aż do tego pamiętnego dnia 1996 roku.

Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy ten człowiek, na tym samym placu, gdzie został powieszony, wygłosił przemówienie wzywające partie ruchu oporu do Pojednania. Jeśli talibowie są zdolni do tego, żeby byłego prezydenta szukać w siedzibie ONZ, to znaczy, że rządzi terror i panuje chaos.

Kuzyn Farhad jest nadal pod wpływem szoku, nie chce być za długo poza domem.

- Gdybyś zamierzał wychodzić, musisz bardzo uważać, wujku! Widziałem, jak niektórzy z nich biją ludzi wielkimi różgami! Wyglądają strasznie, są ubrani jak Pakistańczycy, w długie, obszerne spodnie, jeżdżą dżipami, a kiedy się zatrzymują, biją tłum jak popadnie! Najchętniej mężczyźni bez brody. A ty nie masz brody!

On też nie nosi brody. Czy zapuszcza się brodę, mając szesnaście lat, kiedy chodzi się w dżinsach i adidasach? Gdy słucha się muzyki rockowej i marzy, oglądając sentymentalne filmy indyjskie?

Kuzyn Farhad jest nadal pod wpływem szoku, nie chce być za długo poza domem.

- Gdybyś zamierzał wychodzić, musisz bardzo uważać, wujku! Widziałem, jak niektórzy z nich biją ludzi wielkimi różgami! Wyglądają strasznie, są ubrani jak Pakistańczycy, w długie, obszerne spodnie, jeżdżą dżipami, a kiedy się zatrzymują, biją tłum jak popadnie! Najchętniej mężczyzn bez brody. A ty nie masz brody!

On też nie nosi brody. Czy zapuszcza się brodę, mając szesnaście lat, kiedy chodzi się w dżinsach i adidasach? Gdy słucha się muzyki rockowej i marzy, oglądając sentymentalne filmy indyjskie?

Brody mają wszyscy talibowie. Mówią, że muszą być tak długie jak dłoni. Nigdy nie wkładają tradycyjnego afgańskiego beretu, pakom, który stał się symbolem ruchu oporu. Zresztą, jak wiemy, nie wszyscy są Afgańczykami ani nawet Pasztunami. Wspierają ich Pakistańczycy, a werbunek prowadzą w różnych krajach. Jak można było zobaczyć w telewizji, a potwierdzają to świadectwa ludzi z zajętych przez nich prowincji, w ich szeregach znajduje się wielu Pakis-tańczyków, ale też Arabowie z krajów muzułmańskich, w większości niemówiący nawet naszym językiem.

Ojciec obserwuje ulicę z balkonu. Nad meczetem nadal powiewa biała flaga, w dzielnicy panuje względna cisza, ale w naszych głowach szaleje burza. Patrzymy na siebie, Farhad pośpiesznie wypija szklankę gorącej herbaty. Tata wraca z balkonu, potrząsając głową, nie dowierza, że talibowie powiesili Nadżibullaha.

Dziś rano nie pójdziemy z ojcem i naszym psem Bingo na jogging (W Afganistanie nie chodzono z psem na smyczy, pies w krajach muzułmańskich nie jest zwierzęciem mile widzianym, jest zwierzęciem rytualnie nieczystym, psa uważa się niekiedy za wcielenie diabła, siłę nieczystą. Psy były hodowane do walki lub do pilnowania stada (charty) - przyp. J.S.-D.). Dziś rano tata zadaje sobie w milczeniu tysiące pytań, które zachowuje dla siebie, żeby jeszcze bardziej nie niepokoić mamy, już i tak ciężko doświadczonej siedemnastoma latami wojny. Ja sama od urodzenia, od 20 marca 1980 roku, pierwszego dnia wiosny, zaznałam tylko wojny. Ale nawet za Sowietów, nawet pod ostrzałem pocisków rakietowych wrogich ugrupowań, wśród ruin, byliśmy wolni. Jakie życie ojciec będzie teraz mógł zapewnić bliskim? Jaki los czeka jego dzieci? Miałam to szczęście, że urodziłam się w kochającej się, zżytej, pobożnej i liberalnej rodzinie. Moja starsza siostra Szakila jest mężatką i, zgodnie z obyczajem, po ślubie zamieszkała u teściów. Mieszka w Pakistanie i czeka, aż mąż sprowadzi ją do Stanów Zjednoczonych. Soraja ma dwadzieścia lat, jest panną i już od trzech lat pracuje jako stewardesa w afgańskich liniach lotniczych Air Ariana. Przedwczoraj wróciła z rejsowego lotu do Dubaju i miała znowu lecieć dziś rano. Daud studiuje ekonomię, a ja zdałam właśnie pierwszy wstępny egzamin cząstkowy, chcę być chcę być dziennikarką. Marzę o tym od zawsze. Ojciec i cała rodzina mają nadzieję, że skończę studia i jako reporter będę jeździć po kraju. Czy wszystko to w jednej sekundzie zostanie przerwane?

Muszę pojechać na plac Ariana i zobaczyć, co się tam dzieje, siostra też chce mi towarzyszyć. Musimy się przekonać, czy talibowie są tam naprawdę, czy rzeczywiście powiesili Nadżibullaha i jego brata, czy klęska, w którą wczoraj nie chciałam wierzyć, spadła na nas rzeczywiście. Mój starszy brat Wahid, który służył w wojsku za okupacji radzieckiej, a później przeszedł za ich namową do oddziałów komendanta Masuda, mówił, kiedy talibowie zdobywali kolejne obszary na południu: „Nawet sobie nie wyobrażacie, jakie obce siły ich wspierają! Nikt w Kabulu nie ma o tym pojęcia. Są potężni, dysponują nowoczesnymi środkami, rząd im nie stawia czoła!”

Wtedy uważaliśmy go za pesymistę. Dzisiaj rozumiemy, że miał rację. Aby więc przekonać się, czy to prawda, chcę talibów zobaczyć na własne oczy.

Ojciec też. Daud zostanie z mamą, zbyt wrażliwą, żeby oglądać tego rodzaju widowisko, a my we trójkę pojedziemy samochodem. Farhad wróci na swoim rowerze solidnej chińskiej marki. Na odchodnym rzuca jeszcze ojcu:

- Nie powinniście wychodzić... Tak byłoby lepiej.

My jednak musimy być świadkami tego niewiarygodnego wydarzenia. Gdybym już była reporterem, moim obowiązkiem byłoby dotrzeć na miejsce. Nigdy nie widziałam Nadżibullaha, tylko kilka razy w telewizji, ale byłam wtedy taka mała... Ostatnio mówiło się, że pisze autobiografię. Nie mogłam się doczekać, kiedy ją przeczytam. Nawet zdrajcy kraju, poplecznicy Sowietów, stanowią część naszej najnowszej historii. Jeśli chce się być dziennikarzem, trzeba wszystkiego się nauczyć, wszystko zrozumieć, wszystko wiedzieć.

Obie z Sorają przezornie włożyłyśmy długie sukienki i czadory, których w domu używamy do modlitwy. Normalnie chodzę w spodniach jak do joggingu, w koszulce typu polo albo w swetrze i w adidasach. Tata idzie po samochód zaparkowany niedaleko domu koło meczetu. Farhad schodzi za nami po schodach z rowerem na ramieniu. Na dole czekamy na samochód. Zjawia się jeden z sąsiadów i pyta:



- Wiecie? Podobno Nadżibullaha powiesili na placu Ariana. I co wy na to?

Ojciec daje nam dyskretnie znak, żeby zachować ostrożność. W Kabulu, nawet w naszej dzielnicy Mikrorajan, nigdy nie wiadomo, z kim ma się do czynienia. Cztery nowoczesne osiedla w tej wschodniej dzielnicy miasta zbudowali Rosjanie, a tworzą one betonowe miasteczko wielkich bloków z własnym centrum handlowym i szkołą. Mieszkało tu wielu funkcjonariuszy afgańskiej partii komunistycznej, osiedla uchodziły za luksusowe, wygodniejsze od tradycyjnych domów. Większość mieszkańców zna się i my też oczywiście znamy tego sąsiada, ale kto wie, pod czym sztandarem kryje się dziś rano?

Soraja odpowiada roztropnie, ze zwykłym sobie spokojem i łagodnością:

- My też o tym słyszeliśmy, jedziemy zobaczyć, co się dzieje.

- Moja córka chętnie by się z wami zabrała. Farhad szeptem radzi Sorai, żeby się nie zgadzała:

- Lepiej nikogo nie zabierać, kto wie, co się tam może wydarzyć.

Farhad ma młodsze siostry. Wyrobił w sobie poczucie odpowiedzialności. Dziewczyna jeszcze próbuje, ale odmawiamy.

Ruszamy w kierunku placu Ariana. Siedzę z So-rają z tyłu i myślę o weselu, na które nie pójdziemy. Kiedy wspomniałam, że miałyśmy iść do krawcowej po sukienki, mama surowo przywołała mnie do porządku:

- Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co się dzieje, Latifo? W takiej chwili myślisz o sukienkach i krawcowej!

Wtrącił się ojciec:

- Odbiorę je później, nie martw się.

Dobrze wiem, że jestem córką zbyt wspaniałomyślnego ojca, nastolatką rozpieszczaną przez siostry... Do tej pory rosłam na wolności. Szkoła, uczelnia, basen, wypadki z koleżankami w poszukiwaniu kaset z muzyką, filmów wideo, wieczorne czytanie powieści w łóżku... Mam nadzieję, że bojownicy ruchu oporu nie zostawili nas na pastwę losu.

Tata zatrzymuje samochód na znak naszego znajomego aptekarza. Jego brat zajmuje wysokie stanowisko w rządzie.

- Dokąd jedziecie? Na plac Ariana? Odradzam.

- Chcemy to zobaczyć na własne oczy...

- Wobec tego później coś wam opowiem, kiedy będziecie wracać. Bądźcie ostrożni.

Na ulicach jest mniej ludzi niż zwykle, widać mężczyzn, ale bardzo mało kobiet. Widać, że ludzie są zszokowani. Twarze, które dostrzegamy po drodze, przypominają maski. A jednak, jak się zdaje, wszędzie panuje spokój. Po kwadransie dojeżdżamy do alei biegnącej od lotniska do placu Ariana wypełnionego już rzędami samochodów. To nowoczesne centrum miasta. Ojciec uprzedza nas, że bardzo szybko okrąży plac i zaparkuje gdzieś dalej. Przejeżdżamy przed ambasadą Stanów Zjednoczonych, gmachem telewizji, potem siedzibą Air Ariana. Wszystkie drzwi są zamknięte.

Soraja ma łzy w oczach:

- To tu pracuję, widzisz? Może już nigdy nie będę mogła tu przyjść... Nawet telewizja jest zamknięta...

Objeżdżamy plac do skrzyżowania z aleją Pokoju, gdzie wznosi się gmach ONZ. Naprzeciw nas budynek Ministerstwa Obrony, gdzie mieściło się biuro komendanta Masuda. A tam, vis-a-vis hotelu Ariana, najbardziej luksusowego w Kabulu, zarezerwowanego w zasadzie dla turystów i zachodnich dziennikarzy, wyrasta coś w rodzaju wieżyczki strażniczej, jakiej zazwyczaj używają policjanci pilnujący ministerstwa. Na tej zaimprovizowanej szubienicy wiszą oba trupy. Tata każe nam szybko patrzeć, bo drugi raz nie będzie objeżdżał placu.

- Przyjrzyjcie się dobrze twarzom, żebyśmy byli pewni, że to rzeczywiście Nadżibullah i jego brat.

To oni. Były prezydent Nadżibullah w tradycyjnym stroju afgańskim, a obok niego brat, w zachodnim garniturze. Pierwszy zawieszony na plastikowym przewodzie przeciągniętym pod pachami, drugi powieszony za szyję. Twarz Nadżibullaha daje się rozpoznać, choć jest sina, cała w krwawych wybroczynach. Prawdopodobnie zlinczowali go, a potem powiesili. Natomiast twarz brata, nietknięta, jest woskowo blada. W usta Nadżibullaha napchali papierosów, a w kieszenie banknotów, chodziło najwyraźniej o to, żeby pokazać jego chciwość. Wygląda, jakby wymiotował papierosami.

Widok jest obmierzły, tak przerażający, że ze strachu i obrzydzenia obie z siostrą zaczynamy płakać. Nie potrafimy jednak oderwać wzroku od trupa. Tata parkuje samochód z dala od tłumu. Wyłącza silnik i mówi:

- Ja wysiądę, ale wy zostaniecie w samochodzie. Pamiętajcie, żeby się stąd nie ruszać. Widziałem aptekarza, on też zdecydował się przyjechać, porozmawiam z nim.

Zostajemy same i przytulone do siebie wpatrujemy się zza szyby w tworzące się grupki.

Farhad mówił prawdę: talibowie wymachują różgami - a raczej czymś w rodzaju metalowych kabli - i biją nimi przechodniów jak popadnie, zmuszając ich w ten sposób do zgromadzenia się na placu i oglądania tego potwornego widowiska. Nie mogę dokładnie zobaczyć tej różgi, ale Soraja twierdzi, że ma ołowiane końcówki, ja nie jestem tego pewna.

- Ależ tak, przyjrzyj się dobrze! Tamten bije chłopca, widzisz, jak go boli? Od samego kabla tak by nie cierpiał.

Mija dziesięć minut. Same w samochodzie, ukryte pod czadorami, z opuszczonymi głowami, milczymy. Każda myśli o nieszczęściu, jakie na nas spadło, i zastanawia się z lękiem, jaki los ją czeka. Krąży tyle pogłosek. Nie będę już chodzić na uczelnię. A mama? Skończyła liceum Zarghuna, nie zasłaniała twarzy, ojciec, tak jak i mój, kupił jej rower, żeby jeździła do szkoły. Żyła w czasach, kiedy dziewczęta nosiły spódnice do kolan, jak i ja, kończyły szkołę pielęgniarstwa, pracowały w szpitalu, zdobywały dyplom lekarza ginekologii. Jeszcze teraz, w wieku czterdziestu ośmiu lat, chociaż przeszła na emeryturę i jest zmęczona, bo wychowała piątkę dzieci i całe życie pracowała, lecząc kobiety, dwa lub trzy razy w tygodniu przyjmuje w domu bezpłatnie.

Nasz kraj potrzebuje kobiet. To kobiety od wielu lat pracują w administracji, szkolnictwie, służbie zdrowia. Opieki wymaga tyle wdów i dzieci! Są potrzebne działania profilaktyczne i pilne zabiegi, codzienne zmagania z nieznaną nowoczesnej medycyny. Mama ma tyle bolesnych przeżyć! Wkroczenie talibów do Kabulu będzie dla niej dodatkowym ciosem.

Wraca tata. Widzimy z daleka, jak przygarbiony zmierza do samochodu. Otwiera drzwiczki i bez słowa siada za kierownicą, kiwając głową. Szanujemy jego milczenie.

Potem przekręca kluczyk, wyprowadza samochód i opowiada:

- Rozmawiałem z aptekarzem. Brat mu powiedział, że zanim oddziały Masuda wyszły z miasta, jeden z bliskich komendantów ludzi przyszedł do Nadżibullaha do budynku ONZ, żeby go ostrzec i zaproponować, żeby opuścił miasto razem z nimi. Nadżibullah odmówił. „Piszę książkę - powiedział - a talibowie dadzą mi ważne stanowisko. Może będę premierem. Zostaję!”

Wielu ludzi rzeczywiście myślało, że jeśli talibowie przejmą władzę, wróci król, a Nadżibullah odzyska urzędowe stanowisko. I oto zawisł na placu Ariana!

- Został sam, bez żadnej ochrony, w budynku ONZ - ciągnął tata. - Około czwartej rano zobaczył nadchodzącego szefa tajnych służb Pakistanu. Podetknęli mu pod nos przygotowane z góry porozumienie, które musiał natychmiast podpisać i na mocy którego uznał oficjalnie obecny przebieg granicy z Pakistanem, uwzględniający całą strefę Peszawaru, należącą dawniej do naszego kraju. Zażądali też, żeby im wskazał składy broni i amunicji pozostawione w Kabulu przez Sowieców. Ponieważ początkowo nie chciał złożyć podpisu, bili go, aż go zabili, po czym powiesili na placu Ariana. Umarł tak z własnej winy. Z własnej winy... Nie wierzył, że talibowie ośmielą się wtargnąć do przedstawicielstwa ONZ. No i proszę... ośmielili się. Bóg jeden wie, do czego są jeszcze zdolni po tym, co zrobili!

Informacje przekazane przez aptekarza można uznać za pewne. Ojciec jest z nim zaprzyjaźniony, często grają razem w szachy. Mają do siebie zaufanie. Brat aptekarza wyjechał z miasta rano. Nie zamierzał składać broni. Wracamy do domu wolno, żeby móc obserwować ulice. Kobiety niosące dzieci lub ciągnące je za rękę idą szybko, wracają do domu po wyprawie po wiadomości. W mieście panuje taka cisza, że słychać odgłosy ich kroków. Widzimy kilku chłopców zbitych w grupkę. Rozmawiają, gestykulując - imię Nadżibullaha jest na ustach wszystkich. Prędko wbiegamy po schodach w obawie przed pytaniami sąsiadów.

Mama na nasz widok wyduje westchnienie ulgi.

- No i co? Udało się wam go zobaczyć, to] on?

Ojciec opowiada o tym, co widział, ja dodaję swoje. Matka nagle musi usiąść. Milcząca dotąd Soraja zaczyna mówić o różgach talibów, ale tata daje jej znak, żeby zamilkła. Lekarz zalecił, żeby nie denerwować mamy, bo wstrząsy emocjonalne są ponad jej siły. Błada, ze związanymi z tyłu posiwiąłymi już włosami, spogląda na nas czarnym z lęku spojrzeniem.

Tata idzie do sąsiada i wraca z niczym. Telefon nadal nie działa, podobnie radio. Przed wieczorem trzeba kupić zapas baterii. Podstawowe zakupy, takie jak ryż będący najważniejszym składnikiem j naszego pożywienia, makaron, olej i mąka, na wy- j padek gdyby piekarnie przestały działać, zostały] już zrobione. Ojciec zajął się tym na początku tygodnia, bo przewidywał, że rozpoczną się walki i to zajadłe.

Nie ma prądu, ale do tego jesteśmy przyzwyczajeni, bo w Kabulu prąd nie jest stałym gościem. Zjawia się o określonych godzinach przez dwa, trzy dni, a potem nic, wracają do użytku lampy gazowe lub olejowe. Do gotowania i grzania wody używamy kuchenki gazowej i dziesięcio- lub czternastolitrowych butli, dostępnych za bajońskie sumy.

Mamy łazienkę, a w niej wyschłe od dawna krany. Instalacje nie nadają się do użytku, w naszej dzielnicy tak samo jak gdzie indziej. Prasuje się żelazkami na węgiel drzewny. Kiedy po skończonym prasowaniu żelazko jest jeszcze ciepłe, proponuje się sąsiadowi. W Kabulu wiele rzeczy dzieli się i wymienia między sobą, nic, co może się przydać, nie powinno się zmarnować.

Wreszcie o godzinie jedenastej odzywa się radio, nadaje stacja przechrzczona na radio Szariat. Najpierw długo brzmią śpiewy religijne, potem męski głos odczytuje werset z Koranu.

„Prorok powiedział swoim uczniom, że ich zadaniem jest przeciwdziałanie występкови i szerzenie cnoty. Przyszliśmy, żeby przywrócić porządek. Zasady będą ustalane przez duchownych. Poprzedni rząd nie szanował religii. Wypędziliśmy go. Wszyscy ci, którzy należeli do dawnego rządu, będą teraz z nami bezpieczni. Wzywamy naszych braci, aby oddali nam całą swoją broń, żeby złożyli ją pod swoimi domami albo w meczecie. A kobiety wzywamy, żeby ze względu na bezpieczeństwo na razie nie wychodziły z domu”.

Po tej ostro skandowanej mowie do południa słychać śpiewy religijne. Potem znowu cisza. Musimy poczelkać do wieczora, żeby dowiedzieć się może czegoś więcej z nadawanych po persku audycji BBC albo Głosu Ameryki.

Co robić przez ten czas, jeśli nie rozważać najgorszych hipotez, rozpamiętywać okropnych scen? Zajmuje nas to do tego stopnia, że zapominamy o obiedzie.

Ktoś puka do drzwi. To zarządca domu; przyszedł zgodnie z rozkazami talibów powiadomić ojca, że musi do najbliższego meczetu zanieść swoją broń. Nie mamy broni poza dwiema rodzinnymi relikwiami wiszącymi na ścianie. Tata wpatruje się w starą strzelbę, antyk pochodzący z lat dwudziestych, z czasów służby wojskowej jego ojca, z okresu walk z Anglikami. Zawiesił ją z nabożeństwem na ścianie po śmierci dziadka. Teraz jest to przedmiot czysto dekoracyjny. Jego dopełnieniem jest szabla. Na co talibom mogłoby się przydać takie uzbrojenie? Po błyszczących z hamowanego wzruszenia oczach ojca widzę, że waha się, czy ma się z nim rozstawać. Ale mama nalega, błaga, żeby był rozsądny:

- Jeśli je ukryjesz, to może być zbyt niebezpieczne w razie rewizji...

Głęboko zasmucony, ojciec zdejmuje więc ze ściany starą strzelbę. Na ścianie pozostaje po niej niewyraźny ślad tuż nad wspaniałym portretem mamy namalowanym przez jej brata. Jest na nim taka piękna, ma dwadzieścia lat, a czarne włosy opadają jej falami na ramiona, ogromne oczy rozświetla szczęście. Uroda jej została, przyćmił ją tylko trochę upływ czasu i przeżycia.

Tata zdejmuje też ze ściany wielką szablę i w milczeniu przygotowuje pakunek. Pójdzie sam złożyć pamiątki w meczecie, na którym zatknęto białą flagę.

Chce mi się płakać. W naszej rodzinie nie zwykliśmy afiszować się z emocjami, każdy zachowuje zmartwienia dla siebie, bo uważa, że nie należy zasmucać innych swoim cierpieniem. To typowo afgańska cecha, ta godność i powściągliwość w okazywaniu uczuć bez względu na okoliczności. Jesteśmy rozmowni i wylewni, kiedy chodzi o tematy obojętne, natomiast w milczeniu przeżywamy własne cierpienia. Tę godność spotęgowała jeszcze, jak sądzę, wojna domowa. Trwamy przy życiu, oszczędnie gospodarując uczuciami, co jest niezbędne, żeby nie przepaść, nie oszaleć z wściekłości lub ze strachu. Kiedy czuję, że cierpienie jest za ciężkie, że narasta i grozi wybuchem w obecności innych, chronię się w swoim pokoju, żeby wypłakać się w samotności, na łóżku.

W ten pełen widoków grozy piątek 27 września nie przestajemy z Sorają rozprawiać o ostatnich wydarzeniach. Po ślubie Szakili wyniosłam się z mojego pojedynczego łóżka i śpimy razem. Do tej pory opowiadała mi o swoich podróżach, o kolegach z załogi, słuchałyśmy muzyki, rozśmieszała mnie, zatykając mi nos, nie mogła oddychać. To był nasz sposób na znoszenie odgłosu wybuchów wokół miasta. Brat Wahid nauczył nas techniki, którą opanował na froncie, kiedy był żołnierzem. W razie gwałtownego wybuchu trzeba otworzyć usta na całą szerokość, żeby nie dopuścić do uszkodzenia bębenków.

W naszym dziewczęcym pokoju widać ślady zainteresowań nastolatki. Na ścianie afisz z Brooke Shields, amerykańską modelką i aktorką. Soraja rozśmieszała mnie często, udając przede mną modelkę: w pantoflach na wysokich obcasach, z rękami na biodrach, umalowana, defilowała po pokoju, obracała się, przybierała pozy... Już kiedy byłam małą dziewczynką, przebierała się dla mnie w sukienki i pantofle mamy.

Plakat z EWisem Presleyem, znajdujący się obok zdjęcia Brooke Shields, wskazuje, jaką muzykę lubię najbardziej: rock. Mam sterty kaset z nagraniami i z filmami indyjskimi, które Daud przynosi z miasta od ojca Farhada; korzystamy bez ograniczeń z oferty i jego sklepiku.

Dzisiaj nie mam ochoty słuchać muzyki, nie jestem w stanie czytać, potrzeba mi rozmowy. Soraja jest bardziej przygnębiona niż ja. Jej pesymizm jest głębszy. Nie przyda jej się już wiszący; w szafie kostium stewardesy, jest tego pewna. A tak jej w nim dobrze!

Przedwczoraj przyjechała z lotniska Bagram w tej długiej białej bluzce i turkusowych spodniach od mundurku linii lotniczych Ariana. Uważam, że moja siostra jest piękna - podobna do ojca, ma bardzo czarne, półdługie włosy, piękne oczy i gęste, wspaniałe brwi. Tak jak Szakila, zawsze mnie rozpieszczała. Od dzieciństwa troszczy się o mnie, wykonuje za mnie prace domowe, jeśli któregoś dnia nie mam ochoty spełniać swoich obowiązków. Soraja jest łagodna, czuła i łakoma, ale dziś wieczorem nie przełknęła nawet odrobiny ryżu.

Omawiamy wiadomości, wszystko, co usłyszałyśmy w BBC o marszu talibów do bram Kabulu, o masakrach w mieście Herat wiosną 1995 roku: w telewizji pokazali zmuszone do zebrania na ulicach wdowy w burkach zasłaniających im szczelnie oczy, bite różgami. Dzisiaj to już nie są jakieś odległe obrazy, migawki telewizyjne, zdjęcia w gazetach. To rzeczywistość - oni są u nas. Wczoraj po południu może po raz ostatni wyszłam z domu w poczuciu wolności. To był mój ostatni dzień studentki...

Tłumaczę Sorai, dlaczego tak koniecznie musiałam pojechać na plac Ariana.

- Chciałam zobaczyć Nadżibullaha, chciałam zrozumieć, byłam nawet gotowa zarobić różgą, gdyby to było konieczne, doświadczyć rzeczywistości, żeby ją uznać, rozumiesz, Sorajo? Chciałam się Przekonać...

Ten obraz wisielców - odpowiada jak echo siostra - mam cały czas przed oczami i nie opuszcza mnie myśl, że wszystko się skończyło, że tali-bowie przekroczyli wszelkie granice. Wystawili nam przed oczy ten symbol, by dać do zrozumienia, iż od dziś każdy może umrzeć z ręki taliba. Dla nas wszystko się skończyło, Latifo. Koniec z moją pracą, nigdy już nie będę latać. Widziałaś budynek linii Ariana? Zamknęli go, telewizję też. Żadna kobieta nie będzie już mogła pracować.

- Tata mówił, że za kilka dni, kilka tygodni, to] się może skończy, że opozycja jest gdzieś na pół-1 nocy. Wrócą modżahedini, a ja wolę pociski od] talibów.

- Tata zawsze chce w nas obudzić nadzieję, alei ja w to nie wierzę. Nawet podczas naj strasniejszych] walk nigdy czegoś takiego nie widzieliśmy. Przecież 1 w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku nie powiesili Nadżibullaha! Ani jego brata\*] Chociaż to żalosna postać...

Szakila, kiedy jeszcze pracowała w Kabulu, opo-j wiedziała nam wstrętą historię o Szapurze, bracie Nadżibullaha, który miał romans z pewną dziewczyną. Dużo ludzi w dzielnicy Mikrorajan domyślało się, co się dzieje. Dziewczyna miała na imię Wida] i mieszkała na osiedlu numer jeden. Spotkała kiedyś Szapura na placu i od tamtej pory przychodził po nią pod szkołę. Któregoś dnia odprowadził ją aż do mieszkania jej rodziców, podczas nieobecności rodziny. Nie wiem, kto kogo zmusił do wejścia do mieszkania, ale nikt nie ma co do tego wątpliwości. Niestety, Wida zaszła w ciążę, kochanek powinien więc się z nią ożenić. Ale chociaż nalegała, on nie chciał zgodzić się na ślub. Zaprosiła go więc do domu na ostatnią rozmowę, a ponieważ nadal odmawiał, wyciągnęła mu rewolwer i zabiła się. Początkowo nikt nie ośmielił się o tym mówić, ale potem zaczęły krążyć pogłoski o tym, że to Szapur jest winien śmierci Widy. Jej rodzice bardzo szybko wyjechali z kraju. Brat Nadżibullaha był wtedy nietykalny...

- Jakich by nie dopuścił się zbrodni - powiedziała Soraja - to spotkała go okrutna, barbarzyńska śmierć. Ci ludzie nie są Afgańczykami, to niemożliwe. Kiedy w środę wróciłam z Dubaju, mówiłam ci, że w następnym samolocie byli Afgań-czycy. Wylądował tuż po nas, a stewardesa mówiła mi, że zostali wydaleny z Emir-atów, bo nie mieli paszportów czy wizy im wygasły, już dokładnie nie pamiętam. W każdym razie koleżankę uderzyło ich zachowanie, odnosili się niezwykle pogardliwie w stosunku do kobiet z obsługi... Zastanawiam się zresztą, czy nie przyjechali, aby Pomagać talibom...

W Kabulu nigdy nie wiadomo, kto jest kim. Jedyną podstawą bezpieczeństwa jest dzielenie się swoimi domysłami i opiniami wyłącznie z rodziną. Z zasady jesteśmy, na ile to możliwe, neutralni. Jedna jedyna rzecz łączy Afgańczyków mimo ich przynależności do najróżniejszych grup etnicznych, a mianowicie wrogość wobec obcego najeźdźcy, bez względu na to, czy jest to najeźdźca angielski, pakis-tański czy arabski. Czy, oczywiście, radziecki.

Przeciwko Rosjanom Afgańczycy zbuntowali się, tworząc zorganizowany ruch oporu, a modża-hedini, aby wyprzeć wojska radzieckie, wznieci trwającą dziesięć lat krwawą wojnę, gdy tymcza-sem zmieniały się kolejne, posłuszne Moskwie rządy.

Po wyjściu Rosjan, w 1992 roku, dawni bojow-nicy urządzili się w Kabulu pod wodzą komen-danta Masuda. Przez lata nasze życie toczyło się w rytm walk, jakie ten Tadżyk prowadził z in-nymi dowódcami wojennymi, poczynając od jego pasztuńskiego wroga, strasznego Golbuddina Hek-matjara, przywódcy Hezb-e Eslami, najbardziej fundamentalistycznej partii wspieranej przez Paki-stan. Ale to nie koniec historii. Właśnie zostaliśmy siłą przeniesieni w nową erę, pod batem tali-bów. To najstraszniejszy dzień w moim krótkim życiu. Soraja płacze, nigdy jeszcze nie zaznała takiej wojny. Ostatnim razem kiedy Hekmatjar ostrzelał miasto

pociskami raketowymi, 1 stycznia 1994 roku, poleciała w rejs do Dubaju. Lotnisko w Kabulu było już zburzone, samoloty linii Ariana startowały i lądowały na lotnisku Bagram, czterdzieści kilometrów od stolicy. Nie było mowy, żeby teraz lądować tam, gdzie toczą się walki. Pilot odleciał więc do Delhi i Soraja utknęła tam w hotelu na sześć miesięcy, całymi dniami rozpaczliwie wpatrując się z koleżankami w ekran telewizora. W dniu ślubu Szakili, dwa lata temu, na miasto spadło ponad trzysta rakiet, a u nas było wesele. Pamiętam, jak rodzina powtarzała sobie uspokajająco przysłowie: Radość jest siostrą smutku.

Wkrótce po ślubie naszej siostry Wahid pojechał do Indii, a potem osiadł w Moskwie. Kiedy mieszkał jeszcze z nami, czułam do niego wielką siostrzaną miłość pomieszaną z lękiem. Był bardzo rygorystyczny, jeśli chodzi o przestrzeganie zasad, i to on podarował nam nasze pierwsze czadory, które nosimy dzisiaj.

- Pamiętasz, Sorajo, kiedy Wahid przyniósł nam te czadory? Były dla nas za duże.

- Powiedziałam, że przetniemy je na pół...

Ojciec nie podzielał uporu brata w sprawie naszego przepisowego stroju. Nie chciał, żebyśmy odróżniały się od innych uczennic w szkole. U nas czadom używa się wyłącznie do modlitwy, a modlimy się w kąciku, w zaciszu własnego pokoju. Nie nosiłyśmy go na ulicy, ani my, ani mama. Ale z miłości do brata byłam gotowa go posłuchać. Prawił nam morały z powodu długości spódnic albo dekolty, chociaż niewinnego, w letnim podkoszulku. Szakila i Soraja puszczały te uwagi mimo uszu albo odpowiadały mu ostro: „Jestem na tyle duża, że wiem, jak się ubierać” czy „To nie J twoja sprawa”.

Myszę, że rodzice obawiali się wpływu integryzmu i na jego charakter i po służbie wojskowej i wszystkich j tych walkach, w których brał udział, poradzili mu, i żeby zamieszkał w jakimś kraju, gdzie panuje pokój. Zastanawiam się, co on teraz robi i czy kiedyś się i ożeni. Proponowano mu już różne kandydatki na żony, ale na żadną się nie zgodził. Służby w wojsku nie da się pogodzić z życiem rodzinnym. Mamai woli, żeby mieszkał daleko i nie uczestniczył w walkach, w których już i tak dosyć wycierpiał i bardzo j zhardział.

Daud kręci się w kółko po pokoju. On uniknął wojska dzięki ochronie całej rodziny i starszego brata, który uważa, że „jeden w rodzinie to dosyć” Czy znowu będzie musiał się ukrywać, żeby pracować? Po skończeniu studiów ekonomicznych nie mógł znaleźć innego zatrudnienia i sprzedaje bilety w biurze linii Ariana...

Ludzie mówią, że na prowincji talibowie wcielają na siłę młodych Afgańczyków, wysyłają ich na pierwszą linię, żeby burzyli wioski, podpalali domy.

Dziś po południu Daud wychodzi zamiast ojca, żeby uzupełnić zapas baterii na wypadek stanu wyjątkowego. Nie on jeden robił zakupy. Po powrocie wieczorem opowiada, że widział, jak dużo

ludzi gromadzi zapasy. Mama nie chciała, żeby wychodził, teraz słyszę, jak wyrzuca mu, że ryzykował:

- A jeśli cię zatrzymają? Jeśli wsadzą cię do więzienia, jak komuniści twojego brata? Albo będą cię zmuszać do zabijania? Cała troska o członków rodziny spadła na barki mojego biednego taty. Martwi się o zdrowie mamy, boi się, że talibowie wezmą mu syna, że jego córki będą skazane na życie w zamknięciu bez nadziei na pracę zawodową. W dodatku nie ma żadnych wiadomości o stanie jego składów tekstylnych, usytuowanych, jak się można domyślić, na drodze, którą talibowie przebili się do miasta. Raz już wszystko stracił w 1991 roku, podczas nieudanego zamachu stanu generała Tanaja. Rakiety zburzyły wtedy doszczętnie jego magazyn przy alei Dżad-e Majwand. Wszystko poszło z dymem. Interes szedł dobrze, tata stosunkowo dobrze zarabiał, importował materiały z Japonii i ZSRR i, chociaż nie byliśmy bogaci, nie byliśmy też biedni. Tamtego dnia stracił znaczną część majątku.

Kiedy z wielkim trudem udało mu się znowu postawić na nogi firmę importową, do następnej katastrofy doszło w 1993 roku, podczas ataków Hekmatjara na Kabul. Tata nie mógł nawet zbliżyć się do składu położonego w Pol-e Mahmud Chan, w strefie toczących się walk, nafaszerowanej minami przeciwpiechotnymi. W telewizji pokazywali dymiące zgliszcza. Tata pojechał tam dopiero trzy miesiące później.

W gruzach pełno było śladów po kulach i materiałach wybuchowych, nie udało mu się niczego uratować.

Pojechał odwiedzić w szpitalu ocalałego strażnika, a ten opowiedział mu, jakie przeżył piekło. Kiedy próbował przekonać bojowników, żeby nie podpalali magazynu z miotacza ognia, zaczęli do nieszczęśnika strzelać. Strzelali nawet do psów! Ciężko ranny, strażnik udał, że nie żyje, i dopiero pod koniec dnia zabrali go przejeżdżający czołgiem żołnierze sił rządowych. Po co palić składy towarowe, zabijać cywili, a nawet psy? To byli barbarzyńcy z oddziałów Hekmatjara, który zażarcie dążył do zwycięstwa nad Masudem, żeby odebrać mu Kabul. I znowu ojciec musiał wszystko zaczynać od zera, tym razem dzięki pożyczkom rządu dla poszkodowanych handlowców. Zdołał odbudować firmę i spłacił nawet znaczną część kredytu. Myślał, że wyszedł na prostą. Odkąd wczoraj rozgorzały walki, stało się to bardziej niż niepewne. Nie wiem, jak zdoła uzdrowić swoją sytuację finansową w razie trzeciej katastrofy.

Dziś wieczorem, z uchem przy radioodbiorniku, żeby nie zaalarmować sąsiadów, słuchamy wreszcie BBC. Dziennikarz nie mówi niczego, o czym byśmy jeszcze nie wiedzieli. Opowiada o walkach na obrzeżach Kabulu między siłami rządowymi komendanta Masuda i talibami. My już wiemy, że nie toczą się „na obrzeżach”, tylko w samej stolicy, w naszym życiu. I że dzisiejszej nocy będziemy musieli starać się przespąć ten koszmar.

## Kanarek w klatce

Kartka pocztowa przypięta przez Soraję do ściany w naszym pokoju przedstawia wspaniałą różę; jest purpurowa na niebieskim tle. Wpatruję się w nią uparcie, odkąd siostra wstała, żeby przygotować śniadanie. Świt tej soboty 28 września 1996 roku ma smak nicości. Wczoraj sąsiedzi działali, rozmawiali na korytarzu, próbowali ustalić, czy przywrócono połączenia telefoniczne, czy są jakieś wiadomości od rodzin mieszkających gdzie indziej. Dzisiaj słyszę tylko gęstą ciszę. Ojciec nie pójdzie pobiegać dziś rano. Talibowie na pewno nie lubią joggingu, a on i tak ma co innego na głowie. Banki były wczoraj zamknięte jak w każdy piątek, ale dzisiaj musi iść pobrać pieniądze na bieżące wydatki.

Mama jeszcze śpi, powalona środkami nasennymi, nie słyszę też, żeby z pokoju Dauda dochodziły dźwięki muzyki. Pewnie szepcze w kuchni z Sorają, żeby ni; budzić mamy. Nie pójdą dzisiaj do pracy, a ja nie wybiorę się na zajęcia.

Doznaję uczucia wielkiego zmęczenia, jakby smutek zawładnął całym moim ciałem, chociaż oczy mam suche. Nie jestem w stanie ruszyć się z łóżka i przebiegam wzrokiem kolekcję widokówek przypiętych przez siostrę do ściany. Czerwony tulipan, biały nieznany kwiat przysłany z Delhi... W każdym porcie lotniczym Soraja dorzuca coś do swojego papierowego ogródka. W Kabulu już od dawna nie ma kwiatów, oprócz plastikowych bukietów przy-wożonych z Tajwanu...

Co tu robić? Odmówiłam już modlitwę na dywaniku przywiezionym mi przez tatę z Mekki. Mogłabym przeczytać ostatni artykuł, jaki Saber, mój kolega, przekazał do naszej gazetki. Zajmujemy się nią z kolegami od jakichś dwóch lat i wydajemy każdy numer w jednym egzemplarzu; krąży obiegem po całej dzielnicy, przechodząc z rąk do rąk, i potem wraca do mnie dosyć sfatygowany. Ostatni leży u mnie w szafie, nowy jest w przygotowaniu. Ale po co komu teraz artykuły i zdjęcia mówiące o Madonnie, poezji, nowej modzie czy ostatnim filmie indyjskim? Jeśli talibowie przejmą media, nie będzie już czego szukać w prasie bo nałożą jej kaganiec albo w ogóle zlikwidują.

W czwartek rano zdałam śpiewająco wstępny egzamin cząstkowy na wydział dziennikarstwa. Wieczorem, kiedy Saber i jego siostra Farida martwili się, czy aby zakuwam jak trzeba do egzaminu końcowego, który był planowany na początek zimy, odpowiedziałam, niedbale wzruszając ramionami:

- Łatwizna!

- A jaki miałaś temat?

- Trzeba było opracować wybraną przez siebie informację dla trzech środków przekazu: prasy pisanej, radia i telewizji.

- Jaką wybrałaś informację wyjściową?

- Zasadniczo autentyczną, chociaż jej źródło jest właściwie nieznane: „Saudyjski przyjaciel talibów, pan ben Laden, zaoferował, że sam sfinansuje budowę meczetów w naszym kraju”.

Słyszałam o tym w radiu, nie pamiętam już kiedy, ale to mnie uderzyło. Za to nic prawie nie wiedziałam o tym ben Ladenie, poza tym że jako Saudyjczyk musi mieć dużo pieniędzy. Dostałam dobrą ocenę.

Przed wyjściem Saber oddał mi książkę, którą mu pożyczyłam: Czerwony kwiat na moje cierpienie irańskiego pisarza Parwiza Ghazi Saida. To smutna historia miłosna, zaczytuje się nią teraz cała młodzież, i mnie się bardzo podobała.

- No i co o niej sądzisz?

Skrzywił się, bym nie pomyślała, że jest sentymentalny, ale jest zakochany w dziewczynie z naszej dzielnicy. Zwierza mi się, a ja wszystko powtarzam jego siostrze... Wiem też, że jego rodzice uważają, że jest o wiele za młody, by z jej rodziną zaczynać pertraktacje zaręczynowe.

Staram się myśleć o rzeczach mających związek z życiem, błahych, na przykład o sukience czekającej u krawcowej i o tym, że tata obiecał ją niedługo odebrać, choć mama zganiła go wzrokiem. Uważa, że zbyt szybko dogadza moim kaprysom. Uwielbiam ojca i dostaję od niego mniej więcej wszystko, czego chcę. Nawet Daud podczas studiów uciekał się do mojego pośrednictwa, kiedy chciał o coś prosić tatę. Ilekroć proszę o pieniądze na kasetę albo lakier do paznokci, mama mnie strofuje:

- Pomyśl o budżecie rodzinnym, Latifo! Nie przesadzaj !

Wczoraj była oburzona, że w taki dzień mogę myśleć o sukience i weselu. Ale ja nawet jeszcze nie widziałam tej sukienki skończonej...

Może wygląda na to, że jestem płocha, ale czuję potrzebę uczipienia się „normalnej” strony życia młodej dziewczyny. To mój sposób na niezgodę na grożące mi zamknięcie. Grożące nam wszystkim - dziewczętom i kobietom. A jest nieuchronne.

Mogę dalej wpatrywać się w tę papierową różę, to jak obsesja, jak ciężar leżący mi na czole: nie pójde więcej na uczelnię... Zdany egzamin mi się nie przyda, będę siedziała zamknięta w domu, bez celu i bez planów na przyszłość.

Jak długo? Miną tygodnie, miesiące, zanim opozycja wyrzuci te białe kruki. Może lata. Nikt nie wie, gdzie ukrywa się komendant Masud i jego ludzie. „Zostali wypędzeni”, podało radio Szariat, i dużo czasu upłynie, zanim dowiemy się czegoś więcej.

Śniadanie jemy w pośepnych nastrojach, radio Szariat nie ma nic wspólnego z radiem Kabul. Nie nadaje wiadomości, program zacznie się dopiero o jedenastej, jak wczoraj, od śpiewów religijnych zaleceń mułłów.

Nie cierpię tego pozbawionego sensu poranka. Jakie to było szczęście rozkoszować się gorącym chlebem i słodką herbatą, słuchając audycji Pajam--e sobh-e džahan radia Kabul: ostatnich wiadomości, poezji perskich, muzyki. Około godziny ósmej Daud i Soraja wychodzili do pracy, a ja na zajęcia. Tylko mama zostawała w domu w towarzystwie Binga. W niektóre dni przyjmowała bezpłatnie kobiety z naszej dzielnicy, których bardzo rygorystyczni mężowie nie zgadzali się, żeby chodziły do szpitala, gdzie leczą mężczyźni. Właśnie dlatego większość lekarzy w Kabulu to kobiety. Zwłaszcza ginekolodzy.

Do czasu aż radiostacja Szariat zechce nas poinformować o rozkazach nowej władzy, od ósmej do dziewiątej raczą nas śpiewami religijnymi, lekturą wersetów Koranu i modlitwami. Daud włączy znowu odbiornik o stałej porze, na wypadek - mało prawdopodobny - gdyby było coś nowego.

Wracam do swojego pokoju, aby położyć się, a Soraja zmywa naczynia. Tata spróbuje ostrożnie przejść się po dzielnicy, żeby zrobić zakupy i zdobyć u znajomych jakieś strzępy przekazywanych z ust do ust informacji. Mama kładzie się na kanapie w salonie, wzrok ma bez wyrazu, już drzemie. Nawet mnie nie zbeształa, widząc, że Soraja zmywa za mnie. Wygląda, jakby nic jej dzisiaj nie interesowało.

Wraca tata, ma złe wiadomości. Wiele sklepów jest zamkniętych. Działają jednak Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Obrony. Widział rozbite i powyrzucane w nieładzie, jak śmieci, telewizory, wyciągnięte z kaset taśmy zawieszane na drzewach, powiewające na jesiennym wietrze jak pośepne girlandy. Ludzie na ulicach są przybici, przed nielicznymi otwartymi sklepami tworzą się kolejki.

Teraz pójdzie do meczetu odnieść stary rodzinny arsenał. Biedny tata, taki silny, masywny, taki godny szacunku, i takie upokorzenie! Nie ogolił się dziś rano i twarz ma poszarzałą, smutną. Z zarostem na policzkach wygląda jak chory.

Godzina jedenasta. Radio Szariat wznawia emisję, żeby ogłosić, że premier rządu tymczasowego, składającego się z sześciu mułłów, zarządził, co następuje:

„W kraju panować będzie teraz ustrój całkowicie islamski. Wszyscy ambasadorzy za granicą są z urzędu zawieszani w czynnościach. Obowiązują nowe, zgodne z szariatem rozporządzenia:

Ktokolwiek posiada broń, musi odnieść ją na najbliższy posterunek wojskowy.

Dziewczęta i kobiety nie mają prawa pracować poza domem.

W razie konieczności wyjścia z domu, wszystkim kobietom musi towarzyszyć mahram (ojciec, brat lub mąż).

Komunikacja miejska wyznaczy oddzielne autobusy dla kobiet i mężczyzn.

Mężczyźni muszą zapuścić brody i przycinać wąsy zgodnie z szariatem.

Mężczyźni muszą nosić na głowie turban lub białą czapkę.

Zakazuje się noszenia garniturów i krawatów. Obowiązuje tradycyjny strój afgański.

Kobiety i dziewczęta będą nosić czadri.

Zakazuje się noszenia przez kobiety i dziewczęta ubrań w jaskrawych kolorach pod czadri.

Zakazuje się używania lakieru do paznokci i po-madek do ust oraz malowania twarzy.

Każdy muzułmanin ma obowiązek odmawiać modlitwy o stałych godzinach w miejscu, gdzie się znajduje”.

W kolejne dni, o tej samej porze, nowe dekrety płyną z radia, skandowane przez ten sam groźny głos w imię szariatu:

„Zabronione jest wywieszanie zdjęć ludzi i zwierząt.

Kobieta nie ma prawa wsiąść do taksówki, jeśli nie towarzyszy jej mahram.

Żaden lekarz-mężczyzna nie ma prawa dotykać ciała kobiety pod pretekstem badania.

Kobiety nie mają prawa korzystać z usług krawców męskich.

Dziewczęta nie mają prawa rozmawiać z młodzieńcami. Winni uchybienia temu zakazowi będą sobie niezwłocznie poślubieni.

Rodziny muzułmańskie nie mają prawa słuchać muzyki, nawet podczas uroczystości ślubnych.

Rodzinom zabrania się fotografowania i nagrywania filmów wideo, nawet podczas ślubu.

Zabrania się zaręczonym dziewczętom uczesania do salonów piękności, nawet podczas przygotowań do ślubu.

Rodzinom muzułmańskim zabrania się nadawania dzieciom nieislamskich imion.



Wszyscy niemuzułmanie, Hindusi i Żydzi muszą nosić żółte ubrania lub żółtą chustę. Na domach muszą wywiesić żółtą flagę, żeby można je było rozpoznać.

Wszystkim sprzedawcom zabrania się sprzedaży napoi alkoholowych.

Sprzedawcom zabrania się sprzedaży bielizny] damskiej.

Kiedy policja karze kogoś za wykroczenie, nikt j nie ma prawa zadawać pytań ani krytykować.

Ktokolwiek dopuści się wykroczenia przeciwko przepisom szariatu, zostanie ukarany na placu publicznym”.

Tym razem nas, dziewczęta i kobiety, naprawdę zabijają. Zabijają po cichu, skrycie. Najgorsze zakazy, obowiązujące już na większości obszaru kraju, unicestwiają nas, odsuwając całkowicie od życia społecznego. Dotyczy to wszystkich kobiet, od najmłodszych do najstarszych. Nie będzie już pracy dla kobiet, a to oznacza upadek służby zdrowia i administracji. Nie będzie możliwości nauki dla dziewcząt, nie będzie leczenia kobiet i nigdzie nie będzie można odetchnąć świeżym powietrzem. Kobiety do domu! Albo schowane pod burkami. Poza zasięgiem wzroku mężczyzn! To absolutne zaprzeczenie wolności osobistej, prawdziwy rasizm płciowy. I jeszcze coś, co w najwyższym stopniu uwłacza godności wszystkich Afgańczyków, mężczyzn i kobiet: powstało nowe ministerstwo. Ma śmieszna nazwę: Ministerstwo Krzewienia Cnoty i Zapobiegania Występkom, po arabsku AMR-e-Bel Ma'muf.

Dzisiaj zamykam się u siebie w pokoju, żeby popatrzeć na moje rzeczy - książki, ubrania, zdjęcia, komiksy, kasety, filmy, plakaty. Mój lakier do paznokci, pomadka Sorai... Nic innego nie pozostaje, jak poukładać to wszystko w pulełkach i schować do szafy. Jestem zdruzgotana, wściekam się, a za chwilę wybucham płaczem. Ta swoista rewizja osobista jest nie do zniesienia zarówno dla mnie jak dla siostry i dla naszej matki. Mama też zabrała się do pakowania zabronionych przedmiotów, zdjęć rodzinnych z czasów naszego niemowlęctwa i ze ślubów, swojego własnego i Szakili. Zdjęła ze ściany wspaniałą portret namalowany przez jej brata, przed-, stawiając ją jako kobietę w rozkwicie, o twarzy j tchnącej nienawistną dla talibów wolnością. Kiedy my z siostrą zgarniamy do szafy dziewczęce skarby, ona chowa na dnie kuchennej szafki swoje własne pamiątki studentki, młodej kobiety, żony i matki. Układam w walizce moje najładniejsze sukienki, a zostawiam sobie tylko spodnie i czarne adidas. To samo robi Soraja. Jej piękny mundurek linii Ariana, krótkie, kolorowe spódniczki, wiosenne bluzki, pantofle na obcasach i sweterki w zbyt żywych kolorach są teraz nieprzyzwoite... Potem idzie pomóc mamie w tropieniu w mieszkaniu zabronionych obrazów: kalendarzy, plakatów drużyn piłkarskich i zespołów muzycznych w pokoju Dauda...

I znowu wybucham płaczem, kiedy zostaję w naszym pokoju, sama pośród ostatnich książek do zapakowania. Kręci mi się w głowie. Kiedy byłam zajęta pakowaniem, robiłam to tak, jakby chodziło] o czasową przeprowadzkę. A teraz nerwy mi puszcza\* czają. Mój wzrok pada na rysunek satyryczny zamieszczony w gazecie z ubiegłego roku. Widać na nim dwóch pochylonych nad mikroskopem naukowców obserwujących rój talibów na płycie laboratoryjnej. Są w kłopotcie, bo nie wiedzą, co za mikroby mają przed oczyma.

A to wstrętny mikroby, niebezpiecznie zjadliwy, rozprzestrzeniający się i roznoszący groźną chorobę, postępującą i zabójczą dla wolności kobiet. Łatwo go zaszczepić. Wystarczy, że talibowie ogłoszą się samozwańczo niekwestionowanymi panami szariatu, zasad Koranu, które przeinaczają, jak im się podoba, bez odrobiny szacunku dla świętej księgi. Nasza rodzina jest głęboko religijna, tata i mama wiedzą, co dla dobrego muzułmanina oznacza szariat. A zalecenia szariatu nie mają nic wspólnego ze stylem życia, jaki chcą nam narzucić.

Talibowie zabronili już posiadania zdjęć zwierząt; niedługo, jestem tego pewna, zabronią też posiadania samych psów i ptaków. Na balkonie salonu, który tata przerobił na przeszkloną werandę chroniącą nas przed zimnem i spojrzzeniami, mamy kanarka w klatce. Tak ładnie śpiewa o wschodzie słońca...

Po powrocie z meczetu tata znajduje mnie we łzach w moim pokoju.

- Uspokój się, Latifo! Nie wiadomo jeszcze, jaki obrót przyjmą sprawy, trzeba uzbroić się w cierpliwość, zobaczysz, że to nie potrwa długo...

- Tato, trzeba wypuścić kanarka. Chcę, żeby był wolny! Chociaż on!

Otwarcie klatki jest koniecznym symbolem. Patrzę jak kanarek waha się wobec tej nieznannej mi wolności, wznosi się jednym ruchem skrzydeł i znikają w dali, na pochmurnym, wrześnieowym niebie. Zabiera ze sobą moją wolność. Niech Bóg sprawi żeby znalazł schronienie w jakiejś spokojnej doli-nie!

Wszystko się zmieniło, świat kręci się na odwrót. Ojciec nadal wstaje na poranną modlitwę, ale nie może już wychodzić na jogging, bo talibowie nie znoszą, żeby ktoś inny niż oni biegał po ulicy. Soraja, Daud i ja wstajemy około dziewiątej, dziesiątej, niechętnie, nie ma w nas żadnego zapału. Ojciec i brat muszą nosić brody, wszyscy mamy wrażenie, że wyglądamy niechlujnie, zmęczeni, smutni. Nikt już nie włącza radia, bo nie ma wiadomości, muzyki, wierszy. Tylko sama propa-ganda. I dekryty:

„Zabronione jest gwizdanie, posiadanie czajników z gwizdkiem.

Zabronione jest posiadanie psów i ptaków”.

Miałam rację. Nasz kanarek jest już, na szczęście, daleko. Nikt inny, tylko my sami zdecydowaliśmy o jego uwolnieniu. Ale teraz trzeba jeszcze rozstać i się z Bingiem, naszym białym chartem o tak gęstej sierści, że podobny jest do niedźwiadka. Był z nami, odkąd pamiętam. Moje pierwsze wspomnienie wiąże się z kolorowym zdjęciem z albumu mamy schowanym w kuchni. Mam jakieś pięć lat, jestem ubrana w szkocką spódniczkę, czerwone polo i słomkowy kapelusz. Przyciskam do siebie Binga stojącego na tylnych łapach; jego podłużny pysk zwrócony w stronę starszej siostry Szakili zdaje się mówić: „Oswobodź mnie! Zostałem stworzony do biegania na czterech łapach!”.

Nie ma mowy, żebyśmy wypuścili go na ulicę, jak zrobili niektórzy właściciele. Tata wywozi więc Binga samochodem do wujka, który mieszka w domu z ogrodem. Bingo, czworonożny afgański dysydent, będzie w dzień ukryty w domu, a wieczorem będzie mógł zażywać świeżego powietrza. Wiem, że będą o niego dbać.

Ojciec znowu stracił swoją firmę handlową! Dopiero w trzy miesiące po wejściu talibów mógł zbliżyć się do strefy, gdzie znajdował się jego skład. Ze sporej odległości, z powodu rozsianych wokół min, obejrzał ruiny, bo tylko tyle zostało. Nie uskarża się, żeby nie przytłaczać mamy dodatkowym zmartwieniem. Będzie próbował znaleźć jakieś wyjście razem ze współnikiem w Pakistanie, zainwestuje pieniądze, jakie mu zostały, w nowe przedsięwzięcie w nadziei na uzyskanie godziwych dochodów. Będzie to skomplikowane, a przy tym nie będzie zajmowało mu całego czasu. Teraz i on stał się po trosze więźniem mieszkania, odpowiedzialnym za zakupy i gotowanie, co mu zresztą by-najmniej nie przeszkadza. Zawsze gotował, zwała-szcza wtedy, kiedy mamę zatrzymała praca w szpitalu.

Broda mu już na tyle urosła, że od czasu czasu żartujemy sobie z tej jego nowej fizjonomii i z długości brody zalecanej przez talibów. Pod-chodzi do tego na poły ze spokojem, na poły z gardą:

- Moja broda należy do talibów, ale nie ja!

Daud zaś znalazł już z kolegami sposób na zdo-bywanie po cichu kopii kaset wideo. Przemycane z Pakistanu kanałami, które działają nie od dzisiaj. Poza tym wujek ma ich jeszcze trochę u siebie w sklepiku. Występuje zresztą dosyć ciekawy para-doks: obowiązuje wprowadzić zakaz kupowania ma-| gnetowidów, telewizorów i kaset z nagraniami mu-zyki i wideo, ale na półkach sklepowych wszystkie te artykuły są nadal wystawione. Nikt nie kupuje ich oficjalnie, wszyscy zdobywają je półoficjalnie. Wydaje się, że talibowie obłudnie dopuszczają istnienie tego podziemnego rynku, bo gdyby i się załamał, Kabul byłby pozbawiony wszelkiego handlu.

Rytm życia w domu wyznaczają wyjścia i powrót taty i Dauda. Oni też przynoszą wiadomości. Z bazaru, od handlarza warzyw, z centrum handlowej lub meczetu. A my słuchamy ich chciwie.

- Obraz religii, jaki talibowie tworzą poprzez swoje dziwaczne prawa, napawa Afgańczyków odrazą. Zawsze byliśmy muzułmanami, ale nikt nie identyfikuje się z ich islamem. Zmuszają ludzi, żeby przystawali byle gdzie na ulicy, by odmówić modlitwę. Pewien mężczyzna opowiadał, że był zatrzymywany pięć razy z rzędu i za każdym razem musiał robić, co mu każą! Podobno też w meczecie, w chwili gdy kieruje się do Boga najgorętsze prośby, wielu mężczyzn wypowiada życzenie: „Boże, spraw, żeby zniknęli talibowie!”. Mogą nas zmuszać, a modlitwa i tak obraca się przeciwko nim.

Dni są niekończącymi się tunelami bezczynności. Większą część czasu spędzam, leżąc u siebie w pokoju, na wpatrywaniu się w sufit lub czytaniu. Koniec z porannym joggingiem, koniec z rowerem, powoli ramoleję. Koniec z lekcjami angielskiego, z gazetami, głupieję powoli od podlewanych sentymentalnym sosem indyjskich filmów, które przynosi Daud. Wujek zamalował nam szyby w wychodzącym na ulicę saloniku i jadalni, na werandzie w pokoju dziennym i w sypialniach, żeby talibowie nie widzieli błysków ekranu po godzinie policyjnej. Tylko z okna w kuchni, wychodzącego na inną stronę niż pokoje, można popatrzeć na meczet i szkołę, gdzie widać już tylko chłopców, jak siedzą w kręgu i recytują z mułłą Koran.

W głowie mam pustkę, żadnego planu. Czasem po mieszkaniu jak więźniarka po celi. Siadam na fotelu, potem na kanapie albo na dywanie. Idę korytarzem prowadzącym do kuchni i wracam do siebie. Siadam, kładę się, przyglądam się badawczo szczegółom wzorów na dywanach, wracam przed telewizor, znowu się kładę. Nigdy jeszcze tak dokładnie nie wpatrywałam się w meble i inne sprzęty domowe. Moją uwagę przykuwa okruch chleba na stole, fascynuje mnie lecący w górze ptak. Choć nie zdaję sobie z tego sprawy, pozbawiona wszelkiej substancji życiowej, popadam już w depresję. Mama, jest odległa, ospała, przestała się właściwie interesować, co robimy, bo i tak obie, Soraja i ja, nic nie robimy.

Od czasu do czasu przychodzi do mnie Saber.! Czasem mama przyjmuje pacjentki w burkach. Przy- \ chodzą z sąsiedztwa, zawsze się spieszą, są niespokojne. Otwieram im drzwi, a one znikają z mamą w salonie. Ich mężowie czekają na dole.

Któregoś dnia, pod koniec zimy, otwieram kobiecie w czadri, myśląc, że to jakaś pacjentka przychodzi potajemnie z prośbą o poradę. Ale ona zaczyna mi zadawać dziwne pytania:

- Nazywasz się Latifa? Jesteś córką Alii? Koleżanką Sabera?

Nie rozumiem, do czego zmierza, chcę więc zamknąć jej drzwi przed nosem, ale ona nie ustępuje:

- Tak, tak, to ty!

Nagle wybucha śmiechem i podnosi zasłonę znad oczu, a ja rozpoznaję siostrę Sabera:

- Farida! To ty? Omal nie napędziłaś mi strachu! Co ci przyszło do głowy, żeby w tym paradować?

- Przyszła nas odwiedzić moja starsza siostra, zażartowałam sobie z niej! Teraz przyszłam zażartować sobie z ciebie! Zamierzam tego używać i wychodzić! No, przymierz!

Jej widok w tym stroju jest dla mnie szokiem. Wiem, co to jest burka, widziałam ubrane tak kobiety na długo przed wejściem talibów. Niektóre kobiety ze wsi przychodzące do mamy po poradę nosiły ją zgodnie z tradycją, ale z własnej woli. Jednak w samym Kabulu taki widok był rzadkością. Za to w czasie wojny domowej burka bardzo przydawała się kurierom lub kurierkom do przenoszenia informacji. Anonimowe kobiece sylwetki o nierozpoznawalnej twarzy skrywały często bojowników w spodniach. Kiedy zdarzało nam się spotkać ubraną tak kobietę na ulicy, razem z koleżankami z liceum wyśmiewaliśmy się z nich.

Przeżywałyśmy je „butelki”, „odwrócone kalafiory” albo „torby na zakupy”. Gdy było ich kilka, „oddział spadochroniarzy”. Śmieszył nas głupi dowcip. „Po podróży do Afganistanu Japończyk wraca do domu i opowiada kolegom, że mężczyźni są tam bardzo dobrze zorganizowani i wyprzedzają nawet Japończyków. Pod jakim względem? - py-tają koledzy. Odpowiedź: chodzą po ulicach, prowadząc za rękę butelkę!”. Patrzę na ten strój z ozdobnej tkaniny, doszyty do spowijającego szczelnie całą głowę czepka, sięgający aż do stóp. Niektóre są o wiele krótsze, pewnie też wygodniejsze. Strach budzi we mnie siatka wyhaftowana na wysokości oczu i nosa.

- Tata też nam kupił, ale nasze nie są takie długie.

- Siostra znalazła ją u naszej cioci, jest stara, a ciocia była wysoka! Przymierz. Jeśli któregoś dnia będziesz chciała wyjść, będziesz musiała to włożyć.

Idę za radą Faridy, żeby jej zrobić przyjemność, ale też żeby sprawdzić, jak się w tym będę czuła. Duszę się. Materiał przykleja mi się do nosa, nie mogę dopasować haftowanej siatki tak, żebym miała ją przed oczami.

- No i co? Widzisz mnie? - pyta Farida.

Widzę, pod warunkiem, że stoję dokładnie naprzeciwko niej. Aby obrócić głowę, trzeba podtrzymywać materiał pod brodą, żeby się nie przesunął. Chcąc spojrzeć do tyłu, trzeba wykonać półobrót. Czuję własny oddech. Jest mi gorąco. Nogi płaczą mi się w fałdach, nigdy nie nauczę się chodzić w czymś takim. Teraz zaczynani rozumieć, dlaczego „kobiety-butelki” chodzą tak sztywno, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, albo pochylone nad możliwą przeszkodą; ich wahanie przed przejściem przez ulicę, powolne wchodzenie po schodach. Tym zjawom krążącym teraz po ulicach Kabulu niełatwo musi być omijać rowery, autobusy i wózki. Niełatwo

biec, żeby umknąć przed talibami.. To nie jest ubranie, to więzienie.

A przecież, jeśli będę chciała wyjść, będę musiała się pod tym ukryć. Chyba że przebiorę się za chłopca, obetnę włosy albo zapuszczę brodę, nie mam wyboru. Na razie nie czuję się na siłach. To maleńkie okratowane okienko podobne jest do klatki dla kanarka. A kanarek to ja.

Wydostaję się z fałd i zwojów upokorzona i wściekła. Moja twarz należy do mnie. A Koran mówi, że kobieta może nosić chustę, ale musi być przy tym rozpoznawalna. Talibowie chcieliby ukraść mi twarz, ukraść twarz wszystkim kobietom. Nie ma mowy! Nie wyjdę z Faridą.

- Nie będziesz przecież tkwiła w zamknięciu do końca życia!

- Boję się. I już. Boję się, że zapłaczą mi się w tym nogi, że będę na siebie zwracać uwagę, że pobiją mnie na ulicy, bo coś mi będzie wystawać spod spodu albo uniosę to draństwo, żeby kichnąć! Gdybym musiała ratować się ucieczką, nie dałabym rady.

- Ta jest za duża, włóż swoją!

- Nie. Ludzie mówią, że porywają młode dziewczyny, żeby na siłę wydać je za talibów.

- Ja tam chcę wychodzić. Chodzi ze mną brat, a z bratem nic ci nie grozi. Zapytaj Dauda!

Odmawiam kategorycznie, nie wyjdę. Zresztą nie mam ochoty oglądać na ulicy kobiet przemykających pod ścianami. Po powrocie byłabym kompletnie przygnębiona. Jeśli w ogóle bym wróciła... W audycjach radia Szariat nic się nie zmieniło: od ósmej do dziewiątej czytanie Koranu i modlitwy; od dziewiątej do wpół do jedenastej śpiewy, teksty propagandowe, odczytywanie nowych dekretów, przy czym niektóre są recytowane po arabsku, jakby chodziło o to, żebyśmy uwierzyli, że naprawdę zaczerpnięto je z Koranu.

Po czym następuje przerwa w emisji do szóstej po południu, jest to pora „apelu poległych”, z ogłoszeniami o śmierci talibskich „bohaterów”. Potem „informacje”, ciągle te same, obwieszczające triumfalnie kolejne zdobycze talibów, ani słowa oczywiście o starciach z ruchem oporu czy o niezdobytach wioskach. Wreszcie, o wpół do dziesiątej wieczorem, po odczytaniu jeszcze kilku świętych tekstów, radio Szariat milknie. Gdzieś w połowie dnia ktoś z rodziny proponuje bez większego przekonania, że przygotuje coś do jedzenia... Dom przypomina więzienie albo szpital. Panuje dotkliwa cisza. Ponieważ nikt nic nie robi, nie mamy sobie nic do powiedzenia. Każde z nas zamyka się w sobie ze swoim zagubieniem i strachem, bo nie jesteśmy w stanie o tym rozmawiać. Kiedy wszyscy tkwią w tej samej czarnej dziurze, nie warto przypominać, że nic nie widać.

Obijam się, nie przebieram, zdarza się, że trzy czy cztery dni z rzędu nie zmieniam ubrania, ani w dzień, ani w nocy. Telefon u sąsiada nie dzwoni, nadal jest odcięty. A w dniu, kiedy przywracają wreszcie łączność, ojciec waha się, czy z niego skorzystać: doskonale wiemy, że talibowie wszystkich podsłuchują, wszystko kontrolują...

Czasem wpadają koledzy Dauda, żeby po kryjomu obejrzeć filmy na kasetach.

Od czasu do czasu odwiedzają mnie Farida i Sa-ber, są bardziej skłonni do przygód, wychodzą z domu. Ja nie potrafię zaryzykować. Wydaje mi się, że jedynym, jaki mi pozostał, sposobem wyrażenia oporu jest zamknięcie się w domu, nieogłędanie ICH.

Dopiero cztery miesiące po wejściu talibów, na samym początku 1997 roku, Farida zdołała mnie namówić na wspólną wyprawę do miasta, pod pretekstem odebrania ostatniego numeru gazetki, który niedawno pożyczylam naszej koleżance Marjam. Nie uważam, żeby to było konieczne.

- Musisz wyjść! - upiera się Farida. - Wyglądasz okropnie, a to najlepszy sposób na przeciwstawienie się rzeczywistości! Jeśli dłużej będziesz tkwiła w zamknięciu, oszalejesz!

Znikam pod moim czadri i razem z Farida i Sabe-rem rozpoczynamy dziwaczny „spacer”. Od czterech miesięcy nie wytknęłam nosa z domu. Czuję się zagubiona jak osłabiona rekonwalescentka. Ulica wydaje mi się za duża, mam wrażenie, że cały czas jestem śledzona. Szepczemy pod zasłonami, żeby nie zwracać na siebie uwagi, a Saber nie odstępował nas na krok.

Po drodze mijamy nasze dawne liceum: talibowie pilnują wejścia. Na przylegającym do niego boisku sportowym posępne girlandy z taśm. Pozawieszali je na koszu, na siatce, na gałęziach drzew. Ojciec już mi o tym opowiadał, ale myślałam, że to tylko taka czasowa demonstracja. Najwyraźniej jednak te swoiste transparenty są systematycznie uzupełniane, przypominając o zakazie. Koniec z obrazami, koniec z muzyką.

Trochę dalej mijamy cztery kobiety. Nagle, z piekielnym rumorem, hamuje przy nich czarny dżip. Talibowie zeskakują z siedzeń, wywijając kablami zastępującymi im baty, i bez słowa, bez wyjaśnienia zaczynają okładać te kobiety, chociaż spowite są w burki. Kobiety krzyczą, ale nikt nie przychodzi im z pomocą. Zaczynają więc uciekać, ale tamci gonią je, bijąc bez przerwy. Widzę krew kapiącą im na buty.

Sparaliżowana, niezdolna do ruchu, mam wrażenie, że zamieniłam się w kamień. Zaraz tu będą, dopadną mnie! Farida szarpie mnie za ramię:

- Biegiem! Trzeba uciekać! Biegiem!

Przytrzymuję więc ręką zasłonę na twarzy i biegniemy jak szalone, do utraty tchu... Saber zostaje z tyłu, jako żalosna ochrona, zdaje sobie sprawę, że nie mógłby w niczym przeszkodzić. Nie wiem, czy talibowie nas gonią, wydaje mi się, że czuję ich za plecami. W każdej chwili spodziewam się uderzenia różgi, boję się, że zachwieję się pod ciosami.

Na szczęście nie odeszliśmy daleko od domu i w pięć minut znikamy na klatce schodowej. Nie mogę mówić, oddycham z trudem. Szlocham nerwowo, nie mogąc się opanować. Farida z wysiłkiem łapie oddech i mamrocze coś niezrozumiale, pewnie przekleństwa pod adresem talibów. To buntownicza, większa niż ja.

Dogonił nas Saber; on zrozumiał, co się stało, i teraz tłumaczy to przejętej zgrozą siostrze.

- Zbili je, bo miały białe obuwie...

- Jak to? To jakiś nowy dekret?

- To kolor flagi talibów, kobiety nie mają prawa nosić się na biało. To znaczy, że podeptały flagę!

Wydawane jeden po drugim, bez żadnej dbałości o spójność, dekrety wynikają jednak według mnie z pewnego logicznego zamiaru: jest nim eksterminacja afgańskich kobiet.

Pewna kobieta wyszła kiedyś z domu w samym czadorze, przyciskając do piersi Koran. Wpadła na talibów, a oni zaczęli ją bić. Kobieta zaprotestowała:

- Nie macie prawa, patrzcie, co jest napisane w Koranie!

Niestety, w tym zamieszaniu Koran upadł na ziemię, ale żaden z napastników nie kwapił się go podnieść... A nigdy nie powinien znaleźć się bez-pośrednio na ziemi. Gdyby talibowie naprawdę czytali Koran, wiedzieliby o tym. Oni jednak nie przejmują się zwyczajowymi zasadami naszej religii. Toteż ich dekrety są w oczywistej sprzeczności ze świętymi tekstami. Koran podaje na przykład, że kobieta może obnażyć się przed mężczyzną wtedy, gdy jest to jej mąż lub lekarz. Jeśli kobietom zabrania się leczyć u mężczyzn, a równocześnie nie wolno im wykonywać żadnego zawodu, włącznie z zawodem lekarza, to znaczy, że chce się je unicestwić. Głęboka depresja, w jakiej z wolna pogrąża się nasza matka, jest wymownym skutkiem tej negacji kobiet. Mama miała stanowczy charakter, zawsze czuła się wolna u swoich rodziców, na studiach, nawet jej ślubu nie zaaranżowała rodzina.

W czasach, kiedy studiowała na uniwersytecie, nosiła spódnice albo spodnie. W latach sześćdziesiątych chodziła do kina Zajnab, zabierała tam nawet swoje siostry. W owym czasie kobiety kabilskie domagały się swoich praw, a z okazji roku kobiet w 1975 roku rząd prezydenta Dauda ogłosił zgodnie z duchem demokratycznym, że: „Kobieta afgańska tak samo jak mężczyzna ma prawo do dysponowania własną osobą, do wyboru zawodu i męża”

Pewne stowarzyszenie kobiece starało się z ogromnym trudem wyegzekwować stosowanie tego prawa w najodleglejszych prowincjach kraju. Jego członkinie miały wielkie trudności z przezwyciężeniem tradycji zakorzenionych wśród różnych plemion. Mama opowiadała mi, że w niektórych wsiach straszono nieposłuszne dzieci, że przyjdzie do nich „kobieta z odsłoniętą twarzą, prawdziwy potwór”. „Jak będziesz niegrzeczny, to cię zje!”

Mama odbywała staż pielęgniarski w szpitalu Masturat w Kabulu, gdzie leczono same kobiety.

Współpracowała z wybitnymi profesorami, doktorem Fatehem Nadżmem, doktorem Nur Ahmadem Balazem i doktorem Karamuddinem. Należała do zespołu opiekującego się matką króla Zahera. Po wejściu wojsk radzieckich została zatrudniona w naszym dzielnicowym żłobku, dzięki czemu ja też mogłam z niego korzystać podczas jej godzin pracy. Któregoś dnia, miałam wtedy cztery lata, wściekła wpadła do sali, wyprowadziła mnie, odwiozła taksówką do domu i zaraz odjechała. Wiele lat później opowiedziała mi o powodach tego pośpiechu. Otóż pielęgniarka, która szczepiła dzieci, zwróciła ostro uwagę, że do wszystkich zastrzyków używa tej samej strzykawki, co grozi zarażeniem całej placówki. Był rok 1984 i matka świetnie wiedziała, czym kończą się takie praktyki. Tego samego dnia wezwano ją do wydziału zdrowia i powiadomiono o karze:

- Nie ma pani prawa spierać się z radziecką pielęgniarką.

- Nawet o błąd w sztuce? Czy wiadomo wam

o co poszło?

- Sowieci robią, co im się podoba. Nie wolno pani mieszać się do tego. Przeprosi pani tę pielęgniarkę, w przeciwnym razie zostanie pani uznana za kontrrewolucjonistkę.

- Ta kobieta dopuściła się poważnego przestępstwa! Naraża życie afgańskich dzieci, a moja dur afgańskiej kobiety nie pozwala mi jej przepraszać;] Odmawiam.

- Jest pani zwolniona!

Mama chciała odebrać z wydziału zdrowia swoje akta osobowe, ale nieoczekiwanie zniknęły. Minister Nabi Kamjar, chcąc jakoś załatwić sprawę zaproponował jej wtedy zrobienie specjalizacji, którą mogła sama wybrać. Zdała egzamin i w następnym roku wysłano ją do Pragi na sześciomiesięczny staż szkoleniowy z ginekologii. Skończyła go z najlepszą oceną z całego rocznika. Po powrocie do Kabulu poszła do ministra, żeby mu oznajmić:

- Dziękuję panu, teraz przechodzę na emeryturę. Nie chcę więcej pracować pod rozkazami Sowietów!

Przekonał ją jednak, żeby nie rezygnowała

współpracowała z nim w Ministerstwie Zdrowia. Na emeryturę zdecydowała się ostatecznie trzy lata później, ale nadal prowadziła praktykę w domu i dorywczo w szpitalu. Do wejścia talibów.

Przymusowa bezczynność zawodowa nie była dla niej szansą, która pozwoliłaby jej zająć się kuchnią i wychowaniem najmłodszej córki. Mama nigdy nie była fanatyczką zajęć domowych. Natomiast tata doskonale się w nich sprawdzał; w pewnym okresie zatrudnił kucharkę, żeby mama mogła bez przeszkód wykonywać zawód. Mama jeszcze gorzej niż my znosi brak zajęć. Soraja i ja jesteśmy młode, możemy żywić nadzieję, jak mówi tata. Jednocześnie widząc, jak z każdym dniem jego żona pogrąża się coraz bardziej w tym niechcianym nicnierobieniu, obawia się najgorszego.

Po przyjeździe z miasta zarówno tata, jak i jego znajomi opowiadają o koszmarnych, okropnych, oburzających scenach. Jak pogodzić się z tym, że na ulicy policja religijna obcina kobiecie palce, ponieważ pomalowała sobie paznokcie? Tata stara się, jak może, aby do mamy nie docierały te opowieści. Ale żeby przeżyć grozę,

nie trzeba nawet wychodzić z domu.

Na początku zimy 1997 roku z ulicy dobiega krzyk jakiejś kobiety.

- Mój syn jest niewinny! Mój syn jest niewinny!

Wyglądam przez okno i poznaję matkę Ajmala, chłopca z sąsiedniego bloku. Trzech talibów znęca się nad nim, okładając go kolbami kałasznikowów. Biją metodycznie, zwłaszcza po żebrach. Obie z Sorają szybko odsuwamy się od okna, żeby nas nie zauważyli; krzyki chłopca rozdierają nam serce.

Potem zalega cisza: talibowie zniknęli, na dole została tylko matka Ajmala, szlocha pochylona nad nieruchomym ciałem syna. Kiedy przyjechali lekarze, żeby zabrać go do szpitala, było już za późno. Ajmal nie żył od około godziny.

Daud dowiedział się, co się stało. Ajmal zaprosił kolegów, żeby wbrew obowiązującemu zakazowi obejrzeć kasetę wideo. Talibowie wtargnęli do mieszkania, żeby złapać na gorącym uczynku grupę sześciu chłopców w wieku od piętnastu do siedemnastu lat. Rozbili telewizor i magnetowid, porwali taśmę z filmem, a potem wyprowadzili wszystkich przed dom. Tam zapytali, do kogo należał sprzęt, i Ajmal się przyznał. Za karę kazali chłopcom spo-liczkować się wzajemnie, co dla Afgańczyka jest bardzo upokarzające, nawet dla młodego chłopca. Ajmal nie uderzał jak na ich gust dostatecznie mocno, więc jeden z talibów do niego podszedł.

- Pokażę ci, jak to się robi - powiedział i zaczął się nad nim znęcać.

Najpierw bił go gołymi rękami, a potem karabinem. Matka Ajmala chciała go bronić, a wtedy jeden z talibów uderzył ją w twarz, po czym popchnął na druty kolczaste. Ajmala linczowali dalej kolbami.

Kiedy talibowie wkraczali do Kabulu, rodzina Ajmala była jedną z tych, które rzucały z okien kwiaty, witając ich jak zwycięzców. Po tej tragedii jego matka zaczęła przeproszać wszystkich za to powitanie. Zwariowała. Nigdy by nie pomyślała, że talibowie mogą na jej oczach zamordować z zimną krwią jej syna... Zbiera kamienie i rzuca nimi w ich samochody. Nieraz już ją złapali i wychłotali, ale ona niezmordowanie robi to samo. Mogą ją bić, co ona ma jeszcze do stracenia?

W lutym 1997 roku wychodzę z domu po raz drugi, tym razem z Sorają. Kobietom nie wolno pracować, ale talibowie obiecali wypłacać im pensje jeszcze przez kilka miesięcy. Daud towarzyszy nam do siedziby linii Ariana, która mieści się kilka kilometrów od domu. Jest bardzo zimno. Na spodnie treningowe i ciemne swetry włożyłyśmy długie czarne sukienki. Mamy czarne adidas, czarne skarpetki, dobrze dopasowane na głowach brązowe czadri, w zasadzie nie powinnyśmy więc wzbudzać podejrzeń talibów. Aleja bardzo się zmieniła, odkąd widziałam ją po raz ostatni. Gmachy telewizji i linii lotniczych są nadal zamknięte, wyglądają ponuro. Kilka metrów od wejścia do budynków stanęły blaszane baraki; są to zwykłe kontenery. Tutaj przyjmuje się kobiety pojedynczo, sprawdza papiery i wypłaca pensje. Z boku dostrzegam mały wywiercony otwór, coś w rodzaju judasza. Kiedy czekamy w kolejce, orientuję się, jakie jest jego przeznaczenie. Obserwuję, jak do kontenera wchodzi kobieta i staje przed judaszem, wkłada do niego rękę, po czym przekazuje papiery talibowi znajdującemu się na zewnątrz. Ten sprawdza je i w ten sam sposób oddaje kobiecie razem z plikiem banknotów stanowiących jej zapłatę.

Najwyraźniej czadri nie wystarcza, potrzebne im jeszcze to blaszane zabezpieczenie oddzielające ich od kobiety. Czego oni się boją? Jesteśmy nieczyste; to nie przeszkadza im jednak bić kobietę po twarzy gołą ręką i pchać ją na druty kolczaste!

Kobiety, które przyszły dzisiaj po swoją należność, zaczynają protestować: dlaczego nie mogą wejść do środka? Dlaczego przyjmują je w blaszanym baraku?

Jeden z talibów siedzących na ziemi przy wejściu do kontenera wstaje i oddaje kilka strzałów w powietrze, żeby nas nastraszyć. Jeśli o mnie chodzi, to mu się udało. Narges, bezrobotna stewardesa, koleżanka Sorai, nie wytrzymuje, zdziera nagle burkę i wykrzykuje:

- To hańba, żeby nas tak traktować!

Ośłupienie... Ośmieliła się zaprotestować i pokazać w pełnym świetle swoją ładną buzię.

Inne kobiety, zachęczone jej zachowaniem, zwracają się przeciwko talibowi i ruszają w jego stronę z gniewnym krzykiem. Błyskawicznie dołączają do niego inni talibowie, wpychają nas brutalnie do baraku, a szarpiącą się Narges wyprowadzają.

W zamknięciu zdzieramy czadri i zaczynamy wołać podniesionymi głosami:

- Nie odejdzimy stąd, dopóki ona nie wróci...! Jest nas około dwudziestu, nie więcej. Nie wiem, czy Daud widział całą tę scenę, chyba nie. Myślał pewnie, że formalności będą długo trwały, i poszedł na spacer. W baraku rozgorzała dyskusja. Boimy się o Narges. Każda z nas zastanawia się, jaką karę jej wymierzili. Jedyne, co możemy zrobić w jej obronie, to pozostać tu z odkrytymi twarzami, żeby nie śmieli nas wyrzucić. Słaby szantaż.

Wreszcie pojawia się Narges, jest bardzo wzburzona, włożyła burkę, ale nic nie mówi. Talibowie wrzeszczą, że mamy się wynosić.

Wracamy w stronę Mikrorajan w ósemkę. Narges opowiada nam po drodze, co się wydarzyło. Talibowie wprowadzili ją do dawnego biura kadr na parterze.

- Dlaczego zdjęłaś czadri? Dlaczego próbujesz się stawiać i nas obrażać?

- Bo nie macie prawa zabraniać kobietom pracować. Ani przyjmować nas w tym baraku, traktować niczym psy. Mamy swój udział w działalności tego towarzystwa. Nie nosiliśmy burek w samolotach ani w biurach!

- Jesteś tylko kobietą! Nie masz prawa się wypowiadać, nie masz prawa podnosić głosu! Nie masz prawa zdejmować czadri! Minął czas, kiedy podróżowałaś i paradowałaś bez czadri!

Narges mówi, że dwa razy próbowała je ściągnąć i dwa razy jej w tym przeszkodzili.

- Spróbuj jeszcze raz, a cię zabijemy.

Na szczęście jeden z talibów pilnujących baraku przyszedł im powiedzieć, że nie odejdziemy dopóty, dopóki ona nie wróci. Wahali się przez chwilę, a potem wypchnęli ją na dwór:

- Wynocha! I bądź cicho!

Za taki bunt mogła być surowo ukarana, może nawet śmiercią. Dlaczego ją wypuścili? Czyżby się obawiali, że będą musieli ujarzmić garstkę kobiet? Co prawda, nie było nas wiele. Może dostali jakieś polecenia, ale jakie? Narges nie może się uspokoić. Poczzerwieniała z gniewu. To bliska koleżanka Sorai, zawsze była niezależna i stanowcza.

- Trzeba się buntować. Dzisiaj nie udało nam się wiele zdziałać, bo było nas za mało. Ale jeśli jutro będą tysiące, uda nam się obalić tych talibów!

Zgadza się z nią, ale jak się buntować? Spotykać się, ale gdzie? Mogłybyśmy narazić nasze rodziny na niebezpieczeństwo. Nie mamy broni. W kraju nie istnieje wolność słowa, nie ukazują się prasa, nie działa telewizja. Do kogo się zwrócić? Jak zapewnić sobie pomoc z zewnątrz, kiedy jest się pozbawioną twarzy i głosu zjawą?

To była nasza pierwsza manifestacja od pięciu miesięcy, odkąd rządzą nami talibowie. Bałam się. Byłam jeszcze bardzo wzburzona, kiedy Daud dogonił naszą grupkę w drodze do dzielnicy Mikro-ajan.

Tego wieczoru, w mieszkaniu z zamalowanymi szybami, w świetle lamp naftowych, miałyśmy nareszcie co opowiedzieć mamie. Ale ona, kiedyś tak bojowo nastawiona, ze smutkiem położyła swoje zmęczone ręce na głowach córek i powiedziała:

- Byłyście odważne, jestem tego pewna.

Stało się dla mnie straszliwie pewne, że nie chce więcej słyszeć o wojnie ani o buncie. Połknęła lekarstwa i schroniła się w swój kamienny sen. Tam, gdzie talibowie nie mogą jej dosięgnąć.

## Trzy dziewczyny

Jedyny kontakt ze światem zewnętrznym mam teraz przez okno kuchenne i drzwi wejściowe do mieszkania. Rano wpatruję się w meczet i w rysujący się w oddali budynek szkoły. W ciągu dnia otwieram czasem drzwi, żeby wpuścić potajemnie pacjentki mamy, które przemykają po ulicach w czadri, aby przyjść do niej po pomoc. Po skończonej wizycie zamykam za nimi drzwi i wracam do swojego pokoju. Kładę się, słucham po cichu Muzyki i oglądam filmy, które widziałam już dziesiątki razy.

Fizycznie nie czuję się dobrze, jakieś dziwne, bezimienne osłabienie przykuwa mnie do łóżka obok Sorai. Razem bez końca wspominamy wszystkie te rzeczy, których już nie robimy. Nawet urodziny Duda w październiku minęły bez echa. Sukienka

Szyta na wesele, na którym nie byliśmy, leży złożona w pudełku. Nie ma mowy o włożeniu jej w tych czasach. A my tak lubiliśmy uroczystości, wesela, rodzi- nne spotkania, na których wolno nam było śmiać się i tańczyć! Spacerować ulicami i kupowanie kosmety- ków, kaset z muzyką, książek... Rozmowy z kole- żankami, kiedy wracałyśmy z zajęć... Niektóre, nie takie skromne jak ja, śmiały się do rozpuku, gdy mijali nas chłopcy, wymieniały szeptem uwagi temat ich wyglądu, ubrania. Kiedy miały piętnaście czy szesnaście lat, ich rodzice zaczęli myśleć o zaręczynach. Ja jestem w tej sprawie o wiele bardziej powściągliwa. Zawsze myślałam, że zde- cyduję się na małżeństwo dopiero wtedy, kiedy dobrze poznam charakter przyszłego męża, jego przeszłość i rodzinę. I kiedy będę pewna, że pokocham. Jestem wierząca, odmawiam modlitwy szanując nasze tradycje. Jeśli mój mąż poprosiłby mnie, żebym nosiła poza domem chustę albo cza- dor, zgodziłabym się bez dyskusji, ale dalej bym się w mojej uległości nie posunęła. Rodzice przyznają mi rację. Dobrze wiem, że w naszej kulturze kobieta może żyć bez opieki mężczyzny - ojca, brata C2 męża. Nie odrzucam tej opieki, przeciwnie, ale chcę być niezależna i mieć swobodę myślenia. Soraja jest panną, tego wymaga jej zawód stewardesy. Mówi że jest taka jak ja, że wyjdzie tylko za mężczyznę którego sama wybi- erze. Ani ojciec, ani matka

chcą nam niczego narzucać w tej sprawie. Tak czy inaczej, żadna z nas nie myśli o małżeństwie. A poza tym, straszne czasy, w jakich żyjemy, nie sprzyjają spotkaniom.

Nie widzimy już nikogo z rodziny, tylko z rzadka sąsiadów, a od czasu zdarzenia przed Towarzystwem Lotniczym Ariana nie wychodzimy z siostrą z domu.

Wściekam się z bezsilności na talibów, którzy uwięzili nas - kobiety, i dopuszczam do siebie okropną myśl, że jeśli długo pozostaną przy władzy, będę przegrana. Chyba że zbiegnę z kraju, powiększając rzesze ucie- kinierów i uchodźców. Rodzice nie chcą o tym nawet myśleć. Ja zresztą też.

Naszą jedyną pociechą jest względna zamożność rodziców. Zapewnia nam egzystencję, której mogłoby nam pozazdrościć wiele kobiet, choćby sam przywilej jedzenia do syta. Ale z biegiem lat zestarzejemy się bez pracy, miłości, bez dzieci. Siostra jest smutna i zrezygnowana, z wolna ogarnia ją pesymizm; trawiący mnie wewnętrzny bunt objawia się chorobliwą biernością.

Ktoś puka do drzwi. Rozpoznaję to natarczywe i Pośpieszne pukanie, zapowiada wizytę nielegalnej Pacjentki. Oznacza: „Otwórzcie szybko! Dajcie mi się ukryć, nie chcę, żeby mnie widziano!”

Żeby mnie widziano? A kto by rozpoznał kobietę w burce? Ale strach niepodzielnie zapanował teraz wśród kobiet, stał się niemal ich drugą naturą.

Boją się spotkać sąsiada, odpowiedzieć na pytanie. Obawiamy się wszystkiego. Otwieram drzwi brązowej burce, którą kobieta ściąga zaraz za progiem.

Twarz ma obrzmiała, jej spuchnięte wargi krwawią. Nie musi nic mówić, od razu prowadzę ją do salonu, gdzie zbada ją mama, a sama, z szacunku dla niej, wychodzę do swojego pokoju. Ale przez ścianę słyszę jej płacz i za chwilę mama woła:

- Przynieś mi wrzątku i bandaże, szybko! Nalewam wody do garnka, przygotowuję bandaże, niecierpliwie czekam, aż zabulgocze woda. Jeszcze jedna... Jeszcze jedna upokorzona i pobita kobieta, Bóg jeden wie dlaczego...

Patrzę, jak mama oczyszcza, a potem zakłada szwy na rany znaczące piersi i tułów kobiety. W tym oszalałym świecie lekarz działający w podziemiu musi umieć zrobić prawie wszystko. Kobieta opowiada, jaka ją spotkała krzywda: została wychło- stana kablem, bo ośmieliła się wyjść sama z domu. Mama pyta:

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Ojciec zginął w walkach zimą tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Nie mam męża, brata ani syna.

- A jak poradziłaś sobie dzisiaj?

- Kuzyn zgodził się mnie odprowadzić.

Nie miała wyboru, musiała wychodzić sama, żeby kupić coś do jedzenia. Talibowie nigdy nie



starają się zrozumieć, tylko biją. I nie ograniczają się do bicia, w krótkim czasie sięgają po inne metody. Międzynarodowa sekcja BBC podała, że mo-dżahedini Ahmada Szaha Masuda przyłączyli się do oddziałów wodza uzbeckiego Abdula Raszida Dostuma, jego dawnego wroga, i rozpoczęli kontrofensywę na północ od Kabulu. Radio Sza-riat oczywiście o tym nie mówi, bo radio Szariat ogranicza się do wystawiania sukcesów bohaterskich talibów, a milczeniem pomija ponoszone przez nich straty. Gdyby wierzyć mulle, który na falach eteru ma „informować” mieszkańców Kabulu, talibowie zajęli cały obszar Afganistanu, i to nie jeden raz, a ze dwadzieścia razy! A tymczasem ruch oporu pod dowództwem Masuda zajmuje jeszcze ćwierć terytorium, które talibowie chcą zaanektować. Walki trwają i toczą się w regionie Kohestan.

Kilka dni później, około godziny dziewiątej wieczorem, cztery czadri dzwonią do drzwi. Jedna z kobiet daje się rozpoznać: to Nafisa, dawna koleżanka szkolna Sorai. Pozostałe trzy, bardzo młode dziewczyny, są jej kuzynkami z prowincji i nie chcą odsłonić twarzy. Nafisa wyjaśnia nam krótko, że przybyły z regionu Kohestan, a dokładnie - z równiny Szomali.

Ponieważ przyszły same, ojciec się niepokoi:

- Nikt was nie przyprowadził?
- Zgodził się nas tu przywieźć pewien taksówkarz.

Mama wprowadza trzy dziewczyny do salonu i zamyka się z nimi, a tata schodzi po cichu z Nafi-są, żeby podziękować kierowcy.

Słyszę za drzwiami płacz dziewczyn i głos mamy, która je zaklina, żeby się uspokoiły, bo sąsiedzi mogą je usłyszeć. Potem wychodzi z pokoju, szybko kreśli kilka słów i zwraca się do Dauda:

- Zanieś tę kartkę do mojej koleżanki doktor Simy. Mieszka na osiedlu Mikrorajan dwa. Pośpiesz się, Daudzie, do godziny policyjnej została tylko godzina!

Po dziesiątej wieczorem nie wolno poruszać się po mieście, a w mieszkaniach muszą być zgaszone wszystkie światła. Chociaż szyby zostały u nas zamalowane, żeby z zewnątrz nie było widać, co się dzieje wewnątrz, razem z z Sorają zawieszamy w oknach zasłony z ciemnego materiału, żeby mama mogła spokojnie zbadać dziewczyny.

Potem mama prosi, żebyśmy na podłodze rozłożyły dużą plastikową płachtę, bo będzie operować. W domu nie ma już nowych igieł chirurgicznych, bo mama nie może jak dawniej zaopatrywać się w szpitalu, gotujemy więc wodę, żeby wysterylizować stare. Mama wkłada je do kuwetki ze spirytusem. Nie wiem jeszcze, co się stało trzem dziewczynom, skulonym teraz na podłodze szlochającym z cicha pod burkami.

Jedna z nich kołysze się lekko do przodu i do tyłu, trzymając się za brzuch. Nigdy nie zapomnę tej rozpaczliwej tego cierpienia. W oczekiwaniu na powrót Dauda, mama opowiada nam w kuchni, co się wydarzyło.

- Są mniej więcej w twoim wieku, Latifo, jakieś piętnaście, szesnaście lat... Talibowie porwali je podczas ofensywy na równinie Szomali. Banda składająca się z kilkunastu mężczyzn. Zgwałcili je... wszyscy po kolei. To okropne, ale... to nie wszystko... Jeszcze...

Mama zawiesiła głos, rozumiemy, że trudno jej wytłumaczyć własnym córkom, że... Soraja ma łzy w oczach, ja wpatruję się w mamę, jestem tak wstrząśnięta, że chociaż chciałabym krzyczeć, szepcze:

- Co? Co?
- Okaleczyli ich narządy płciowe, są poroźdierane...

Mama milknie i wraca, aby zająć się nieszczęsnymi pacjentkami. Teraz, przy użyciu skromnych środków, jakimi jeszcze dysponuje, będzie dezynfekować, znieczulać i szyc. Nie próbuję nawet pytać, czy ból będzie do wytrzymania. Nie próbuję nawet sobie wyobrazić... Odpycham od siebie przerażającą wizję kilkunastu bandziorów pastwiących się nad trzema moimi rówieśnicami, dziewczynami... moimi siostrami.

Daud wraca tuż przed godziną policyjną razem z doktor Simą. Widząc, co się dzieje, lekarka reaguje tak gwałtownie, że mama musi jej nakazać, żeby się wzięła w garść i zachowała zimną krew.

- Musisz mi pomóc skończyć, uspokój się. Przyniosłaś, o co prosiłam?
- Tak. Zabrałam wszystko, co mam.

Do czwartej rano zajmują się dziewczętami. Z naszego pokoju słyszymy ciche pojękiwania operowanych i krótkie szeptane słowa mamy i doktor Simy. Nie jesteśmy w stanie myśleć o czymś innym, nie potrafimy zasnąć.

Na wsiach dziewczyny i kobiety żyją w o wiele gorszych warunkach. Mama mogła się o tym przekonać za okupacji radzieckiej. Wydział zdrowia wysłał ją kiedyś na sześć miesięcy do pracy w Kandaharze. Zajmowała się tam profilaktyką i zabiegami pielęgniarstwu. Opowiadała mi, jak trudno tam było mówić o regulacji urodzeń, o problemach ginekologicznych, a nawet po prostu o budowie kobiety.

Któregoś dnia przyszła do niej kobieta trzydziestodwuletnia- czy czterdziestoletnia, skarżąc się na uderzenia gorąca i na omdlenia, przekonana, że jest w ciąży, a to była menopauza.

Jedynie małżeństwo zaaranżowane przez rodzinę mogło zapewnić przyszłość kuzynkom Nafisy. Jaki sąsiad z wioski albo kuzyn z plemienia poprosi teraz o ich rękę? Żaden. Nawet jeśli wszystko pozostanie w tajemnicy, to będą nosić w sobie brzemię hańby...

Zgodnie z okrutną tradycją praktykowaną jeszcze w naszych czasach, dla afgańskiej kobiety gwałt oznacza konieczność poślubienia gwałciiciela albo skazanie jej na wygnanie lub na śmierć. Nie mam porywczego charakteru, ale od tej nocy wiem, że gdyby mnie to kiedyś spotkało, mogłabym zabić gwałciiciela, a potem skończyć z sobą.

Po skończonej ciężkiej pracy mama i doktor Sima rozmawiają w kuchni, popijając gorącą herbatę. Dziewczyny zasnęły wreszcie w salonie. Mama namawia doktor Simę, żeby otworzyła potajemny gabinet.

- W dzielnicy jest tyle chorych kobiet. Przyjeżdżają nawet z daleka, sama nie daję rady. Nie mam już prawie sprzętu medycznego, skończyły mi się leki. Ty masz dorosłe dzieci za granicą, możesz je poprosić o wszystkie brakujące nam lekarstwa. Możesz się zorganizować lepiej ode mnie. A zresztą, ja jestem zmęczona, brakuje mi sił.

Poczta w Kabulu działa teraz w wymiarze szczątkowym, każda paczka może być przechwycona. Wszystko przechodzi przez Peszawar w Pakistanie. Tamtędy przepływają też obowiązkowo pieniądze i towary, które mieszkający za granicą Afgańczycy przesyłają rodzinom i przyjaciółom pozostałym w kraju. Nawet wiadomości i listy odbywają tę drogę. A do tego trzeba jeszcze mieć zaufanych kurierów, znać pewne kanały... Te warunki spełnia doktor Sima. W nagłych sytuacjach, ilekroć mamie potrzebny był jakiś lek, zdobywała go dzięki doktor Simie.

Bez wahania zgadza się na uruchomienie tajnego gabinetu. Po okropnościach, które zobaczyła dzisiejszej nocy, nie ma wątpliwości, że niezwłocznie trzeba podjąć działanie. Teraz kobiety nie mają gdzie się zwrócić o pomoc, bo lekarzami mogą być tylko mężczyźni, a im wolno leczyć wyłącznie mężczyzn! W taki to sposób powstanie największy w Kabulu potajemny gabinet lekarski.

Trzy dziewczyny odjechały rano z Nafisą i taksówkarzem. Jaki los je czeka? Nie zobaczyłyśmy ich nigdy więcej.

Społeczeństwo z każdym dniem podupada, marnieje, a my nie możemy temu przeciwdziałać. Tata opowiada, że w mieście jest coraz więcej żebraków, są to głównie kobiety odsunięte od pracy i wdowy. Mama mojej koleżanki szkolnej Anity zarabia na życie, piorąc po domach. Była nauczycielką w moim liceum. Inne kobiety wypiekają chleb i tradycyjne ciastka, które ich synowie sprzedają następnie na ulicy. Jeszcze inne haftują, wyrabiają naszyjniki.

Daud widział niedawno chłopców sprzedających papierosy luzem i pojedyncze tabletki aspiryny. Mówi też, że niektórzy zdecydowali się sprzedawać narkotyki, żeby pomóc w utrzymaniu rodziny. Na granicy z Pakistanem handel narkotykami jest najbardziej dochodowy. Talibom to nie przeszkadza. Tymczasem radio Szariat uraczyło nas kolejnym dekretem. Mułła Omar, ich wódz i przywódca duchowy, uznał, że siatka z haftu w burkach, przez którą kobiety widzą tylko to, co przed nimi, ma za duże oczka! Oczka powinny być mniejsze i gęściejsze. Mułłowie nie podali dokładnie, jakie są obowiązujące rozmiary. Może mniej niż pół milimetra? Wobec takich obłąkańczych pomysłów obie z siostrą tracimy resztki nadziei. Do tego stopnia, że powtarzamy w kółko: „Co możemy zrobić? Umrzeć?”

Od jakiegoś czasu jestem chora. Dziś rano mam gorączkę i kręci mi się w głowie; kiedy próbuję wstać, opadam ciężko na łóżko. Mama domyśla się, że spada mi ciśnienie, ale nie rozumie dlaczego. Najgorsze jest to, że ona jest jeszcze bardziej chora.

Pogrąża się w depresji. Opiekujemy się nią, jak możemy, ale jesteśmy bezsilni, dysponujemy jedynie środkami nasennymi. Ojciec, który ją tak kocha, stara się być przy niej nieustannie, w każdej chwili. Nie możemy stracić matki. Nie wyobrażamy sobie bez niej życia. Zarządzała domem. Jako kobieta z charakterem była zorganizowana i skuteczna. Widzieć ją w tym stanie jest dla nas dodatkowym powodem do smutku. Dręczy nas ciągle niepokój, wywołany tym wszystkim, co dzieje się w Kabulu.

Mama czuje się dobrze tylko wtedy, kiedy może kimś się zająć albo udzielić porady, chociaż czasem wolałaby nie przyjmować tych umęczonych kobiet. Nie ma bowiem nic, czym mogłaby im pomóc.

Niedawno przyszła do niej kobieta z krwotokiem. Żeby jej pomóc, trzeba było zrobić zastrzyk z niedostępnego leku kosztującego ponad milion afghani. Przedtem mama przynosiła tego rodzaju lekarstwa ze szpitala. Teraz nie może tam nawet pójść. Jako pozbawioną prawa wykonywania zawodu wyrzucono ją brutalnie i jeszcze na dodatek ukarano. Zakaz prowadzenia praktyki męczy ją bezustannie, myśli o tym pewnie dzień i noc do tego stopnia, że dręczą ją koszmary. Kiedy musiała odesłać z niczym tamtą pacjentkę, powiedziała nam:

- Ta kobieta będzie miała powikłania, to nieuniknione. Może umrze z powodu infekcji, a tak łatwo można by jej zapobiec! Jeden zastrzyk i po wszystkim...

Sumienie zawodowe nie daje mamie spokoju. Rozumiemy jej wzburzenie. Z powodu dekretu tali-bów może umrzeć chora kobieta, chociaż tak niewiele potrzeba, aby ją wyleczyć.

Na początku lata 1998 roku biedny tata ma więc w domu dwie chore: żonę lekarzkę niezdolną do działania, a więc także do tego, by zająć się chorą córką. Tajemnicza choroba wywołująca u mnie gorączkę pozostaje dla mamy zagadką.

Tata wzywa zaprzyjaźnionego lekarza i błaga go o pomoc. To mężczyzna, nie ma prawa leczyć kobiet, dlatego się boi. Przyjdzie, jednak stawia warunek: tata musi obiecać, że nigdy nic nie powie.

Na depresję mamy nic nie może poradzić. Dodatkowo podejrzewa cukrzycę, chociaż mama nigdy nie była cukrzykiem. Pobiera krew mamie i mnie, zabiera próbówki, mówiąc ojcu:

- Oddam to do laboratorium pod nazwiskiem własnej córki. Już teraz mogę panu powiedzieć, że trzeba zawieźć je obie do szpitala w Pakistanie i bardzo szybko zacząć leczyć. Latifa też ma depresję, ale przede wszystkim wdało się zapalenie opłucnej. W płucach zebrał się płyn. Nie należy zwlekać.

Choruję już od około trzech miesięcy, z okresami wyciszenia, poprawy; gorączka wystąpiła dopiero niedawno. Pojedziemy więc do Peszawaru, ale organizacja podróży wymaga czasu. Trzeba znaleźć samochód i pewnego kierowcę. Wreszcie wszystko jest gotowe.

Tata pakuje walizkę mamy, a Soraja nasze. Obowiązkiem Dauda będzie pilnowanie domu, bo podobno talibowie starają się zajmować takie nowoczesne mieszkania jak nasze w komfortowej dzielnicy Mikrorajan. Na czas leczenia zatrzymamy się u teściów Szakili.

W normalnym czasie podróży do Peszawaru nie wiązała się z jakimiś szczególnymi problemami. Obowiązywał zakaz opuszczania kraju, a droga była niebezpieczna. Wielu Afgańczyków jeździło tam jednak regularnie, raz czy dwa razy w miesiącu, po zakupy, a celnicy przymykali oko. Mówiło się, że jedzie się do Dżalalabadu, przechodziło przez surową kontrolę w wielu miejscach na drodze prowadzącej do granicy, której przebieg - w korzystny dla siebie sposób - Pakistan zmienił na mocy jednostronnej decyzji. Mój starszy brat powtarzał, że Pakistan marzy od dawna o aneksji naszego kraju.

To nasza pierwsza podróż, odkąd talibowie przejęli władzę, a było to prawie dwa lata temu. Jest lato i bardzo gorąco, a my trzy musimy oczywiście dusić się pod burkami.

O świcie wynajęty samochód z kierowcą czeka pod domem. Gdybym nie była chora, ta podróż byłaby dla mnie wreszcie jakąś rozrywką, ale lękam się jej z powodu niebezpieczeństw na drodze, a przede wszystkim ze względu na mamę, coraz bardziej osłabioną.

Kierowca ostrzega jeszcze ojca:

- Podczas kontroli trzeba koniecznie mówić, że jedziemy do Dżalalabadu.

Droga biegnąca przez tę peryferyjną dzielnicę Kabulu symbolizuje wojenną przeszłość kraju. Wytyczają ją wraki radzieckich czołgów, na ścianach widać jeszcze ślady walk modżahedinów podczas oblężenia miasta przez żołnierzy komendanta Ma-suda w 1992 roku. Do tej pory nie usunięto min i granatów.

Na pierwszym posterunku przy wyjeździe z miasta musimy wysiąść z samochodu i poddać się kontroli dokumentów i rewizji osobistej. W przypadku mężczyzn przeszukanie odbywa się prawidłowo, z całą powagą prowadzą je sami strażnicy. Do rewidowania kobiet talibowie rekrutują zaś małych, niespełna ośmioletnich chłopców, bo to jedyni przedstawiciele płci męskiej, którzy mogą się do nas zbliżyć. Ponieważ kobiety nie pracują, nie ma kobiet-policjantek. Dzieciak nawet się do nas nie odzywa, pokazuje nam tylko, że mamy podnieść czadri, szybkim spojrzeniem obrzuca twarze, sprawdzając, czy nie złamałyśmy zakazu malowania się, przesuwając ręką po długich spódnicach. Rewizja ogranicza się do tego. Chłopak ma poważną, trochę pogardliwą minę, ale prawdopodobnie jest bardzo dumny z funkcji, jaką mu powierzono. Karabin, przewieszony przez ramię, niemal go przerasta.

Jakim mężczyzną będzie w przyszłości? Teraz kolej na kontrolę rzeczy w bagażniku. Ojciec pokazuje swoją walizkę, a strażnicy otwierają ją i starannie sprawdzają.

- Dokąd jedziecie?

- Do Dżalalabadu.

Strach podróży jest odczuwalny, prawie namacalny, Talibowie zachowują się w nieprzewidywalny sposób w obecności kobiet i można spodziewać się wszystkiego. W myśli przeglądam zawartość mojej walizki, zabrałam tylko czarne i ciemne rzeczy, nic kolorowego... Mama i Soraja też. Walizki kobiet w zasadzie nie są sprawdzane, talibowie nie dotykają kobiecych strojów.

Rzeczywiście, wystarczyło, że ojciec powiedział: „To jest walizka żony, a te córek”, i strażnik odszedł.

Przed nami i za nami ciągnie się długi sznur samochodów, musimy czekać jakieś "dwadzieścia minut, zanim ruszymy dalej. Odjazdy po wybojach bołą mnie plecy, a mama od czasu do czasu prosi ojca, żeby kierowca zwolnił. Słońce wspina się po niebie, robi się bardzo gorąco. Po dwóch godzinach męczącej jazdy docieramy w okolice Sarobi, gdzie przechodzimy identyczną kontrolę jak poprzednio. Potem wracamy na niezmiennie krętą drogę prowadzącą do Dżalalabadu.

Przy wjeździe do miasta trzecia kontrola. Za każdym razem jesteśmy tak pełni obaw, że milkniemy, uważamy na najmniejszy ruch strażników. Mogą nas nie puścić dalej albo wtrącić do więzienia, nie podając powodu. Wystarczyłoby, żeby jeden z nich rozżłócił się na któregoś z pasażerów, a konsekwencje ponieśliby wszyscy pozostali. Nieco dalej widzimy rewizję autobusu. Talibowie każą wysiąść kobietom, a potem kierowca musi zawrócić.

Podejrzliwy wzrok talibów utkwiony w dokumenty okazywane przez ojca, sposób, w jaki na niego patrzą, sprawia, że błogosławię niemal tę burkę, w której w czterdziestostopniowym upale w pełnym słońcu nie mogę oddychać.

Po przejściu kontroli pozostaje nam jeszcze do przebycia górską drogą wijącą się serpentynami aż do Samarchel, gdzie czeka nas czwarta kontrola i ten sam niepokój, ta sama obawa, że nas zatrzymają...

Niedaleko przejścia granicznego w Torkham widzimy wracających z Pakistanu małych chłopców obciążonych przeznaczonymi na handel kanistrami z benzyną, olejem, workami cukru. Siedzący na ziemi mężczyźni oferują pliki afgańskich banknotów Pakistańczykom i rupie pakistańskie Afgańczykom.

Podróż do tego miejsca zajęła nam ponad siedem godzin, mama jest kompletnie wyczerpana.

W tej chwili kierowca mówi:

- Zaraz zamkną, pośpieszcie się. Ja nie mogę jechać dalej.

Musimy wyładować bagaże, zawołać chłopaka z wózkiem, żeby nam je przewiózł, i odbyć pieszo resztę drogi do wielkich, czarnych i ponurych metalowych wrót zagrażających przejście.

Tata i Soraja podtrzymują mamę, pomagają jej iść. Porusza się wolno, za wolno, zatrzymuje się co jakiś czas, żeby złapać oddech. Nie wiemy, kiedy dokładnie celnicy zamykają przejście. Ojciec pilnuje chłopaka i jego jadącego zbyt szybko wózka.

Przed nami czarne wrota, a po ich obu stronach beton i druty kolczaste. Poza stromą, górską drogą nie ma innego przejścia. Przed bramą stoją uzbrojeni talibowie; po drugiej stronie - uzbrojeni Pakistańczycy. Podróżnicy przechodzą grupami. Słyszymy, że posterunek będzie zamknięty od dwunastej do pierwszej. Zdążyliśmy, mamy jeszcze kilka minut...

Jeden z talibów przeszukuje nasze bagaże, sprawdza paszport ojca, jedyny dokument zaświadczający o istnieniu jego żony i córek. Wolno czy nie wolno opuszczać kraju, jego to wcale nie obchodzi. Tutaj granicę przekraczają tysiące ludzi. Dla niego liczy się to, że ma do czynienia z mężczyznami i kobietami w czadri, uległymi jak należy, z opuszczonymi głowami, milczącymi.

W tej chwili pakistański policjant wychodzi z drewnianej budki i zamierza zamknąć bramę. Jakaś kobieta za nami krzyczy:

- Przepuść nas, bracie, nie zamykaj!

Talib odwraca się, podchodzi do Pakistańczyka i odzywa się do niego tak gwałtownie, że tamten cofa się bez słowa i, zamiast wejść do budki, chowa się za nią, bojąc się, że talib do niego strzeli. Nawet on nie jest wolny od strachu.

Nie obawia się jednak mojego ojca. Kiedy jesteśmy już po drugiej stronie, podchodzi do niego z jeszcze jednym kolegą, z ważną miną, karabinem przewieszonym na piersi i kijem, który ostentacyjnie dzierży przed sobą.

- Macie pozwolenie?

Ojciec podaje mu paszport. Nie istnieją żadne pozwolenia i Pakistańczyk dobrze o tym wie. Chce czegoś innego niż dokument: chce pieniędzy.

- Dokąd się udajecie?

- Do Peszawaru. Żona i córka będą się leczyć. Ojciec się opiera, bo nienawidzi dawania łapówki funkcjonariuszowi, którego nic nie uprawnia do upominania się o pieniądze. W rzeczywistości to terytorium należy do nas, Pakistańczycy go nam odebrali! Nie są tu u siebie i wiedzą to na tyle dobrze, że próbowali wymusić na Nadżibullahu, zanim go zabili, żeby podpisał dokument oficjalnie uznający tę granicę. Wiem, co w tej chwili myśli mój ojciec o tym pakistańskim złodzieju. „Jesteś u mnie, w moim kraju i śmiesz żądać ode mnie pieniędzy, ode mnie, Afgańczyku! To już nie jest zwykłe żądanie haraczu, to zniewaga Afganistanu!”

Sprawa została przesądzona, granica jest, gdzie jest, ale tata nie może pogodzić się z tym, że

przyszło to tak łatwo, że nie zaniepokoiło to żadnego kraju na świecie. Ostatecznie wyjmuje banknot wartości pięćdziesięciu rupii. Tamten kręci głową.

- To za mało, proszę pana, ma być pięćdziesiąt rupii na osobę!

Tym razem wyprowadzony z równowagi ojciec podnosi głos:

- Co to ma znaczyć? Czego pan chce? Żeby tu wywołał skandal?

Tamten, obrażony, ustępuje wreszcie.

- Niech będzie pięćdziesiąt... W porządku... Możecie przejść!

Pięćdziesiąt pakistańskich rupii to nie jest wielka suma, około dolara. Ale ojcu chodzi o zasadę. W Kabulu rządonym przez talibów w użyciu są tylko pieniądze w gotówce, cała gospodarka tak funkcjonuje. A gotówkę tata może zdobyć tylko z zysku wspólnika z Peszawaru, któremu powierzył swój niewielki kapitał przeznaczony na firmę handlową.

Jest wściekły. Po zapłaceniu okupu cedzi przez zęby:

- Ostatni raz przyjeżdżam do Pakistanu! Teraz musimy znaleźć taksówkę do Peszawaru.

Kierowca ma sympatyczny wygląd, od razu nawiązuje rozmowę. W Kabulu taksówkarze nie rozmawiają z pasażerami. Nieufność jest wszechobecna.

- Jesteście z Kabulu?

- Tak.

- Ja też jestem Afgańczykiem. Mieszkam w Pakistanie od osiemnastu lat...

Samochód jedzie po wolnej drodze, w wolnym świecie, i mimo upału, górzystego terenu, ostrych zakrętów, jest w o wiele lepszym stanie niż po tamtej stronie granicy. Droga jest jednak niebezpieczna. Od czasu do czasu na dnie wąwozu widać wrak ciężarówki lub autobusu.

Stoki gór zielenią się, po bokach drogi rosną drzewa i polne kwiaty. Kierowca zatrzymuje się na chwilę przy zbiorniku z czystą wodą spływającą iskrzącymi się strużkami po skałach. Możemy wreszcie odświeżyć twarz. Duszę się, siostra też. Stopy spuchły nam od upału i bezruchu. Podnoszę czadri, żeby opryskać się tą przejrzystą wodą, której jednak lepiej nie pić.

Krótki postój w górach to prawdziwa rozkosz. Przez całą tę długą podróż nic nie jadłam i prawie nie piłam. Woda na moich rozgrzanych policzkach jest boskim darem. Chodzić swobodnie, bez obecności talibów - jaki to cudowny łyk tlenu! Mimo tego poczucia wolności zostaniemy w burkach do samego Peszawaru, dla bezpieczeństwa.

Taksówkarz rozmawia z ojcem.

- Ja was rozumiem, sytuacja w Afganistanie jest dramatyczna. Talibowie to źli ludzie, za dużo rzeczy wam narzucają.

Tata każe mu jechać wolno ze względu na mamę, która bardzo źle się czuje, i ruszamy dalej. Obie z Sorają milczymy, szeroko otwartymi oczami wpatrujemy się w krajobraz. Kierowca włączył muzykę, a ona swobodnie ulatuje przez otwarte okna. Około drugiej po południu wjeżdżamy do Peszawaru od strony strefy Karkchana.

Przed nami, jak okiem sięgnąć, na wielu hektarach w niekończących się rzędach ciągną się sklepy. Kierowca opowiada nam o tym olbrzymim bazarze, przez który przepływają wszelkiego rodzaju towary: tu handluje się artykułami pochodzącymi z całego świata, tu nie obowiązują prawa, podatki ani cło.

- To są, proszę pana, handlarze bronią i narkotykami. We wszystkich tych barakach nic innego się nie sprzedaje. Dalej, koło posterunku kontroli, jest sprzęt gospodarstwa domowego, aparaty fotograficzne, telewizory, radia, magnetowidy, klimatyzatory... Czego dusza zapagnie!

Po drugiej stronie granicy organizacja plemienna importuje do Afganistanu towary, nie płacąc cła, bo go u nas nie ma albo jest bardzo niskie. Te same towary są następnie ponownie wywożone do Pakistanu, znowu bez cła... To dotyczy też broni.

Staje się jasne, że Pakistan wykorzystuje nasz kraj, spustoszony i zrujnowany po latach wojny domowej, jako wygodną strefę nielegalnego handlu. Jest to jednym z powodów, dla których to państwo skwapliwie uznało rząd talibów, dostarczając im bojowników za przychylnym przyzwoleniem Stanów Zjednoczonych.

Jeśli opozycja nie przejmie kontroli nad stolicą, to zginiemy. Nasz kraj zostanie zmiażdżony, wchłonięty pod przykrywką specjalnych przepisów szaria-tu, wprowadzonych przez talibów.

Kiedy docieramy do teściów Szakili, siostra obejmuje nas z płaczem. Nie widziała nas od miesięcy, nie przeżyła wejścia talibów i przez cały ten czas nie opuszczał jej niepokój o nasz los. Bała się, że będzie musiała wyjechać do męża do Stanów Zjednoczonych, nie zobaczywszy się z nami. Ludzie w Peszawarze mniej więcej orientują się w sytuacji w Kabulu, ale Szakila chce wiedzieć, jak wygląda nasze życie na co dzień.

- Jak sobie radzicie z burkami?
- Nie wychodzimy z domu.
- To przykre dla ciebie, jesteś młoda... Co robisz w domu?
- Czytam, próbuję uczyć się angielskiego z książek, które mi przysłałaś.
- Uczysz się sama czy z Sorają?
- Sama, używając słownika.
- Schudłaś. Mama też, o wiele za dużo, jest bardzo osłabiona.

Szakila wypytuje o wujków, ciocie i kuzynów i prowadzi nas do łazienek. Są trzy. Z kranów płynie woda, będziemy mogli wziąć prawdziwy prysznic, w Kabulu jesteśmy pozbawieni tego luksusu. Szakila krząta się, razem ze szwagierką przynosi nam ręczniki i mydło.

Potem mama układa się na kanapie, a Szakila delikatnie masuje jej stopy, aż mama, wyczerpana, zasypia. Siostra wyjedzie niedługo do Stanów Zjednoczonych. Nie może się doczekać, kiedy dołączy do męża, ale nic nie wie o kraju, w którym teraz przyjdzie jej mieszkać. Wie tylko, że mąż założył firmę handlową w Wirginii. Ameryka jest dla nas nieznaną planetą, nie mamy pojęcia o stylu życia i ludziach, nie znamy nawet nazw miast. Szakili ściska się serce na myśl, że więcej nie zobaczy Afganistanu, ale ufa swojemu mężowi. Kocha go. Tam nie będzie już dziennikarką, będzie pracować w sklepie męża. Zachowają nasze tradycje: ona będzie zakładać chustę do modlitwy odmawianej pod innym niebem.

Szakila opowiada o moich dawnych koleżankach z liceum mieszkających w Peszawarze. Mają to szczęście, że mogą kontynuować naukę na wyższej uczelni.

My nie możemy przenieść się do Pakistanu. Szakila niedługo wyjedzie, a dla ojca byłoby nie do pomyślenia, żeby prosić o schronienie teściów córki. Tego by nie zniósł.

Nazajutrz w szpitalu mnie przyjmują na jeden oddział, a mamę na drugi. Robią mi prześwietlenie. Lekarz ogląda zdjęcie i pyta:

- Dlaczego wcześniej cię nie leczono? Przypuszczam, że wie, iż w Kabulu kobieta nie ma możliwości leczenia się. Zadaje jednak to pytanie tak, jakby to była nasza wina.

Zostaję w szpitalu na tydzień. Robią mi punkcję, żeby ściągnąć płyn z płuc - dwie butelki pełne dziwnej cieczy. Dostaję witaminę B i inne lekarstwa o nieznanym mi nazwach.

Tata odwiedza mnie w pokoju, który dzielę z inną chorą, i mówi smutno:

- Potwierdziło się, że mama ma poważną cukrzycę. Na depresję lekarz mógł przepisać tylko środki nasenne, żeby się uspokoiła. Zatrzyma ją dwa dni, a potem mam ją zabrać do neurologa. W szpitalu nie ma takiego specjalisty.

Mama wychodzi więc ze szpitala przede mną, ale wizyta u neurologa nie jest krzepiąca. Ojciec musi za nią powiedzieć lekarzowi to, czego ona sama nie potrafi wyrazić. Dobrze wie, że nic nie powie o swoim wewnętrznym cierpieniu, nawet z nim o tym nie rozmawia. Tata zresztą też nie może się przemóc, żeby szczegółowo opisać kolejne wstrząsy psychiczne, jakie przeżyła. Pod drzwiami lekarza stoją na warcie pakistańscy strażnicy, a w tych warunkach Afgańczyk nie będzie mówił swobodnie w obawie, że go usłyszą i że będzie miał kłopoty.

Nasza matka była szczęśliwa do wejścia Sowieców. Wiodło jej się na gruncie zawodowym i w małżeństwie.

Rodzice kochają się niegasnącą miłością. Ale potem przyszło tyle nieszczęść! Mojego starszego brata Wahida zadenuncjowano i trzy lata przesiedział w więzieniu. Jej drugiego syna Dauda ukryliśmy, żeby nie został na siłę wcielony do wojska. Z potwornościami wojny domowej stykała się na co dzień najpierw jako pielęgniarka, a potem jako ginekolog. A ile cierpienie dzieliła z kobietami, starając się im pomagać po wejściu talibów...

Jak opowiedzieć o wydarzeniach na wydziale Dauda, do których doszło po walkach między frakcjami modżahedinów, trwających od 1993 do 1996 roku?

Doskonale pamiętam wyraz twarzy matki słuchającej opowieści Dauda. Miałam wtedy dwanaście lat. To było takie przerażające, że pamiętam to do dziś.

Wydział Dauda był zamknięty i okupowany przez sojuszników Hekmatjara, z którym wtedy walczył Ahmad Szah Masud. Służył im za koszary. Hekmat-jar przegrał i kiedy siły komendanta Masuda przejęły kontrolę nad tą strefą, przez radio nadano apel do studentów, żeby zgłosili się na ochotnika do sprzątnięcia pomieszczeń, zanim zostaną znowu otwarte. Daud poszedł tam któregoś ranka z tymi, którzy chcieli, żeby wznowiono zajęcia; wielu stawiło się żywo. Kiedy wrócił, mama od razu zorientowała się, że

coś się stało, był blady, nic nie chciał mówić. Zamknął się w swoim pokoju bez obiadu. Mama była w kuchni i zawołała:

- Chodź na obiad, Daud!
- Nie mam ochoty...
- Co ci jest?

Daud nie odpowiedział. To było niepokojące, a więc poszłam za mamą do pokoju brata. Siedział na łóżku, obejmując głowę rękami. Mama usiadła koło niego i czekała, aż zacznie mówić.

- Widziałem coś wstrząsającego, coś naprawdę okropnego!
- Co to było?
- Widziałem całkiem rozebraną kobietę... Była... przybita gwoździami do dwuskrzydłowych drzwi na wydziale, przecięli ją na pół... na dwie części. Do każdego skrzydła drzwi była przybita połowa ciała... A drzwi otwierały się i zamykały... To było przerażające.

Mama zaczęła płakać. Daud ciągnął:

- Wszędzie wały się poobcinane stopy, ręce, krwawe strzępy. To była masakra, mamó. Nie wiem, ilu ich zabili, ale to było okropne... W radiu powiedzieli tylko, że studenci muszą doprowadzić wydział do porządku, posprzątać... Ale nie mogliśmy sprzątać... nie mogliśmy. Zrobili to strażnicy, ale ja nie chcę tam wracać dziś po południu, nie chcę! Posłali nas tam, żebyśmy zobaczyli, co tamci zrobili, chcieli, żebyśmy wiedzieli... Poszłam do swojego pokoju, żeby wypłakać się w samotności. Daud nigdy więcej o tym nie mówił, ale mama ciągle o tym myśli, jestem tego pewna. Ma w głowie jeszcze dużo innych koszmarów, o których nawet nie wiem. Ona o tym nie mówi, ale to w niej tkwi, bardzo głęboko ukryte. Później o tej masakrze na uczelni pisały gazety, ale nie podawały szczegółów.

Specjalista zalecił tacie, by dopilnował, żeby mama brała środki uspokajające i leki na cukrzycę i co najmniej dwie godziny dziennie spacerowała.

Po tygodniu czuję się lepiej. Mogę wychodzić. Mnie też lekarz zalecił dwie godziny dziennie spacerów, gimnastykę i jak najczęstsze przebywanie na świeżym powietrzu.

Ojciec odpowiedział mi: „Wie pan, poza lekarstwami niewiele możemy zrobić...”

Wieczorem, u teściów Szakili, rozmawiamy z siostrami, we trzy. Nęci nas bardzo, żeby nie wracać, zostać tutaj, uciec z kraju i od tego rządu, który widziany z zewnątrz wydaje nam się jeszcze bardziej ohydny.

Ale to niemożliwe. Szakila wkrótce nas opuści i wyjedzie do Stanów Zjednoczonych, rozmawiała właśnie z mężem przez telefon, jej papiery powinny nadejść lada dzień. Rodzina jej męża nie może nas gościć. A Soraja i ja nie wyobrażamy sobie nawet, że mogłybyśmy pozwolić rodzicom wrócić do Afganistanu bez nas. Tam mamy dach nad głową, płacimy czynsz, na jaki nas stać. W Pakistanie byłibyśmy wolni, mama miałaby lepszą opiekę, ja chodziłabym na uczelnię, ale Szakila nas ostrzega:

- Ludzie tutaj patrzą na nas z ukosa. A przecież cały handel w Peszawarze stoi na Afgańczykach. Zbudowali domy, dzięki nim funkcjonuje gospodarka, ale Pakistańczycy nas nie lubią.

To prawda.

Na razie co dwa dni korzystam ze świeżego powietrza i spacerów. Kupiliśmy materiał na ubrania, prawdziwe letnie obuwie dla mnie zamiast adidasów, a tata podarował mi modlitewną chustę. Wieczorem, po zachodzie słońca, toczymy rodzinne rozmowy w ogrodzie. Wróciło prawdziwe życie.

Po miesiącu trzeba ruszać w drogę powrotną. Mama, Soraja i ja bardzo się smucimy. Zostawiam za sobą obraz moich dawnych koleżanek uczęszczających na wykłady, roześmianych i chodzących bez przeszkód po ulicach Peszawaru i Islamabadu. Większość z nich ma brata albo wujka czy kogoś innego z bliskiej rodziny, kto mieszka za granicą i pomaga im finansowo. Co jednak nie oznacza, że wiodą luksusowe życie. Jedna z koleżanek opowiadała mi przez telefon, że mieszkają w siedmiorgo w jednej wynajmowanej izbie w Islamabadzie. Ale ma szczęście, bo może studiować. Mam nadzieję, że to docenia i że uczy się równie pilnie jak dawniej. W trakcie rozmowy odniosłam wrażenie, iż nie spieszo już jej zostać lekarzem, wydała mi się bardziej powierzchowna, nie tak zainteresowana zdobyciem wykształcenia jak dawniej. Może tak działa wolność.

Podróż powrotną odbywamy autokarem, bo mama i ja czujemy się lepiej. Rewizje, blokady dróg, talibo-wie o złym spojrzeniu, ciągle upokorzenia... czuję się jeszcze bardziej przygnębiona niż przed wyjazdem.

Mama nie chce przyjmować lekarstw na cukrzycę. Ojciec i Soraja wymyślają wszelkie możliwe sztuczki, żeby je łykała. Ona woli środki nasenne i uspokajające. Czuwamy nad nią jak nad dzieckiem. Moja matka, taka kiedyś silna i aktywna, odrzuca rzeczywistość. Ucieka przed nią w coraz cięższy sen. Nie wiemy już, co robić, jej depresja udziela się całej naszej czwórce.

ma szczęście, bo może studiować. Mam nadzieję, że to docenia i że uczy się równie pilnie jak A jeszcze bardziej jesteśmy przybici, kiedy Daud opowiada nam, jak zmieniła się rola stadionu piłkarskiego w Kabulu, gdzie kiedyś uprawiano jego ulubiony sport. Teraz talibowie wymierzają tam publicznie sprawiedliwość: wieszają oskarżonych na słupkach bramek, obcinają ręce złodziejom, zabijają kulą w kark kobiety uznane za cudzołżnice. Potworne widowisko przerywane obowiązkowymi modlitwami, a widzowie są zmuszani do jego oglądania ciosami różgi. Nie chcę więcej słuchać o tych potwornościach. Nie będę więcej wychodzić z mieszkania, ograniczę się do wyglądania przez okno kuchenne i ja też będę jak najwięcej spać, żeby zapomnieć o tym koszmarze panoszącym się w słońcu Kabulu.

## Masakry i cuda

Jest godzina BBC, to znaczy wpół do dziewiątej wieczorem. Tata włącza radio, ustawia je jak najciszej i zbieramy się jak zwykle dookoła, przy samym głośniku. Któregoś dnia radio usłyszał nasz sąsiad z piętra i zwrócił Sorai uwagę:

- Słuchacie za głośno... Podobno talibowie... Siostra przerwała mu pośpiesznie, udając przez ostrożność, że przeprasza za ewentualne zakłócenie spokoju:
- Za głośno włączamy z siostrą muzykę... Bardzo przepraszam!

Sąsiad nie zwracał nam już uwagi, ale dla zasady wolimy być nieufni.

„Mazar-e Szarif, duże miasto na północy Afganistanu, jest od ponad roku terenem zaciętych bojów między modżahedinami z Sojuszu Północnego a ta-libami. Jeśli talibowie, którzy bezskutecznie oblegają miasto i ponieśli w związku z tym poważne straty, odkąd przejęli władzę w Kabulu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku, zdobędą je, oznaczać to będzie upadek ostatniej cytadeli na północy, nie będącej jeszcze w ich rękach”.

BBC potwierdza więc to, o czym szepcze się w Kabulu i czego nigdy nie jesteśmy pewni. Nawet jeśli jakiemuś reporterowi uda się zdobyć wywiad w jednym czy drugim obozie, trudno jest wyrobić sobie jasny pogląd na temat panującej sytuacji: twierdzenia rządu talibów natychmiast dementują przywódcy rebeliantów. Czasami audycji w ogóle nie słychać. Na przykład rano, między wpół do szóstej a wpół do ósmej, w porze nadawania radia irańskiego, dźwięk jest kompletnie zagłuszany. W Kabulu mówi się, że talibowie robią to specjalnie, bo Irańczycy obszernie informują o sukcesach opozycji. A poza tym każdy, kogo w Kabulu przyłapią na ich słuchaniu, podlega karze trzech miesięcy więzienia.

Ostatnio wiadomości są przygnębiające. W lutym 1998 roku na północy kraju, w okolicach Taloghanu aż po Tadżykistan wystąpiło trzęsienie ziemi, a z BBC dowiedzieliśmy się, jaki był bilans katastrofy. Cztery tysiące ofiar śmiertelnych.

Natomiast radio Szariat raczy nas informacjami o najwyższym wymiarze sprawiedliwości talibów: dwóch przestępców stracono przez poderżnięcie gardła na stadionie w Kabulu w obecności licznej publiczności szacowanej przez talibów na trzydzieści pięć tysięcy, przy czym wyrok wykonał osobiście ojciec skazanych. Na szczęście nie posługują się telewizją, żebyśmy mogli cieszyć się tymi widokami nawet w domu! W takich chwilach nie żal mi telewizji.

Matkę szczególnie zaniepokoiła wiadomość o wyjeździe z Kabulu organizacji humanitarnej, kierowanej głównie przez kobiety, wypędzonej przez talibów. Stwarzała ona Afgankom możliwość dostępu do opieki zdrowotnej. Pracującym w niej kobietom zarzucono, że nie zastosowały się do prawa islamskiego zakazującego kobietom pracy, nauki, a nawet korzystania z opieki zdrowotnej. Mama jest wzburzona.

- Dla kobiet to koniec. Koniec. Nic już nie mają. To ludobójstwo. A ONZ godzi się na szantaż!

Soraja prawie się nie odzywa. Zajmuje się domem, jest smutna, niczego nie komentuje. Na darmo tata jej powtarza, że jej zawodu się nie zapomina, że któregoś dnia będzie mogła wrócić do pracy, ona już w to nie wierzy. Nikt się nami nie zajmuje, dziennikarze stali się taką rzadkością, że można by pomyśleć, iż cały świat o nas zapomniał i że inne kraje aprobują poczynania talibów.

W sierpniu 1998 roku radio Szariat, którego możemy słuchać, nie obawiając się sąsiadów, triumfalnie ogłasza zdobycie Mazar-e Szarif, niedaleko granicy z Tadżykistanem i Uzbekistanem. Talibowie zajęli święte miasto, gdzie w błękitnym meczecie spoczywa Ali, zięć Proroka. „Dzięki potężnemu Bogu jednoczymy kraj! Wszystkie miasta północy przyłączyły się do rządu!”

Teraz radio Iran atakuje Stany Zjednoczone, oskarżając je o to, że udzielają wsparcia talibom, żeby podkopać wizerunek islamu: talibowie wymordowali setki cywili w świętym mieście i porwali irańskich dyplomatów.



Ojciec zauważa:

- Głoszą dżihad, ale muzułmanin nie zabija muzułmanina. Nigdzie w Koranie nie jest napisane, że należy odbierać życie. To dowodzi, że oni sami wymyślają przepisy szariatu, żebyśmy uwierzyli, że wszystkie ich decyzje oparte są na Koranie. Ich prawa nie są zapisane, rodzą się w głowach kilku mułłów, którzy lepiej by zrobili, zachowując je dla siebie.

Idę położyć się obok śpiącej Sorai; mimo gorąca swoją piękną twarz ukryła pod prześcieradłem.

Myszę o Mazar-e Szarif, o wspaniałej podróży zorganizowanej przez Wahida, kiedy miałam jakieś dwanaście lat. To była moja pierwsza podróż po Afganistanie, do dziś jedyna. Byłam szczęśliwa, że wyjeżdżam ze starszym bratem, którego uwielbiałam, z mamą i Szakilą! Tata został w domu z Sorają, bo oboje musieli pracować. Mieliśmy w mieście grobu Alego spędzić święta Nouruz, afgański nowy rok przypadający na pierwszy dzień wiosny, i zostać tam na miesiąc.

Pamiętam, jak zatrzymano nas na drodze, którą jechaliśmy. Mężczyźni w mundurach sprawdzali bagaże wszystkich podróżnych. Jeden z nich zapytał naszego kierowcę:

- Dokąd jadą ci ludzie?

- Do Mazar-e Szarif, do wielkiego meczetu. Wtedy mężczyzna wyciągnął do niego pudełko:

- Dajcie pieniądze!

Kierowca bez słowa włożył do pudełka kilka banknotów i ruszyliśmy dalej.

Wahid wynajął samochód na całą podróż. Był dla nas bardzo miły:

- Powiedzcie, jeśli będziecie chciały coś obejrzeć albo pójść do toalety, to się zatrzymamy.

Na początku trasy nie było nic do oglądania, po obu stronach drogi rozciągała się pustynia. Wyglądając przez okno, zauważyłam dwóch trochę ode mnie starszych chłopców, mogli mieć po czternaście lat, idących z kałasznikowami. Ponieważ kierowca jechał dalej, jeden z nich wyskoczył przed samochód, dając znać, żeby się zatrzymał.

- Dlaczego nie zatrzymaliście się?

- Nikt nie kazał się zatrzymać!

- Zaparkujcie na poboczu i dajcie pieniądze! Kierowca zrobił, co mu polecono, po czym zwrócił się do nas:

- Jeśli chcecie wam się pić, zrobię postój za przełęczą Salang i tunelem. Radzę wam napić się tam wody... To woda ze śniegu leżącego w górach.

Woda okazała się cudowna, chłodna i przejrzysta, a krajobraz - wspaniały. Domy wyglądały, jakby były przyczepione do górskich stoków, ludzie wędrowali w górę i w dół wąską ścieżką wijącą się wśród drzew. Jedliśmy pyszne baranie szaszłyki. Kierowca twierdził, że nigdzie nie je się tak dobrze jak na północy.

Po obiedzie ruszyliśmy w dalszą drogę, a tuż przed Pul-e Chomri zobaczyłam dom moich marzeń, taki, jaki zawsze rysowałam, kiedy byłam małym dzieckiem. Zbudowany z szarego kamienia stał pośród zieleni, a z komina leciał dym, obok była owczarnia i studnia. Chciałabym mieszkać tam, w dolinie, pośród drzew, w spokoju i ciszy. Było tam tak pięknie! Wahid wyjaśnił, że miasteczko, przez które będziemy przejeżdżać, nazywa się Daszt-e Kilagaj.

W pewnej chwili kierowca powiedział do Wahida:

- Daj mi zegarek swój i matki. Wszystkie zegarki, jakie macie na ręku.

Mama zapytała dlaczego, a on odparł:

- Jeśli ma pani biżuterię, to lepiej, żeby mi ją pani oddała, bo niedługo dojedziemy do miejsca, gdzie rabusie mogą zatrzymać samochód i zabrać wszystko.

Schowwał zegarki i biżuterię do bagażnika i ruszył, dodając gazu.

- Jeśli ktoś rzuci kamieniem, to nie przejmujcie się, nie będę się zatrzymywał. Zauważyłam rabusiów, ale kiedy ich mijaliśmy, byli już zajęci innym samochodem.

Przy wjeździe do miasta wisiał duży transparent: „Witamy w Mazar-e Szarif”. Ludzie, których widzieliśmy z okien samochodu, byli Uzbekami. Nosili tradycyjne stroje, to znaczy grube brązowe koszule, zwane gopicza, i okrągły, bardzo długi turban. W Kabulu spotkałam kilku Uzbeków, ale wtedy wydawało mi się, że mają nieco mongolski wygląd. Nie wszystkie kobiety były w burkach, niektóre nosiły chusty, inne w ogóle żadnej zasłony. Pojechaliśmy do hotelu, żeby odpocząć po podróży. W mieście było tyle ludzi, że mało brakowało, a nie znaleźlibyśmy pokoju dla całej czwórki. Wahid odbył rozmowę z właścicielem i dostał to, czego chciał.

Wahid lubił narzucać swoją wolę. Czasem kłócił się z Szakilą, a potem przez dwa czy trzy dni ze sobą nie rozmawiali. Rodzice jednak nic o tym nie wiedzieli. To były ich sprawy i siostra nie chciała mamie zawracać głowy. Mnie Wahid traktował inaczej. Chodził ze mną na plac zabaw pojeździć na samochodzikach i ciągle robił mnie i kuzynkom jakieś kawały. Pokazywał nam widokówki ze zdjęciami indyjskich gwiazd filmowych, podświetlał je latarką i kazał nam płacić po pięć afgani, jakbyśmy były w kinie. Albo udawał, że ma konta w banku, i wyłudzał od nas pieniądze w zamian za nieprawdziwe czek. Daud wymyślał mu w żartach o złodziei, bo wszyscy wiedzieliśmy, że chce zdobyć jakieś kieszonkowe, by po szkole móc chodzić do kina.

Kiedy pojechaliśmy do Mazar-e Szarif, miał dwadzieścia pięć lat... Zmienił się od tamtej pory, na jego twarzy zagościł wyraz powagi. Mama twierdzi, że dużo wycierpiał. Losy brata są dla mnie skróconą historią wojny w naszym kraju, bo to on jako jedyny w naszej rodzinie służył w wojsku.

Chodził do liceum Ansari, potem, jako najlepszy student na roku, ze stopniem oficerskim ukończył szkołę wojskową i został skierowany do służby w gwardii prezydenckiej. Sowietci wysłali go pierwszy raz na front z jednostką prowadzącą działania w Majdanzahr. Był tam około trzech tygodni. Najcięższe boje toczyły się wtedy na froncie w Kan-daharze, w Majdanzahr i w Wardaku. Po powrocie opowiadał, że żołnierze radzieccy mordowali cywili na ich oczach, rozstrzeliwali bez powodu dzieci i starców! Kiedy w niektórych wioskach kobiety rzucały w nich kamieniami, odpowiadali strzałami z karabinów maszynowych. To były wstrząsające przeżycia, a mama wiele razy płakała, słuchając opowieści syna. Ilekroć wracał na front, ona mówiła smutno:

- Idzie jak na dobrowolną śmierć...

W ciągu dwóch lat wziął udział w ponad stu operacjach. W ciągu dwóch lat służby był wielokrotnie skazywany na areszt domowy za bunt. Kara polegała na uwięzieniu przez kilka dni w bardzo niskim i małym połowym namiocie, rozbitym bezpośrednio na mokrej ziemi. Wewnątrz można było tylko kucnąć albo leżeć. Wahid podlegał wtedy pułkownikowi Hazratowi, swojemu instruktorowi, który bez przerwy wychwalał zasługi i pomoc radziecką dla Afganistanu, a od swoich ludzi wymagał ślepego posłuszeństwa. A Wahid buntował się przeciwko rozkazom radzieckich oficerów, często niewłaściwie odpowiadał oficerom szkoleniowym. Nam mówił: „Afganistan ma dosyć żołnierzy i oficerów, może się obejść bez Sowietów!”. Kiedyś przez kilka tygodni nie mieliśmy od niego wiadomości; mama wysłała Dauda do koszar. Tam dowiedział się, że starszy brat został na pięć miesięcy wtrącony do karceru, bo rzucił czajnikiem w głowę swojego pułkownika. Po odbyciu kary przeniesiono go do innej jednostki, w Paghmanie, na obrzeżach strefy bezpieczeństwa na zachód od Kabulu.

Pewnego dnia odwiedził nas mułła należący do rady starszych, bardzo stary człowiek. Powiedział tacie:

- Twój syn wykonuje dla nas niezwykłą pracę, przyszedłem ci za to podziękować.

Tata zrozumiał, w czym rzecz, kiedy zobaczył, jak podczas przepustki Wahid ubiera się w domu w tradycyjny strój i beret afgański. Zapytał jednak:

- Czym zasłużyłem sobie na podziękowania muł-ły Paghmanu?

Wahid otrzymał za zadanie nadzorowanie odcinka strefy bezpieczeństwa pod Kabulem. Po zwycięstwie nad wojskami radzieckimi opozycja afgańska kontrolowała prawie całą wieś, a komunistyczny rząd w Kabulu robił wszystko, żeby utrzymać duże miasta, najważniejsze drogi i lotniska. Na wzgórzach wokół stolicy trwały na stanowiskach setki żołnierzy. W zasadzie wojsko nie pozwalało chłopom przekraczać strefy bezpieczeństwa, kiedy chcieli przedostać się do Kabulu po zaopatrzenie, ale Wahid ich przepuszczał. Informacja ta dotarła niestety do ChAD-u, tajnych służb rządowych. Wahida wezwał generał Forugh Jaghubi, numer dwa w tajnych służbach. Brat wyjaśnił mu z dumą, dlaczego tak postępuje:

- Armia nauczyła mnie służyć ludowi. Przepuszczam przedstawicieli ludu. Jeśli się na to nie zgadzacie, poślijcie na moje miejsce tego, kto was poinformował!

Tego dnia nie został ukarany. Myślę, że jego odpowiedź była dosyć kłopotliwa dla oficera radzieckiego, obrońcy ludu z definicji... Wahid wiedział teraz, że jest śledzony przez budzący strach ChAD, będący odpowiednikiem radzieckiego KGB.

W rzeczywistości opozycji zależało na nim ze względu na to, że był dowódcą strefy bezpieczeństwa Kabulu na odcinku w Paghmanie.

Po dwóch latach czynnej służby m froncie przeniesiono go na dwa miesiące do bazy wojskowej we Frunze, w Kirgistanie. Na każdy weekend Wahid przyjeżdżał do domu, zdejmował mundur, wkładał tradycyjny strój, na głowę pakol i tak ubrany szedł modlić się do meczetu.

Pewnego dnia niejaki Sangar, szwagier prezydenta Nadżibullaha, mieszkający w sąsiednim bloku na osiedlu Mikrorajan, zatrzymał go na ulicy. Miałam wtedy dziewięć lat, staliśmy z rodzicami na balkonie i z daleka widzieliśmy, jak rozmawiali prawie dwie godziny. Ojciec był niespokojny, bo ten człowiek, tak blisko związany z prezydentem Nadżibullahem, kierował też jednym z wydziałów ChAD-u. Kiedy Wahid wrócił do domu, zasypaliśmy go pytaniami:

- Co on ci powiedział? Czego chciał?

- Nic! Nic takiego, głupstwa bez znaczenia. Nie martwcie się!

Nie powiedział nam nic konkretnego, aby nas nie martwić. Wkrótce potem zniknął i przez blisko trzy tygodnie nie otrzymaliśmy od niego wiadomości.

Myśleliśmy, że wysłali go gdzie indziej i nie miał czasu zawiadomić rodziny, ale któregoś letniego wieczoru odwiedził nas, zachowując ostrożność, żołnierz z jego jednostki. Po rozmowie z Szakilą wyszedł. Koniecznie chciałam się dowiedzieć, co jej powiedział, ale Szakila nie chciała mi nic zdradzić.

- Trzeba poczekać na tatę.

Wreszcie podczas kolacji Szakila oznajmiła:

- Wahid jest w więzieniu.

Ojciec wpadł w gniew. Był wściekły, że armia go nie zawiadomiła. Zadzwoił do znajomego rodziny, Haszima, który pracował dla ChAD-u, i umówili się, że następnego dnia rano będą razem szukać Wahida.

Dowódca garnizonu w Paghmanie, generał Issa Chan, dowodzący jednostką Wahida, powiedział im, że został osadzony w drugim bloku więzienia Pol-e Czarchi, w którym odbywali karę więźniowie polityczni. Byliśmy załamani. To było najtragiczniejsze do tej pory wydarzenie w życiu rodziny. Wahid więźniem politycznym Sowietów!

Ojciec udał się do więzienia, ale za pierwszym razem nie uzyskał zezwolenia na widzenie. Żołnierz stojący na straży mógł tylko wziąć Czyste ubranie i na prośbę ojca zgodził się przynieść mu brudną bieliznę Wahida.

W mankiecie spodni Wahid ukrył skrawek papieru, na którym napisał: „Ojczy, żyję. Trzeba mieć zezwolenie podpisane przez ministra do spraw bezpieczeństwa, żeby się ze mną zobaczyć. Wahid”.

Prawie miesiąc trwało, zanim Haszim uzyskał pismo podpisane przez ministra, uprawniające do wizyt całą rodzinę. O więzieniu w Pol-e Czarchi krążyły przerażające opowieści. Jeden z moich wujków, Mir Akbar, brat mamy, był tam przetrzymywany w latach siedemdziesiątych. Opowiadał nam o torturach, o zmasakrowanych plecach, wrywanych paznokciach... Budynek jest zupełnie inny niż dawne więzienie w Kabulu, wzniesione z cegieł i gliny; to prawdziwa forteca w radzieckim stylu, zbudowana po zapanowaniu komunizmu.

Kiedy przyjechalismy na tę równinę położoną około piętnastu kilometrów od Kabulu, ujrzałam z daleka ogromną fortecę o tak grubych murach, że mógłby po nich jeździć samochód. Setki osób stały w kolejce, czekając na widzenie. Byłam zdumiona, zastanawiałam się, dlaczego tyle ludzi jest w więzieniu.

Dwieście metrów od wejścia znajdowały się dwa baraki dla policjantów, którzy kontrolowali odwiedzających; jeden dla kobiet, drugi dla mężczyzn. Po godzinnym oczekiwaniu wywołano nasze nazwisko. Weszliśmy do baraku, a tam policjantka przystawiła stempel do ramienia mamy, sióstr i mojego. Tata został tak samo oznakowany w baraku dla mężczyzn.

Kobieta zrewidowała nas, potem pozwolono nam podejść do olbrzymich metalowych wrót, tak wysokich, że musiałam odchylić się, żeby przeczytać dwa wieńczące je napisy: „Centralne Więzienie Demokratycznej Republiki Afganistanu” i „Więzienie -drugą szkołą edukacji”.

Jak należało rozumieć słowo „edukacja”? Nie miałam pojęcia, czego można nauczyć się więzieniu.

Przed każdym widzeniem z Wahidem musieliśmy odstać w kolejce, żeby nas ostemplowano i zrewidowano.

Ta sama operacja powtarzała się wewnątrz; przechodziło się sześć razy przez kolejne metalowe wrota. Na każdym etapie strażnicy sprawdzali znaki na ramionach mężczyzn i na skórze składali poświadczający podpis. Ojciec miał dwa stemple i sześć podpisów, kiedy dotarł na koniec korytarza.

Następnie zaprowadzono nas na otwarty dziedziniec pośrodku budynku. Ziemia była polana wodą, żeby nie unosił się pył. Wywołano głośno nazwisko brata i wreszcie zjawił się przy nas. Rozpostarł szal, na którym usiedliśmy. Pożerałam go wzrokiem. Miał brodę i był ubrany na czarno. Wszyscy płakaliśmy, a Wahid całował ręce matki i ojca, błagając, żebyśmy nie płakali. Pozwolono nam tylko na półgodzinną rozmowę, a on miał o czym opowiadać, ale pilnujący nas uzbrojony żołnierz słuchał, więc ograniczył się do spraw zasadniczych.

Był już przesłuchiwany i do rozpoczęcia procesu potrzebował adwokata. Chciał, żeby bronił go wujek, Mir Akbar. Nam, siostrom, zalecił, żebyśmy zawsze nosiły czadory i długie tradycyjne suknie, jakie miałyśmy na sobie tego dnia. Mówił kategorycznym tonem, jak zwykle, ale tym razem Szakila nie próbowała się kłócić.

Wreszcie, na odchodnym, objął nas wszystkie i powiedział po cichu:

- Domu będzie pilnować trzech mężczyzn. Nie bójcie się ich, będą was chronić.

Oddał nam brudną bieliznę i pożegnaliśmy się, nadal nie rozumiejąc, dlaczego znalazł się w więzieniu i po co nam ochrona. Wujek był prokuratorem w sądzie wojskowym. W związku z zajmowanym stanowiskiem dobrze znał obowiązujący w wojsku regulamin. Znał też reguły więziennego życia, ponieważ sam jakiś czas przebywał w więzieniu. Pierwsza rzecz, o którą zapytał, kiedy przyszedł do nas do domu, to czy zabraliśmy brudne ubranie Wahida. Od razu zaczął je przeszukiwać i w fałdach spodni znalazł skrawki papieru. Brat napisał, żeby jak najszybciej stawił się na widzenie w więzieniu, i twierdził, że nie chce żadnego innego adwokata.

Zadziwiła mnie ta metoda porozumiewania się.

Od tej pory w każdą środę przez trzy miesiące jeździliśmy na widzenia z bratem, odbywające się na tym samym więziennym dziedzińcu, gdzie ziemia była wilgotna i tłusta. Wahid mówił, że strażnicy polewają ją wodą, żeby zmyć ślady krwi. A były też na ścianach... O wiele później, po zdobyciu Kabulu przez modżahedinów Masuda, widzieliśmy w telewizji przerażający reportaż. Okazało się, że któregoś dnia natrafiono na ciała więźniów zamordowanych bez sądu i zakopanych w tej tłustej ziemi. Chodziliśmy więc nieświadomie po zbiorowym grobie.

Podczas każdych odwiedzin Wahid opowiadał nam różne więzienne historie. Jeden z dowódców straży zaproponował, że ułatwi mu życie za pieniądze. Był to komendant Chijali Gol... Przyszedł do magazynu ojca, dostał pieniądze i tej samej nocy Wahid zadzwonił do nas do domu. Mógł z nami długo rozmawiać, a telefonował z pokoju komendanta... Prosił o odbiornik telewizyjny, co nas zdziwiło, bo nie sądziliśmy, że to dozwolone, i o antenę z trzydziestometrowym przedłużaczem, żeby z jego celi sięgała dachu więzienia. Udało mu się zainstalować go bez trudności.

Pewnego razu, na dziedzińcu, wskazał nam jednego z osadzonych.

- Nazywa się Ghazi, to więzienny oprawca. Za pięć tysięcy afghani rozstrzela skazanych. Mówiono mi, że kiedy komendanta Abdula Wahida, wielkiego dowódcę ruchu oporu, schwytano podczas ofensywy w dolinie Pandższiru, on go rozstrzelał.

Pewnego jesiennego dnia, w ulewny deszcz, pluton uzbrojonych żołnierzy wtargnął nagle do więzienia. Jednemu z osadzonych udało się zbiec w kobiecym przebraniu, w długiej burce.

Przy wyjściu żołnierze wpatrywali się bacznie w kobiety, zanim je wypuścili, przed bramami stały wozy pancerne. Podczas następnych odwiedzin naszym kobietom przybito nie jedną, ale dwie pieczęcie, a Wahid wyjaśnił, że zbiegły więzień podrobił stemple, używając przyniesionych mu przez żonę ziemniaków i flamastra. Zanim trafił do więzienia, specjalizował się w fałszowaniu dokumentów.

Pewnego dnia doszło do zamieszek na tle politycznym wśród więźniów należących do opozycyjnych wobec siebie odłamów ruchu oporu. Odbywali karę na tym samym piętrze. Nowo przybyły więzień został zaszyty nożami wystruganymi z kości. W poszukiwaniu materiałów do wyrobu broni więźniowie przeskakiwali odpadki z posiłków, gromadzone w kącie dziedzińca...

Inny więzień zmarł od poparzeń wrzącą wodą, którą współwięzień oblał mu twarz. Jeszcze inny, z bloku czwartego, przeznaczonego dla najgroźniejszych przestępców, gdzie rygor był najostrzejszy, wpadł na pomysł, żeby oblać sobie ubranie naftą, podpalić je i wybiec tak na więzienny dziedziniec. Miał nadzieję, że jego czyn skłoni do interwencji Międzynarodowy Czerwony Półksiężyc, i myślał, że zdąży wskoczyć do zbiornika z wodą znajdującego się, jak wiedział, za jedną z bram. Jednak tego dnia brama była zamknięta i spłonął żywcem na oczach pozostałych więźniów obserwujących go zza krat. I jeszcze historia tego młodego, osiemnastoletniego chłopca, aresztowanego za kradzież, którego zgwałcono za poduszczeniem jednego z więźniów z bloku czwartego. Ten więzień pracował w kuchni i poszkodowany zemścił się, podrzynając mu gardło tasakiem do mięsa.

Szakila słuchała opowieści brata z ciekawością dziennikarza, Soraja często płakała, a ja zastanawiałam się, w jakim świecie, tak daleko od Boga, żyją ci mężczyźni.

Pewnego dnia Szakila przyprowadziła do domu wrózkę, matkę jednej z koleżanek. Kobieta obmacała ubrania Wahida, wykonała jakieś skomplikowane obliczenia na podstawie jego daty urodzenia i oznajmiła:

- Wahid jest pobożnym i mądrym człowiekiem, dobrym muzułmaninem, niezaniebującym modlitwy. Za cztery miesiące będzie wolny!

Powiedziała to z takim przekonaniem, że nawet mama się przejęła. Chciała jej zapłacić, ale kobieta odmówiła przyjęcia pieniędzy.

- Dopóki moja przepowiednia się nie sprawdzi, niczego nie wezmę.

Ja w nią nie uwierzyłam, ale tata orzekł, że podniosła mamę na duchu.

Był styczeń 1992 roku. Wahida skazano na dwadzieścia lat więzienia, wujkowi udało się zmniejszyć wymiar kary do osiemnastu lat. Siedział w Pol-e Czarchi już trzy lata i zastanawiałam się, kto, poza opatrnością, mógłby go stamtąd wyciągnąć.

Żarliwie modliłyśmy się z siostrami o uwolnienie Wahida.

18 kwietnia 1992 roku zamordowano dwóch bliskich współpracowników Nadżibullaha - generała Baghui, najważniejszego człowieka ChAD-u, i generała Jaghubi, zastępcę dyrektora.

Byłam w szkole i Szakila przyszła poprosić, żeby mnie zwolniono. Wiedziała, że coś się dzieje i że bezpieczniej jest być w domu. W dzielnicy Mikro-rajan, gdzie mieszkało wielu członków afgańskiej partii komunistycznej, informacje rozchodziły się szybko. Poza tym dzielnica leży blisko pałacu prezydenckiego, między siedzibą radia Kabul a lotniskiem międzynarodowym. A Szakila była przecież dziennikarką!

Wieczorem telewizja nadawała same pieśni patriotyczne. Około wpół do ósmej na ekranie pojawił się spiker i odczytał komunikat:

„Drodzy rodacy! Doktor Nadżibullah, były prezydent Afganistanu, chciał nielegalnie wyjechać z kraju. Aby zapobiec próżni w sprawowaniu władzy i nie dopuścić do tego, żeby los naszego kraju przeszedł w ręce Pakistańczyków, utrzymujemy stały kontakt z modżahedinami...”

Na razie nie wiedzieliśmy, z kim dokładnie rząd utrzymuje kontakt, żeby zapełnić lukę w sprawowaniu władzy. Aż któregoś ranka, kiedy z Szakila robiłyśmy zakupy na targu, sprzedawca warzyw powiedział nam:

- Komendant Masud wejdzie do Kabulu. Wszyscy w mieście to mówią!

Ludzie bali się wkroczenia do Kabulu żołnierzy Hekmatjara, bo to oni ostrzelali miasto z rakiet.

Następnego dnia w wieczornym dzienniku telewizyjnym wystąpił minister spraw zagranicznych:

„Poleciałem śmigłowcem do Pandższiru negocjować przekazanie władzy. Golbuddin Hekmatjar i Ah-mad Szah Masud zgodzili się wejść do Kabulu, nie walcząc ze sobą”.

Nazajutrz w szkole stwierdziłam, że wiele się zmieniło. Nauczycielki nie były ubrane w rajstopy i spódnice, tylko w spodnie, obszerne czadory lub długie płaszcze. Dziewczęta rozmawiały o najnowszych wiadomościach.

- Jeśli władzę przejmą ekstremiści Hekmatjara, wojna będzie trwała dalej.

- Zmieni się sytuacja życiowa kobiet, nie będą mogły pracować.

- Szkoły dla dziewcząt będą zamknięte. Wolałam nic nie mówić, bo brat był w więzieniu Koranu.

Dziedziniec z marmuru w kolorze lazurowym nakrapianym ciemnoczerwono był gładki jak lustro. Wokół niego zgromadziły się białe gołębie. W dzień nowego roku dziedziniec zdobiły doniczki z czerwonymi tulipanami. To było naprawdę wspaniałe.

Niektórzy pątnicy, niewidomi lub kalecy modlili się tu od roku, czekając na obchody święta, w nadziei, że tego dnia zdarzy się cud.

Wewnątrz meczetu, na pulpicie był wyłożony Wielki Koran, można go było przeglądać, kiedy chciało się znaleźć odpowiednie wersety, ale widziałam też ludzi, którzy odmawiali je z pamięci, nie zaglądając do świętej księgi. Potem złożyliśmy ofiarę na meczet i poszliśmy pomodlić się na grobie Alego. Szakila zapytała jakąś kobietę, co należy zrobić potem, a ona odpowiedziała:

i obawiałam się, że moje wypowiedzi mogą mu zaszkodzić. Myślałam jednak z lękiem, że Wahid podziela idee ekstremistów.

Jakieś dwa, trzy dni później zauważyliśmy w naszej dzielnicy umundurowanych mężczyzn. Kilku z nich pojawiło się nawet w mojej szkole. Mieli na sobie mundury wojskowe, koleżanki z klasy sądziły więc, że nie mogą być modżahedinami.

Tego samego dnia niektórzy sąsiedzi, zwłaszcza zatrudnieni w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, zaczęli znosić do domu broń oraz różnego rodzaju sprzęty: telewizory, magnetowidy, radiomagnetofony... Tak zaczęła się grabież. Mężczyźni zapuszczali brody.

Telewizja, tak jak przedtem, nadawała program z udziałem presenterów i presenterek. Nadal puszczano nagrania muzyczne. Ale wieczorem 28 kwietnia presenterka, choć umalowana jak zwykle, nosiła już chustę. To było dla nas coś nowego. Kilka dni później prezydentem Islamskiego Państwa Afganistanu mianowano Sebghatuliaha Modżaddidiego.

5 maja otwarto bramy więzień i wolność odzyskali równocześnie wszyscy więźniowie polityczni i kryminalni. Wieczorem do naszych (irzwi zapukał Wahid. Miał brodę, nosił strój narodowy i choć dopiero co wyszedł z więzienia, lepiej od nas znał przebieg wydarzeń. Był szczęśliwy i rny też cieszyliśmy się, że znowu go widzimy, ale nazajutrz poszedł na targ i kupił nam trzy wielgachne czadory, które nie miały nic wspólnego z chustami, jakie nosiliśmy do tej pory.

z Koranu. Dziedziniec z marmuru w kolorze lazurowym nakrapianym ciemnoczerwono był gładki jak lustro. Wokół niego zgromadziły się białe gołębie. W dzień nowego roku dziedziniec zdobiły doniczki z czerwonymi tulipanami. To było naprawdę wspaniałe.

Niektórzy pątnicy, niewidomi lub kalecy modlili się tu od roku, czekając na obchody święta, w nadziei, że tego dnia zdarzy się cud.

Wewnątrz meczetu, na pulpicie był wyłożony Wielki Koran, można go było przeglądać, kiedy chciało się znaleźć odpowiednie wersety, ale widziałam też ludzi, którzy odmawiali je z pamięci, nie zaglądając do świętej księgi. Potem złożyliśmy ofiarę na meczet i poszliśmy pomodlić się na grobie Alego. Szakila zapytała jakąś kobietę, co należy zrobić potem, a ona odpowiedziała:

- To świątynia Alego. Możecie się modlić i prosić o coś Boga. Wasza prośba zostanie spełniona. On czyni cuda.

Ja prosiłam o zdrowie dla mamy i żeby Bóg chronił całą naszą rodzinę. Potem widzieliśmy dziwną rzecz: setki kłódek wiszących na metalowym pręcie, wszystkie były zamknięte. Zastanawiałam się, do czego mogą służyć. Znowu zapytałam jakąś kobietę.

- Trzeba pociągnąć za jakąś przypadkową kłódkę, a jeśli się otworzy, twoje życzenie się spełni. Moja bratowa zrobiła to kilka dni temu, chciała, żeby mąż wrócił do Mazar-e Szarif, bo się o niego martwiła. Tego samego wieczoru był już w domu!

Szakila nie chciała pociągnąć za kłódkę; ja chętnie bym to zrobiła, wyciągnęłam już nawet rękę i prawie dotknęłam jednej z nich, ale ona mnie powstrzymała.

- Nie wiem, co to ma znaczyć, Latifo! Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Zamiast zrobić głupstwo i postąpić wbrew zasadom, lepiej nic nie ruszać.

Wahid czekał na nas na zewnątrz, modlił się w części meczetu przeznaczonej dla mężczyzn.

Kupiliśmy ziarno, żeby nakarmić białe gołębie z błękitnego meczetu. Zauważyłam wielu cudzoziemców, nawet z Zachodu. Byli zachwyceni pięknem meczetu. W Kabulu są równie piękne i duże meczety, ale ten jest jedyny w swoim rodzaju i otoczony szczególną czcią, bo znajduje się tu grób Alego, a on potrafi sprawiać cuda.

Co niezwykle, obie z Szakila stałyśmy się świadkami cudu!

Nad nieprzeliczonym tłumem powiewała chorągiew zawieszona przez mężczyzn. Tuż przed nami byli modlący się chorzy i kaleki. Nagle jakiś mężczyzna wznosił ręce do nieba, przetarł oczy, krzycząc jak oszalały, że odzyskał wzrok! Otaczający go ludzie rzucili się natychmiast zdzierać z niego ubranie, bo odtąd uchodziło za święte. Mężczyzna dziękował Śogu, pocierał twarz, potem w ekstazie wpatrywał się w niebo, a tłum coraz bardziej na niego napierał. Nie przeszkadzał mu w tym. Widziałam wyciągnięte ku niemu ręce, błagania były natarczywe. Bałam się nawet, że on nie ma już na sobie ani skrawka materiału. On jednak był całkowicie nieświadomy tumultu, jaki go otaczał, raziło go światło i bez przerwy powtarzał ten sam gest. Zasłaniał oczy dłońmi i odsłaniał je, mówiąc z płaczem: „Dzięki, o Boże!”. Rodzina chroniła go, jak mogła. Ciągnęłam Szakilę za rękaw, powtarzając:

- Popatrz! Popatrz! To cud!

- Przecież patrzę. Puść mnie, to boli.

Mama znajdowała się za daleko od nas, żeby przeżyć to samo uniesienie co my, ale widziała i też była przekonana, że zdarzył się cud. Później pewien człowiek pracujący w meczecie powiedział nam, że ten pielgrzym tkwił pod meczetem już od roku, modląc się codziennie.

Wahid też był pod wrażeniem, ale zachował większy spokój niż my. „Bóg jest naprawdę wielki” - rzekł z powagą.

Po powrocie do Kabulu natychmiast opowiedziałam ojcu o tym cudownym zdarzeniu.

- Ja też kiedyś widziałem cud, pewien człowiek miał sparaliżowaną nogę i na moich oczach zaczął chodzić! W Mazar-e Szarif często zdarzają się cuda!

Jest wieczór 12 sierpnia 1998 roku w Kabulu, a ja nie mogę zasnąć. Mówi się już o masakrach w świętym mieście. Podobno są setki zabitych. Tulipany zwiędły od wiosny i talibowie nie widzieli, jak w słońcu rozpościerają się ich krwistoczerwone łany. Krwią mężczyzn i kobiet z Mazar-e Szarif zbroczyli tamtejszą ziemię. „Bóg jest naprawdę wielki” - mówił Wahid, a dzięki wstawiennictwu Alego ślepi odzyskują wzrok. Gdybym mogła pomodlić się do Alego przy tym marmurowym grobie, w błękitnym meczecie, błagałabym go, żeby uczynił jeszcze jeden cud dla opuszczonego przez wszystkich ludu afgańskiego.

Żeby talibowie, którzy ośmielają się wymyślać nieludzkie i sprzeczne ze świętą księgą prawa, ci ignoranci w sprawach Koranu, nauczyli się go przestrzegać z odwieczną pokorą, tak jak robimy to my, Afgańczycy.

## Trzy dziewczynki z Tajmani

Rano robię w kuchni herbatę dla mojej koleżanki Faridy z szóstego piętra, która przysłała ze mną porozmawiać. Uważa, że stałam się bezwolna, że się poddaję. Już nie gorączkuję, z płucami jest lepiej i Farida od jakiegoś czasu namawia mnie, żebym nie ulegała przygnębiającej beczynności. Znajduje sposób, żeby mną potrząsnąć i poprawić mi nastrój. Ona czasem wychodzi z domu, natomiast ja objam się bez celu po mieszkaniu, gdzie towarzyszy mi troska o chorą mamę i smutek Sorai. Otwieramy okno kuchenne, żeby wpuścić trochę powietrza, i patrzę przez siatkę na meczet. Często to robię. Budowę ukończono może dzięki funduszom tego pana ben Ladena, o którym pisałam w pracy egzaminacyjnej.

Meczetami zawładnęli talibowie i wykładają tam swoją wersję Koranu. Pośrodku dziedzińca widzę mułłę w otoczeniu grupy małych chłopców niez mordowanie recytujących pod jego dyktando.

Mułła trzyma kij i pewnie bije nim chłopców, ilekroć któryś się pomyli lub zawaha.

Farida przygląda się razem ze mną jego poczynaniom.

- Całkiem możliwe, że każe im powtarzać jakieś okropne rzeczy! Popatrz, bije tego chłopca po rękach...

W tej właśnie chwili, dzięki widokowi z okna, budzi się nagle z uspienia mój umysł studentki. Przede wszystkim w szkole koranicznej są sami chłopcy, nie ma dziewczynek! Mułła może nauczyć te dzieci tylko jednego: tekstów Koranu. Wychowanie religijne jest ważne, sama chodziłam na lekcje religii, ale uczyli mnie też wielu innych przedmiotów: historii, geografii, literatury perskiej, matematyki, przedmiotów przyrodniczych... Kto ich teraz nauczy tego wszystkiego? Szkoły dla chłopców nadal istnieją, nie są obowiązkowe, ale pewnie niektórzy rodzice uważają, że lepsza jest choćby minimalna edukacja niż żadna. Ale jaki jest poziom? Propaganda talibów szybko przeniknęła do szkół. Przez pierwsze trzy lata nauki chłopcy muszą nosić małe czapki i ubranie przypominające piżamę. Kiedy mają osiem, dziewięć lat, muszą obowiązkowo zakładać białe turbany, o wiele dla nich za duże. Wielu chłopców z dzielnicy przestało uczęszczać do szkoły, bo ich rodzice uznali, że lekcje są specjalnie dobierane i nadzorowane przez talibów. Inni wpadli w kompletną edukacyjną próżnię, ponieważ ich matki są wdowami. Pomagają im przeżyć, sprzedając na ulicach, co się da, albo żebrząc. Inaczej te kobiety odcięte od świata przez reżim by nie przetrwały. W porównaniu z tymi dziećmi ja miałam w sumie spore szczęście: przestałam się uczyć dopiero po wkroczeniu talibów. Do szkoły podstawowej posłano mnie, kiedy skończyłam pięć lat, za okupacji radzieckiej. Wojna domowa tocząca się między modżahe-dinami a władzami komunistycznymi, która przypadła na okres od dziewiątego do dwunastego roku mojego życia, nie zaważyła poważnie na nauce. W utworzonym przez ruch oporu Islamskim Państwie Afganistanu skończyłam drugi cykl, zdałam egzamin końcowy i zaczęłam się przygotowywać do egzaminu wstępnego na wydział dziennikarstwa.

Teraz mam osiemnaście lat i od dwóch lat żyję zamknięta w czterech ścianach i nic nie robię, chociaż mogłabym okazać się przydatna, gdybym dołączyła do tych, którzy przekazują wiedzę, choć moje wiadomości są jeszcze dosyć ograniczone.

Dziś rano okazuje się, że Farida myśli tak samo jak ja; może nawet myślała o tym już wcześniej.

- Posłuchaj, Latifo! Dla nas obu to już koniec, dalej w nauce nie zajdziemy, ale mogłybyśmy coś zrobić dla tych dzieci! Choćby rozjaśnić im w głowach, żeby nie słuchały tylko tego, co mówi im mułła.

- Tajna szkoła? Jak pani Fawzija?

Jedną z naszych dawnych profesorek talibowie przyłapali niedawno w trakcie tajnych lekcji. Najpierw zbili dzieci, a potem napadli na nią. Ciągnęli ją za włosy i zrzucili ze schodów tak brutalnie, że złamała nogę. Potem wsadzili ją do więzienia i zmusili do podpisania oświadczenia, że więcej nie będzie uczyć i że będzie przestrzegać wprowadzonych przez nich przepisów. Grozili, że ukamienują publicznie całą jej rodzinę, jeśli nie przyzna się do błędu.

Bardzo podziwiam tę kobietę, tyle nas nauczyła, kiedy chodziłam do szkoły! Pani Fawzija wiedziała, co robi i jakie podejmuje ryzyko, tworząc tajną szkołę. Dzieci przychodziły o różnych godzinach i nie wychodziły równocześnie. Książki zostawiała u niej, nic, co nielegalne - w rozumieniu dekretów talibów - nie wychodziło na zewnątrz. Panią Fawziję musiał zadenuncjować jakiś sąsiad albo żebrak. Żebracy czyhają tylko na jakąkolwiek informację, która - ich zdaniem - może im przysporzyć jakichś łask ze strony panów Kabulu. A przecież pani Fawzija była taka ostrożna! Przed każdą lekcją mówiła dzieciom: „Trzymajcie pod ręką tekst jakiejś sury z Koranu. Jeśli ktokolwiek wejdzie do pokoju, powiecie, że ją przerabiamy i że nie uczymy się niczego innego!”

Widok meczetu i tych małych chłopców recytujących i kiwających się do przodu i do tyłu, zastraszone lub otumanione przez mułłę - oto czego mi było trzeba, żeby tego ranka coś się we mnie przebudziło, żebym zareagowała. Czasem taki jest początek zdarzeń, to przeznaczenie. Farida podsuwa mi pomysł, żebym zastąpiła panią Fawziję i kontynuowała jej dzieło. Może poczuje się choć trochę pomszczona, jeśli się dowie, że ktoś przejął pałeczkę. Stoimy więc w oknie i poważnie rozmawiamy o uruchomieniu szkoły, która działałaby zgodnie z zasadami naszej poprzedniczki.

- Musimy wziąć od niej program nauczania i dowiedzieć się, co już przerobiła.
  - Możemy przyjmować wyłącznie uczniów z najbliższych bloków i ograniczyć się do znajomych, na których dyskrecję można liczyć.
  - Trzeba poprosić o pomoc inne koleżanki, na przykład Marjam. Jestem pewna, że zgodzi się z ochotą.
  - Każda będzie prowadziła lekcje u siebie. Rozproszenie jest dodatkową gwarancją bezpieczeństwa.
- Mam jakiś cel, nareszcie! Piszemy karteczkę do pani Fawzii i przekazujemy liścik w tajemnicy, bo wizyta u niej albo zaproszenie jej do nas byłoby nieostrożnością. Zresztą, od czasu aresztowania biedna kobieta jest kaleką i ma trudności z poruszaniem się.

Bardzo szybko odpowiada nam, że zgadza się z radością, i dodaje, iż nie tylko przekaże nam swoje programy nauczania, ale od czasu do czasu będzie przychodzić, żeby nam pomóc. Uważamy, że po tym, co jej się przytrafiło, wykazuje niezwykłą odwagę. Po tym udanym pierwszym kroku informuję o naszym planie ojca i Dauda. Farida też mówi o nim swojemu ojcu i Saberowi. Nie mogłybyśmy działać bez zgody naszych rodzin na nielegalne wizyty uczniów. Wszyscy się zgadzają, ale Daud nas ostrzega:

- To świetnie, że pani Fawzija przekaże wam swoje materiały, ale jeśli będzie tu przychodzić, weźmiecie na siebie poważną odpowiedzialność za jej życie. Jeśli talibowie złapią ją po raz drugi, to będzie jej koniec! Koniec! Nie macie prawa tak jej narażać.

Obie rodziny nie zgadzają się więc na to, żeby pani Fawzija brała udział w nauczaniu. Przedsięwzięcie rusza, z chwilą gdy dostarcza nam swój plan lekcji. Biorę dziesiątkę dzieci, Farida tyle samo. Marjam będzie miała średnio pięcioro, w zależności od dnia. Nasi uczniowie mają od siedmiu do czternastu lat, a komplety są koedukacyjne. Oczywiście my też podejmujemy ryzyko, ale niewielkie: dzieci nie będą musiały chodzić daleko, niektóre mieszkają w tym samym bloku, inne w najbliższym sąsiedztwie. Bliskość jest zasadniczym warunkiem bezpieczeństwa. Jedna z kuzynek mieszkająca w dzielnicy Taj mani opowiadała ojcu historię, która nas ogromnie wzburzyła i która dodatkowo skłoniła do zachowania środków ostrożności. Dziewczynki z Taj mani miały tajną szkołę oddaloną o pół godziny drogi i uczęszczanie do niej wiązało się z ogromnym ryzykiem. Pewnego dnia ciała kilku z nich, w wieku siedmiu czy ośmiu lat, znaleziono na śmietniku. Zostały porwane, zgwałcone i uduszone przy użyciu ich własnych ubrań. Organizując nasze przedsięwzięcie, dużo myślę o dziewczynkach z Tajmani. To przez wzgląd na pamięć o nich tak bardzo staram się pomóc dzieciom z sąsiedztwa.

Mama, choć taka słaba, odczuwa przyływ energii i też nas wspiera. Staram się w miarę możliwości chronić ją przed hałasem, bo dzieci przychodzą i wychodzą o różnych godzinach i taki nieustanny ruch jest dla niej męczący. Myślę, że docenia nasz wysiłek, ponieważ sama nie jest w stanie działać w swoim zawodzie. Soraja obiecała, że wieczorami będzie poprawiać zeszyty uczniów. A Daud dwoi się i troi, żeby zaopatrzyć nas w podstawowe niezbędne materiały piśmienne, ołówki i zeszyty. Korzysta z pieniędzy, które dają nam rodzice uczniów. Problemem jest kupno książek. Można je jeszcze zdobyć, ale są takie drogie: dwanaście tysięcy afghani za jeden zwykły podręcznik! Wziąwszy pod uwagę panującą w kraju inflację, to niebotyczna suma. Rodzice uczniów kupują więc sami po podręczniku na dziecko, w zależności od własnych możliwości. Marjam prowadzi lekcje matematyki. Farida i ja uczymy czytania, historii i pisania ze słuchu. Nasza koleżanka uczy starsze dzieci angielskiego.

Po zakończeniu przedpołudniowych lekcji obserwuję ulicę. Jeśli dostrzegam kogoś, kogo nie poznaję albo kto wydaje mi się podejrzany, dzieci czekają. Czasem nawet jedzą u nas obiad. Najpierw wypuszczam najstarszych chłopców. Po kolejnym oglądzie ulicy wychodzą dziewczynki. Brat jednej z nich czeka i wychodzi razem z nimi. Co ciekawe, wcale się nie boją. Uczę dzieci z pogodą ducha, moje koleżanki tak samo. Siatka jest absolutnie szczelna, znamy rodziców, dzieci mają motywację i są całkowicie świadome tego, co robią w tej zaimprovizowanej szkole. Rozumieją, że trzeba zachować tajemnicę i że nauka jest bardzo ważna w sytuacji, w jakiej postawił nas reżim talibów. Kiedy wychodzą ode mnie, nic przy sobie nie mają, ani zeszytu, ani książki, nawet ołówka. Wszystkie pomoce naukowe trzymam u siebie w pokoju. Na lekcje przychodzą tak samo z pustymi rękami, jakby wpadły z wizytą.

Zaczynam pracę między dziewiątą a dziesiątą rano w zależności od tego, kiedy zjawią się dzieci. Lekcje, które kończą się w południe, odbywają się w moim pokoju. Uczę religii, historii, geografii i literatury perskiej, a dwa razy w tygodniu odbywa się czytanie i dyktando.

Mam pięć uczennic: Ramika ma czternaście lat, ona jedna nosi czadri; Karamcza i Tabasom są bliźniaczkami, mają po siedem lat; Malika ma sześć lat, a Zakija pięć. Trzej chłopcy są młodszy: Szejb ma siedem lat, a Szekeb i Foad około pięciu. Naśladując moje nauczycielki, zaczynam zawsze w ten sam sposób: „Odrobiliście lekcje? Kto nie odrobił lekcji, niech usiądzie z boku! Zajmiemy się tym później”. Potem przechodzę do aktualnego tematu: „Dzisiaj będziemy mówić o znaczeniu wody w życiu człowieka i na Ziemi. Do czego służy woda?”. Oczami wyobraźni widzę siebie, jak wsłuchuję się w słowa nauczycielki!



Mama zapisała mnie do szkoły na osiedlu Mikrorajan 1, znajdującej się na południowym brzegu rzeki Kabul. Tam przeszłam całe nauczanie podstawowe. Rano o ósmej do szkoły odprowadzał mnie ojciec, a około wpół do dwunastej odbierała mnie Szakila. W mojej klasie była dziewczynka o imieniu Wahida. Pochodziła z Kandaharu, dużego miasta, za którym rozciąga się pustynia Registan. Była najstarsza z nas i wychowawczyni wyznaczyła ją na gospodynię klasy, chociaż to ja powinnam nią zostać, bo miałam najlepszą ocenę. Uważałam, że zgrywa się na ważniaczkę, i zazdrościłam jej. Kiedy Wahida oznajmiła, że wraca w swoje strony, spodziewała się na pewno, że posmutnieję, tymczasem pamiętam, że powiedziałam: „Dla ciebie to lepiej, że wracasz”. Przejęłam obowiązki gospodyni klasy i moja duma została zaspokojona.

Kiedy to wspominam, myślę, że nie byłam wtedy nazbyt miła.

Do trzeciego cyklu - co u nas odpowiada zakończeniu nauki na szczeblu podstawowym - nosiliśmy tradycyjne stroje, ale na początku cyklu czwartego, czyli liceum, trzeba było włożyć mundurek, na który składała się brązowa sukienka, a pod spodem białe spodnie. Rosjanie zbudowali właśnie na osiedlu Mikrorajan nowoczesny budynek, który nazwali „Liceum Przyjaźni”. Po sześciu miesiącach przybyły jeszcze dwa takie same. Szkoła stała się obowiązkowa, Sowietci podjęli więc pewne środki, żeby zachęcić rodziny do posyłania dzieci na naukę. Wypłacali zasiłek w wysokości tysiąca pięciuset afghani miesięcznie na ucznia, a w liceach rozdawano bezpłatnie niebieskie sukienki i szare koszule. System ten działał tylko sześć miesięcy. Nazywaliśmy go Emdad disco, to znaczy „pomoc disco”, bo moda na disco w latach osiemdziesiątych była dla nas synonimem luksusu, który zafundował nam Związek Radziecki! Kiedy w 1989 roku wyszły wojska radzieckie, została nam po nich we wszystkich dziedzinach pewna liczba doradców, których od razu nazwaliśmy „tymi, którzy spóźnili się na konwój”. W naszym liceum w czasie okupacji było wielu nauczycieli z ZSRR, ale w 1989 roku zostało już tylko dwóch „spóźnionych na konwój”, z czego jeden uczył w mojej klasie. Farhad, nazbyt pewny siebie kolega, prowokował go, rzucając w niego papierowymi kulami.

- Dlaczego jeszcze tu jesteś, skoro wszyscy wyjechali? - pytał bezczelnie.

Ojciec Farhada był ważnym członkiem partii sprawującej władzę, toteż nikt nie śmiał zwrócić mu uwagi. Według mnie był nie najlepiej wychowany. Po jakimś czasie ci dwaj nauczyciele też wyjechali, ale sądzę, że kule Farhada nie miały na to wpływu. Jego nienawiść do Sowietów była jednak zrozumiała.

W tamtych latach wiele dzieci z naszej dzielnicy straciło ojców. Zmarli w więzieniu albo uznano ich za zaginionych. Fereszta, Jama, Ajmal i Babrak, z którymi się bawiłam, a przede wszystkim Anita, której mi było bardzo żal... Przez dziewięć lat z rzędu chodziłam z Anitą do tej samej klasy. Bardzo ją lubiłam. Szczupła, miała jasną cerę i kasztanowe włosy, była miła i wesoła. Zbliżyłam się do niej jeszcze bardziej, kiedy dowiedziałam się, że jest półsierotą. Jej ojciec został aresztowany i wtrącony do więzienia za Sowietów i od tamtej pory słuch po nim zaginął; matce nie udało się dowiedzieć, dlaczego został aresztowany ani gdzie był więziony. Prawdopodobnie w Pol-e Czarchi, jak mój brat Wahid. Ojciec Anity nie wrócił, choć wróciły tysiące innych mężczyzn. Jedyną pamiątką, jaka jej po nim została, było zdjęcie, na którym ojciec trzyma ją, małą dziewczynkę, na rękach. Jej matka płakała, kiedy mi je pokazywała. Co dziwne, Anita inaczej niż jej mama reagowała na cierpienie: bujała w obłokach, jak marzycielka, uwielbiała grać w szkolnym teatrze, a czasem śpiewała jako przedstawicielka klasy. To był jej sposób na przeżycie i zachowanie nadziei. Często mówiła mi: „On kiedyś wróci”.

W porównaniu do niej miałam szczęście, bo oboje moi rodzice żyli, a dzięki jednej z ciotek, która lubiła o tym opowiadać, znałam całą ich historię. Pobrali się z miłości, kiedy mama studiowała medycynę i dodatkowo uczęszczała na bezpłatne wykłady lekarzy niemieckich, organizowane przez Instytut Goethego w Kabulu. Odbywała staż jako pielęgniarka w szpitalu Masturat. Tam zobaczył ją ojciec i zakochał się. Ona przez „cztery lata nic nie dostrzegła, choć posyłał jej wiersze i starał się jak mógł oczarować i ująć piękną a nieczułą. Zauważyła tylko, że jest miły, i dopiero jakaś koleżanka otworzyła jej oczy.

Kiedy z kolei zakochała się mama, ich małżeństwu sprzeciwiła się jej rodzina, a także babka ojca, bo obawiała się przyjąć do grona rodziny „kobietę z wyższym wykształceniem, pracującą w szpitalu, która może nie będzie okazywać jej należnego szacunku”.

Ostatecznie ojciec powiedział mamie:

- Jeśli nadal będą się sprzeciwiać naszemu małżeństwu, trudno, porwę cię!

Uzyskali wreszcie zgodę i mieli piękne zaręczyny. Tata zabierał narzeczoną do kina, na spacer, do restauracji. Przyjaciółka mamy pracująca w policji powiedziała jej kiedyś: „Alijo, wybrałaś prawdziwego mężczyznę! Skoro nie boi się zabierać cię do restauracji!”. W tamtych czasach, tłumaczyła mi ciotka, mężczyźni zapraszali do restauracji tylko kobiety lekkich obyczajów...

Rodzice pobrali się w 1964 roku, a nas napawa dumą fakt, że jesteśmy ich dziećmi. Tak zaczyna się historia naszej rodziny, dosyć dobrze zresztą odzwierciedlająca dzieje Afganistanu, bo nie zdołały jej rozbić ani kolejne wojny, ani bratobójcze walki między różnymi grupami etnicznymi. Tata jest Pasz-tunem, mama Tadżydzką, to symbol sam w sobie!

Pewnego ranka, zimą 1999 roku, jeden z uczniów przekazał mi prośbę rodzica, żebym na lekcji historii omówiła wojnę z Anglikami. Rodzice często w ten sposób podsuwają mi pewne tematy.

Zważywszy na wiek chłopca, muszę ująć to w prostych słowach:

- Anglicy chcieli zająć nasz kraj, ale Afgańczycy nie lubią obcych najeźdźców. I choć Anglicy mieli do dyspozycji najlepszą nowoczesną broń, a oni tylko kije, stawiali odważnie opór. Wygrali, a Anglicy się wynieśli i nigdy więcej nie wrócili! Anglicy nie mieli pojęcia o naszym trybie życia. Dam ci przykład. Zauważyli, że Afgańczycy często żują małe, suche kulki, jakby ulepione z ziemi, a wyjmowali je z kieszeni.

To ich bardzo intrygowało i zastanawiali się, do czego one służą.

- Co to było, Latifo?

- Na wsi zbiera się morwy, suszy je, rozgniata i z powstałego proszku wyrabia się jadalną, bardzo słodką masę, którą można bardzo długo przechowywać. To się nazywa talchan, a naszym żołnierzom dodawało siły podczas walki.

Po przegranej wojnie Anglicy nie wzięli ze sobą talchan. Zabrali złoto, klejnoty, wiele starych przedmiotów, które budziły ich pożądliwość. Ale ponieważ nie mogli ich przetransportować przez góry, schowali je w różnych miejscach wzdłuż drogi odwrotu.

Innego dnia pada inne pytanie:

- Mój ojciec powiedział, że, w przeciwieństwie do prezydenta Dauda, król Habibullah Chan nie zrobił dla kraju nic dobrego. Pyta, jakie jest twoje zdanie...

- Pomówimy o tym jutro.

Zaskoczył mnie, a nie chcę udzielać wymijającej odpowiedzi, bo daty i nazwiska trochę mi się pomieszały w pamięci. Wolę wieczorem poprosić rodzinę, żeby mi wytłumaczyła, co należy sądzić o tym problemie historycznym.

Nazajutrz rano, należycie przygotowana, mogę już odpowiedzieć uczniowi.

- Twój ojciec ma rację. Ten król nie przysłużył się krajowi, w swoim pałacu trzymał trzysta kobiet, które uprzyjemniały mu życie. Jego syn, Amanullah Chan, ogłosił niepodległość i wypędził z naszej ziemi Anglików, ale ambicją prezydenta Dauda było coś więcej: chciał uczynić z Afganistanu kraj rozwinięty, nowoczesny i niezależny. Chciał, na przykład, żebyśmy sami mogli produkować samochody i mnóstwo innych tego rodzaju rzeczy. Dlatego nie zamierzał być królem, tylko prezydentem. Niestety, nie zdążył, bo przyszli Rosjanie. Kiedy chodziłam do szkoły, nauczanie historii zaczynało się od wojny angielsko-afgańskiej. Następnie omawiało się czasy współczesne, w których żyli moi rodzice, panowanie króla Mohammada Zahera Szaha, a potem sprawowanie władzy przez jego kuzyna Dauda.

Pamiętam, jak w liceum, kiedy na lekcji była mowa o wojnie angielsko-afgańskiej w XIX wieku, nasz profesor chciał posłużyć się porównaniem i w ferworze popełnił ciekawy lapsus: „Rosjanie wycofali się z Afganistanu w 1878 roku, tak samo jak Anglicy w 1989. Eee... Nie... Tak czy inaczej, wycofali się w podobnych okolicznościach: pokonani i zmuszeni do odwrotu!”

Szczególnie dobrze pamiętam zimą 1988-1989. Wojska radzieckie szykowały się do ewakuacji. Było zimno jak nigdy dotąd w całej historii Kabulu. Zaopatrzenie prawie ustało. Ruch oporu stosował politykę otoczenia i blokady stolicy i brakowało nam wszystkiego. Ustawialiśmy się z siostrą w kolejce do dwóch różnych piekarni, żeby kupić sześć bochenków chleba. Tak samo zdobywało się naftę, bo modzahedini zburzyli słupy trakcji elektrycznej i wszyscy do gotowania używali maszynek na naftę, a do ogrzewania węgla. Kolejki były coraz dłuższe. Żeby cokolwiek kupić, trzeba było odstać pół dnia. Niektórzy ustawiali się w kolejce około trzeciej po południu i byli załatwiani o siódmej wieczorem, inni zjawiali się przed sklepami dobrze przed świtem,

o trzeciej, mając nadzieję, że o dziewiątej rano przyjdzie ich kolej. Ta nędza trwała cztery miesiące

I zdarzało się, że ludzie umierali, stojąc w ogonku. Kiedy nie było chleba, najbogatsi jedli herbatniki i ciasta. Tymczasem mówiono nam, że robimy rewolucję! Zjadłam wtedy tyle ciasta, że mi obrzydło...

Zaopatrujące stolicę radzieckie samoloty lądowały tylko nocą, a gazety pisały, że „Kabul dostaje kroplówkę”.

Ostrzał z rakietnic, niekończące się kolejki, ceny ryżu, cukru i mąki, wszystko to doprowadzało mieszkańców do kresu wytrzymałości nerwowej. Denerwowali się z byle powodu, dochodziło do bójek. Wielu myślało tylko o tym, jak wydostać się z Kabulu.

Jedni oddawali córki za żony chłopcom z Zachodu, przygotowując w ten sposób schronienie dla całej rodziny, bo chcieli jechać ich śladem. Inni próbowali zdobyć pieniądze na sfinansowanie wyjazdu za granicę, często nielegalnego, wyprzedając dobytek. Kabul stracił całą tę sztuczną wesołość, jaka panowała za okupacji radzieckiej. Wreszcie wiosną 1989 roku radio podało, że odtworzono zapasy i że nie ma już problemów z zaopatrzeniem. Co ciekawe, Kabulczycy nie wiedzieli wtedy prawie nic o tym, co się działo na prowincji. W telewizji było pełno programów rozrywkowych, jakby chcieli nas otumanić - koncerty, wybory Miss Afganistanu albo Miss Kabulu, filmy indyjskie... Działy teatry, wszystkie kanały radiowe rozbrzmiewały muzyką. Od czasu do czasu ulice miasta zaludniały się, ale nieznanne były losy rodzin, które porzuciły domy i wioski podczas walk między oddziałami ruchu oporu a wojskami rządowymi. Ludność stolicy z wolna pęczniała, a my pozostawaliśmy ślepi... Nie chcieliśmy dostrzec rzeczywistości.

Owszem, istnieli modżahedini, wiadomo było, że jest opozycja, ale myślę, iż nadal wierzyliśmy, że wszystko się ułoży, że dojdzie do porozumienia, wróci pokój... Potem był Dżalalabad. Latem 1991 roku, dwa lata po wyjściu wojsk radzieckich, ruch oporu rozpętał wielką bitwę o miasto, korzystając ze znaczącego wsparcia wojsk pakistańskich. Armia afgańska i rząd komunistyczny przeprowadziły masową mobilizację.

Z tej właśnie okazji doktor Nadżibullah wygłosił sławne przemówienie na placu Ariana. Sprawującym władzę chodziło o obronę Dżalalabadu przed atakami ruchu oporu, ale przede wszystkim o przeciwstawienie się ingerencji Pakistanu. Werbowano kobiety, żeby zapewnić stolicy bezpieczeństwo. Widziałam wtedy po raz pierwszy kobiety w mundurach wojskowych. Były wszędzie, na skrzyżowaniach ulic i na szerokich arteriach. Pracowały w ka-bulskim elewatorze zbożowym, działającym dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby zapewnić wypiek chleba. Prowadziły elektryczne autobusy miejskie. Pracowały w administracji, w bankach, śpiewały w telewizji. Członkinie Związku Młodzieży Komunistycznej chodziły po szkołach i zbierały dary dla wojska. Ta mobilizacja udzielała się nawet młodym piosenkarzom amatorom, którzy dawali bezpłatne koncerty ku czci wojska. Pojawiły się naśladowczynie Madonny i naśladowcy Michaela Jacksona, śpiewający dla afgańskiej armii. Nie mogłam jednak nie zauważyć, że niektóre dziewczyny z mojej dzielnicy są smutne, kiedy ich narzeczem wyruszają na front.

W przeddzień wejścia modżahedinów, pod koniec kwietnia 1992 roku, byliśmy zaproszeni na wesele do hotelu Kabul, położonego w centrum miasta, naprzeciwko banku centralnego i niedaleko pałacu prezydenckiego i budynku Ministerstwa Finansów. Uroczystość rozpoczęła się około godziny czwartej po południu. Dziewczęta i chłopcy mieli na sobie zachodnie ubrania, tańczyli, podano kolację, a po niej miała się odbyć ceremonia religijna. Nagle na salę wpadł jakiś wojskowy i zapytał o ojca nowożeńca. Powiedział mu, że oddziały modżahedinów wdarły się do miasta i że trzeba szybko udzielić ślubu. Większość kobiet była w sukniach z dekolantami, mężczyźni okryli im więc czym prędzej ramiona marynarkami i wszyscy w pośpiechu zaczęli się rozchodzić do domów. Pięć minut później starszy brat pana młodego jak najszybciej odwiózł mnie i moje siostry do domu. Rodzice byli zdziwieni, że wracamy tak wcześnie, bo zwykle taka uroczystość nie kończy się przed północą! Szakila chciała sprawdzić, czy radio podaje jakieś informacje, ale nie było specjalnego wydania wiadomości. Następnego dnia wszystko jeszcze wyglądało zwyczajnie i ludzie rozeszli się do swoich zajęć.

Około godziny jedenastej Szakila przyszła po mnie do szkoły. Na pytanie nauczyciela, dlaczego mnie zabiera, odpowiedziała po prostu, że muszę wracać do domu. Wy tłumaczyła mi to po drodze.

- W Kabulu może dojść do wojny, muszę zawiadomić całą rodzinę. Zadzwońię do magazynu taty.

Słyszałam, jak prosi go, żeby zrobił zakupy i wracał czym prędzej. Potem telefonowała na lotnisko i zawiadomiła Soraję, że powinna przyjechać do domu. Szakila wyglądała dziwnie, starała się zachować zimną krew, ale co pięć minut podchodziła do okna, żeby zobaczyć, czy nadchodzą rodzice. Półtorej godziny później wszyscy byli w domu.

- Skąd ten pośpiech? - zapytał tata.

- Jadąc do redakcji, tą samą drogą co zwykle, zauważyłam, że sklepy są zamknięte i że ludzie budują zapory z worków z piaskiem. Widziałam uzbrojonych mężczyzn w turbanach, a przecież nikt poza wojskowymi nie ma prawa nosić w mieście broni. Kiedy taksówka dojechała do gmachu Ministerstwa Gospodarki Wodnej i Elektryczności, niedaleko placu Defilad, jakiś wojskowy dał znak, żeby się zatrzymać. Pokazałam mu legitymację służbową i powiedziałam, że jadę do redakcji. Rozkazał mi zawracać ze słowami: „W mieście są żołnierze Golbuddina Hekmatjara!”. Zapytałam, kim jest ten Hekmatjar, i w tej samej chwili jakiś mężczyzna w tradycyjnym stroju, z brodą i w turbanie, wrzasnął: „Należymy do Hezb-e Eslami Hekmatjara!”. Ni stąd, ni zowąd dookoła samochodu wyrosło jak spod ziemi pełno mężczyzn w turbanach; kazałam kierowcy natychmiast zawrócić.

Taksówkarz wykonywał manewr, kiedy ten sam wojskowy, który nas zatrzymał, znowu zaczął dawać mi znaki: chciał, żebym zabrała dwie dziewczyny pracujące w Ministerstwie Gospodarki Wodnej i Elektryczności. Opowiedziały mi, że ci brodacze bili je i poniżali, bo były ubrane w spódnice i rajstopy. Ściągnęli z nich rajstopy i powiesili je im na szyjach. Napluli im w twarz i wyzywali od komunistek. Za mostem, bliżej naszej dzielnicy, panował spokój. Nikt nawet nie przypuszczał, że kilkaset metrów dalej sytuacja wyglądała zgoła inaczej.

Kolację tego wieczoru zjedliśmy około wpół do ósmej, a wkrótce potem zaczęły się walki. Szakila pobiegła szybko do Sabera na szóste piętro, żeby zobaczyć, gdzie się toczą. Chociaż wtedy było to zabronione, Saber miał lornetkę. Był zakochany w Victorii, dziewczynie z bloku naprzeciwko, i jakimś cudem zdobył lornetkę, żeby z balkonu móc oglądać ukochaną. Jego matka, zatrudniona przy sprzątaniu pałacu prezydenckiego, potwierdziła Szakili, że brodacze w turbanach odesłali tego dnia do domu wszystkie kobiety, wyzywając je od komunistek. Czyli ludzie Hekmatjara byli już w pałacu prezydenckim! Z wysokości szóstego piętra Szakila widziała walki od strony Pol-e Mahmud Chan, naprzeciwko pałacu prezydenckiego, niedaleko szpitala i w stronę dzielnicy Szaszdarak, skąd blisko do budynku radia i telewizji. Radio jednak nadawało normalnie, tyle że nie było żadnych wiadomości o toczących się walkach.

Szakila nie mogła się uspokoić i powtarzała:

- No i widzicie, miałam rację!

Przed oknem w naszym pokoju ułożyłyśmy z So-rają stos z poduszek, a ja myślałam o tym, co ostatnio mówiły moje koleżanki w liceum: „Jeśli ekstremiści wejdą do Kabulu, nie będzie się można malować ani nosić zachodnich ubrań. Zobaczycie, zabronią nam nawet jeździć na rowerach!”

Po kilku minutach wybuchy słyhać było już tak blisko, że mieszkańcy piątego i szóstego piętra zeszli schronić się w piwnicy. Byli najbardziej narażeni na strzały. Walki trwały ponad dwa dni, a my nie mieliśmy żadnych oficjalnych informacji. Wreszcie trzeciego dnia radio Kabul podało, że ludzie z partii Hekmat-jara zostali wypędzeni, udaremniiono próbę przejścia miasta. Potem ogłoszono utworzenie Islamskiego Państwa Afganistanu i powołanie nowego rządu wywodzącego się z ruchu oporu, dowodzonego przez komendanta Masuda, aktualnego pana Kabulu. Słyszę jeszcze słowa obwieszczenia: „W najbliższą sobotę wszyscy, a w szczególności kobiety, winni wrócić do pracy. Szkoły dla dziewcząt będą ponownie otwarte, tak samo jak szkoły dla chłopców”. I ja, i moje szkolne koleżanki poczułyśmy wielką ulgę. Hekmatjara bałyśmy się do tego stopnia, że cała nasza dziewczęca „polityka”, a pragnęłyśmy swobody uczenia się, a potem pracy, sprowadzała się do życzenia, żeby ten fanatyk został zepchnięty możliwie najdalej na północ albo do Pakistanu! Miesiąc później telewizja nadała reportaż o zbrodniach popełnionych przez komunistów. Pokazano grupy więźniów masowo mordowanych w Pol-e Czarchi, setki rozrzuconych par butów, zbiorowe groby... Kiedy komuniści sprawowali władzę, tysiące ludzi oskarżonych o antykomunizm aresztowano, stracono i pochowano w zbiorowych grobach. Krążyły pogłoski o afgańskich więźniach politycznych zesłanych na Syberię. Kilka miesięcy później moja koleżanka Anita, uszczęśliwiona i pełna nadziei, przyszła się ze mną pożegnać, bo wyjeżdżała z matką do ZSRR na poszukiwanie ojca. Sprzedały dom, żeby opłacić podróż. Byłam smutna, taka smutna, że wyjeżdżają szukać ducha...

Anita któregoś dnia wróciła z ZSRR. Nie odnalazła ojca.

Sytuacja w Kabulu stała się dziwna: z jednej strony można było swobodnie się poruszać, uczyć się, pracować, a z drugiej ciążyła nam na co dzień wojna narzucona przez Hekmatjara. W 1993 roku walki przybrały na sile i intensywności. Zimą, kiedy nie odbywają się lekcje, bo w Afganistanie jest za zimno, szkoły zamieniono w schroniska dla rodzin przesiedleńców. Bardzo ucierpiały dzielnice na południu, zachodzie i w centrum miasta. Mieszkańcy uciekali, szukając schronienia w północnej części miasta, niektórzy wyruszali do Dżalalabadu albo do Pakistanu. Toczyła się prawdziwa wojna etniczna. Pasztunowie zabijali Hazarów, Ha-zarowie zabijali Tadżyków... Największą odpowiedzialność za te rzezie ponosił nadal Golbuddin Hekmat-jar, a on, co było powszechnie wiadome, był całkowicie podporządkowany tajnym służbom pakistańskim. W tamtym czasie, chcąc zastraszyć mieszkańców, młodzi chłopcy zatrzymali żywność, wstrzykując do warzyw i owoców toksyczne substancje. Po ich zjedzeniu ludzie chorowali, była nawet pewna liczba ofiar śmiertelnych. Kabulczycy byli przerażeni, bali się kupować świeże produkty od wędrownych handlarzy. Po kilku tygodniach jedna z takich band została zatrzymana, pokazano ją w telewizji i powoli ludzie się uspokoiili.

Wszędzie spadały rakiety. W niektóre dni doliczano się trzystu, ale czasami było ich nawet tysiąc. W szpitalach było pełno rannych. Brakowało leków. Lekarze pracowali dzień i noc. W styczniu 1994 roku siły Golbuddina Hekmat-jara, do których dołączyły oddziały dowódców Hazarów, generała Dostuma i Mazanego, rozpoczęły krwawą kampanię. Bombardowania zaczęły się 1 stycznia o godzinie czwartej rano i trwały bez przerwy cały tydzień, który razem z sąsiadami spędziliśmy w piwnicy.

W całym mieście wyłączono wodę i prąd. Potem walczące strony ogłosiły coś w rodzaju zawieszenia broni, co umożliwiło zagranicznym dyplomatom wyjazd ze stolicy. My też skorzystaliśmy z okazji, żeby schronić się w północnej dzielnicy miasta. Po drodze widzieliśmy tysiące ludzi, całe rodziny, które musiały porzucić domy. Bitwa trwała ponad siedem miesięcy, a znaczna część Kabulu została spalona albo zburzona. Spalono uniwersytet, jeden z największych w tym regionie. Splądrowano i spalono bibliotekę uniwersytecką, drugą co do wielkości w Azji. Zburzono i obrabowano muzeum. A mimo to żyliśmy, ja chodziłam do liceum, a moja siostra Szakila wyszła za mąż w dniu, w którym na Kabul spadło trzysta rakiet. Żyjąc w warunkach wojennych, zobojętnieliśmy na tragedię własnego kraju. Byliśmy tak otumanieni, że nie dostrzegaliśmy jeszcze jednego grożącego nam niebezpieczeństwa, a mianowicie tajnego ruchu uczniów szkół religijnych, rodzaju nowej zbrojnej milicji. Pod koniec 1994 roku zawładnęła ona jedną trzecią kraju na południowym wschodzie, wykorzystując walki dowódców wokół Kabulu. Zostało nam niewiele ponad dwa lata tej dziwnej wolności w nieustannie obleganym mieście. Miałam czternaście lat, tyle co Ramika, moja uczennica, która wchodząc do pokoju, zdejmując burkę i grzecznie siada na podłodze, żeby posłuchać, jak czytam wiersz słynnego Mohamada Hafeza Szirazi.

*Świat był dla mnie domem  
I wszędzie szukałem wiedzy  
Lubiłem wędrować pod różnymi niebami  
Zbierając najdrobniejsze okruchy myśli  
Jak różnorakie owoce, którymi  
Karmiła się moja filozofia.*

Ramika zapisze go pod moje dyktando, a potem wyrecytuje.

Jest w takim wieku, że stosuje się do niej potworny dekret ogłoszony przez talibów zaraz po ich wkroczeniu do Kabulu: „Wszystkie dziewczęta muszą być zamężne”. Zdarzyło się niedawno, chyba w zeszłym roku, że w sąsiednim bioku do drzwi pewnego mieszkania zapukała kobieta. Była to jedna z tych stręczycielek, które szukają dla talibów młodych Afganek. Otworzyła jej matka, a była w domu sama z trzema córkami, i do mieszkania wtargnęli talibowie. Zbili matkę do utraty przytomności i porwali jej trzy córki. Stręczycielka powiedziała sąsiadom, że już były poślubione jej trzem synom, a ona ma prawo sprowadzić synowe do domu! Od tamtej pory drzwi otwiera nieznanym zawsze ojciec albo Daud.

Jedna z moich kuzynek padła ofiarą tej diabelskiej pułapki. Upatrzył ją sobie pewien talib; stał się natarczywy i groził całej rodzinie, aż kuzynka była zmuszona poślubić jakiegoś o wiele od niej młod-

166

szego chłopca, choć nie miała najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż.

Zdarzyło się mnóstwo tego rodzaju przypadków, jedne straszne, inne po prostu żałosne, które złamały życie dziewczętom w wieku Ramiki i moim! Dziś wieczorem będę się modlić o niemożliwe, o przywrócenie wolności kobietom, a wyglądając na ulicę, będę czujniej śledzić wzrokiem burkę Ramiki.

Zmieniłam się. Jestem dorosła.

## Polowanie na latawce

Tata martwi się o nas, odkąd działa nasza tajna szkoła. Nie mówi o tym, bo widzi, że dla Sorai, Dauda i dla mnie jest ona pewnego rodzaju lekarstwem. Nawet mama trochę się ożywiła. Czasem, ze smutkiem, tata mawia:

- Ach, kiedy wy chodziliście do szkoły! Gdy prowadziłem was na lekcje angielskiego! To były czasy! Teraz kryjecie się jak złodzieje, a te dzieci i tak nie zaznają nigdy tego samego co wy. Już wasze dzieciństwo nie było łatwe, ale one...

Ojciec sprawia wrażenie, jakby dźwigał na barkach ciężar całego świata.

Odkąd w domu codziennie zjawiają się dzieci, zapanowało u nas pewne ożywienie. Mama się włączyła. Początkowo nie chcieliśmy jej za bardzo przeszkadzać, ale teraz pomaga nam w miarę swoich sił. W południe gotuje dla dzieci i cieszy się, widząc, jak jedzą. Kiedy wychodzą, ma dla nich słowa otuchy:

- Bardzo dobrze! To jest wasz sposób walki.

Dzięki tej zmianie w domu odwiedzają nas sąsiadki, matki naszych uczniów i uczennic. Dawniej przychodziły do mamy tylko wtedy, kiedy miały kłopoty ze zdrowiem. Potem zaczęły się bać i coraz rzadziej wpadały po radę. Potem zabrakło wszystkiego, co jest potrzebne do leczenia, i w ogóle przestały się pokazywać. Teraz mama może znowu przyjmować je bez obawy - te kobiety na pewno nie doniosą o istnieniu szkoły, bo tym samym zadłubiłyby własne dzieci. A one i tak są już zagrożone! Dziewczynki przede wszystkim, ale chłopcy też. Po mieście krąży przerażająca plotka. Podobno zaginęli jacyś mali chłopcy, niektórych odnaleziono okaleczonych lub nieżywych. Ludzie mówią, że talibowie posłużyli się nimi do handlu narządami. „Podobno”... Dużo jest takich „podobno” w Kabulu. Gdybyśmy mieli chociaż jedną niezależną gazetę, jak w czasach, kiedy pracowała Szakila. Przeprowadziłaby dziennikarskie dochodzenie... Ale to marzenia: miasto jest zamurowane, jest jak cytadela milczenia, gdzie krążą tylko szept i niesprawdzone informacje. Zanim nastali talibowie, odbyłam staż w redakcji Szakili. Miałam trzynaście lat, gdy postanowiliśmy z kolegami wydawać naszą własną gazetę, opracowywaną przez i dla młodzieży. Nie było wtedy żadnej prasy młodzieżowej i my chcieliśmy wypełnić tę lukę. Gazetę składaliśmy własnoręcznie w domu razem z Faridą, Marjam i Saberem, a pomagała nam moja starsza siostra. Wychodziła raz na kwartał pod tytułem Fager, co znaczy „świt”. Pisana ręcznie w jednym jedynym egzemplarzu krążyła od domu do domu, obiegała całą szkołę, przyjaciół i rodziny przyjaciół. Wracała do mnie po kilku miesiącach, często postrzępiona, niekiedy brakowało fotosów gwiazd filmowych...

Do ostatniej strony przyklejaliśmy kopertę, do której czytelnicy mogli wkładać swoje propozycje, dzięki czemu następny numer mogliśmy zaczynać od tematów szczególnie ich interesujących.

Przepisywaliśmy z czasopism irańskich artykuły dotyczące problemów kobiet, zamieszczaliśmy informacje o wydziałach uniwersyteckich i kierunkach kształcenia zawodowego. Lżejsze działy były poświęcone modzie, makijażowi, muzyce. Wycinałam zdjęcia aktorek i modelek. Pisaliśmy o nowych książkach, płytach kompaktowych. Robiłam fotokopie pocztówek ze zdjęciami gwiazd filmu indyjskiego i amerykańskiego, przytaczałam anegdoty z ich życia. A jeśli chodzi o poważniejsze tematy, siostry pomagały mi zapisać dział polityczny i publicystyczny. Zwłaszcza Szakila.

Kiedy wkroczyli talibowie, pracowałam nad ostatnim numerem roku. Nie mogłam go skończyć, nie miałam już do tego serca. Wzięli to na siebie Farida i Daud. Gest brata miał swoje znaczenie, miał sprawić, żebym nie traciła wiary. Chciał, żebym kontynuowała wydawanie gazety, ale ja naprawdę straciłam ochotę.

Zrezygnowałam, zresztą pozostali też. Skąd brać materiał, skoro prasa jest cenzurowana? Zostaliśmy całkowicie odcięci od świata. Nie dysponujemy żadnymi informacjami z wyjątkiem z rzadka przychodzących do Dauda listów od kolegów, którzy wyjechali do Niemiec, Londynu albo do Holandii, skąpych wiadomości z Rosji od Wahida i słuchanego wieczorem potajemnie radia. To wszystko. Żyjemy jakby w jakiejś abstrakcyjnej próżni. Daud twierdzi, że dla świata Kabul przestał istnieć. Jego koledzy myślą, że w Kabulu nie ma już Afgańczyków, że znajdują się tu jedynie Pakistańczycy.

Ilekoć rozmawiamy o tym, co mogą myśleć mieszkańcy innych krajów, Daud jest nastawiony najbardziej pesymistycznie.

- Myślisz, że ich to obchodzi? Nie wydaje mi się. Nie wiedzą nawet, gdzie leży Afganistan. Jestem przekonany, że nie wierzą, iż to wszystko tu < się dzieje. To nie ich sprawa. Nawet Afgańczycy mieszkający za granicą mają to w nosie! Dwa razy trafiła nam się gratka i za pośrednictwem kolegi Dauda pracującego w Air Ariana dostaliśmy pisma z Emiratów Arabskich.

Linie lotnicze działają, ale już bez kobiet i obsługują tylko loty do Islamabadu, Dubaju i Dżuddy w Arabii Saudyjskiej. Dwa pisma na trzy lata to dosyć mizerne źródło informacji! Z letargu budzi nas Farida, ze swoim darem stawiania pytań, na które ma gotowe odpowiedzi:

- A gdyby tak wznowić wydawanie gazety? Nie masz ochoty? Bo ja tak! Wystarczy zacząć! Proponuje, że przejdzie się po mieście i jak reporter, tyle że niewidzialny, bo w burce, zbierze informacje do nowego numeru gazety. Pomoże nam Daud i zaopatrzy nas w artykuły piśmienne, a ponieważ ma bardzo ładny charakter pisma, zajmie się też kaligrafią.

Szkoda, że nie ma z nami Szakili. Od dnia jej ślubu wszyscy w domu odczuwamy brak jej autorytetu i uśmiechu. To ona pilnowała naszej nauki, a mnie i Soraję otaczała troskliwą opieką. Uwielbiała muzykę i film i to dzięki niej tata zabierał nas do kina. Szakila świetnie się uczyła, była ciekawa wszystkiego. Kiedy miała jedenaście lat, była najlepsza w klasie z rosyjskiego, czym zasłużyła sobie na propozycję pobytu w ZSRR i na gromy Wahida, który nie chciał jej puścić. Ale ona postawiła na swoim.

Siostra zaczynała w niezależnym wydawnictwie jeszcze za studenckich czasów. Dzisiaj wspominam ten pełen entuzjazmu okres, kiedy udało mi się odbyć staż w jej gazecie. Miałam trzynaście lat, chodziłam do redakcji razem z nią, mimo deszczu pocisków zapowiadających początek burzenia Kabulu. W 1994 roku zaczynaliśmy dopiero orientować się w złożoności waśni między różnymi odłami ruchu oporu.

Przypominam sobie, na przykład, nieudany zamach stanu 1 stycznia, kiedy Uzbegy należący do milicji generała Dostuma i ultrafundamentalści Hekmatjara próbowali obalić prezydenta Rabbaniego, Tadżyka, wspieranego przez oddziały komendanta Ahmada Szaha Masuda. Dziennikarze nazwali ten epizod „piątą bitwą o Kabul”. Milion ludzi na drogach, uciekających na prowincję... Próba zamachu stanu nie powiodła się, w czerwcu Masud zdołał wyprzeć fundamentalistów ze stolicy, ale Szakila mówiła, że nigdy nie zaznamy pokoju.

- Silna władza wywodząca się z mocnego sojuszu modżahedinów jest nie na rękę Pakistanowi. Woli, żebyśmy byli podzieleni, rozdarci. Dopóki z powodu wojen plemiennych sytuacja w naszym kraju jest niestabilna, dopóty Pakistan może spokojnie prowadzić swoją agresywną politykę w stosunku do Indii i korzystać ze wsparcia Stanów Zjednoczonych. Polityka, jaką Amerykanie prowadzą w Azji, jest straszliwym błędem. Któregoś dnia, kiedy przyszliśmy rano do redakcji, czekały na nas smutne wiadomości. Mirwajs Dżalil, afgański dziennikarz pracujący dla BBC, został zamordowany przez Golbuddina Hekmatjara. Po południu poszliśmy do szpitala zobaczyć, jak wygląda. Na ciele nieszczęsnika widać było ślady zaciekleści jego oprawców. Towarzyszący mu dziennikarz zagraniczny wyjawiał powód tego zabójstwa: Dżalil filmował walczących w szeregach Hekmatjara pakistańskich i arabskich bojowników. Chcieli wywołać strach i zniszczyć dowody zaangażowania obcych najemników po stronie afgańskich ekstremistów.

Szakila przekazywała nam co wieczór zasłyszane w pracy albo na wydziale opowieści, które spisywała w zeszytach. Słuchałam jej z wielkim zainteresowaniem, a niektóre fakty wykorzystywałam w mojej gazecie. Pamiętam, na przykład, doskonale „przypadek” pani Zarminy, tak znamienny dla szatańskich meandrów komunistycznej administracji. Pani Zarmina była sprzątaczką w Zarządzie Transportu Miejskiego w Kabulu, Rijasat-e Melli Bus. Była to poczciwa kobieta, analfabетка, a zapisała się do partii komunistycznej w miejscu pracy, bo prawdopodobnie było to konieczne, żeby móc sprzątać w urzędzie. Chcąc wstąpić do partii, musiała złożyć przysięgę, że nigdy nie skłamie swoim przełożonym ani nie zdradzi partii. Otóż któregoś dnia, kiedy sprzątała w jakimś biurze, niechcący podsłuchiwała rozmowę dyrektora wydziału, jego zastępcy i kilku innych osób na kierowniczych stanowiskach. Zrozumiała, że rozmawiają o odsprzedaży części zamiennych, co było absolutnie nielegalne. Dyrektor polecił swojemu zastępcy, żeby należące do państwa autobusy psuły się częściej i były uznawane za niezdatne do użytku, co kwalifikuje je na złom.

- Sprzedamy silniki i części zamienne. Pieniądze zostaną dla nas.

Pani Zarmina przysięgała, że nigdy nie okłamie partii. Dlatego też poinformowała o tym, co usłyszała, służby administracyjne wydziału transportu. Podczas tego przesłuchania byli obecni Farid Mazdak, członek biura politycznego i zastępca sekretarza sprawującej wtedy władzę partii Watan. Nieszczęsna pani Zarmina nie wiedziała, że miała do czynienia ze zorganizowaną mafią. Farid Mazdak przyznał jej medal za zasługi i podziękował. Następnego dnia, kiedy pani Zarmina nie wróciła po pracy do domu, jej zaniepokojony mąż zjawił się w Rijasat-e Melli Bus. Nikt nie umiał mu powiedzieć, gdzie jest jego żona. Upłynął tydzień i mąż razem z dziećmi znowu przyszedł do urzędu upomnieć się o żonę. Był natarczywy, bo wiedział o całej historii i podejrzewał, że żona jest przetrzymywana w budynku. Rzeczywiście, więził ją od tygodnia w swoich pomieszczeniach sam dyrektor... Wezwał męża do swojego gabinetu, zamknął drzwi na klucz i zmusił go, żeby przyglądał się, jak gwałci jego żonę. Po czym oświadczył biedakowi, że jak mu się nie podoba, może się rozwieść, i próbował zmusić go do; podpisania wniosku o rozwód.

Całkiem zdezorientowany, mężczyzna nie wiedział, co ma robić, wahał się. Wtedy dyrektor kazał ogolić pani Zarminie głowę na oczach dzieci... Mąż nadal bił się z myślami. Doprowadzony do wściekłości takim brakiem\* posłuszeństwa dyrektor kazał wrzucić dzieci do rzeki Kabul, przepływającej tuż obok siedziby Zarządu Transportu Miejskiego. Pani Zarminie udało się wyrwać, skoczyła do rzeki i uratowała syna. Niestety, prąd porwał córkę. Oszałała z bólu biedna kobieta wróciła do domu, ale mąż nie chciał jej wypuścić. Ona jednak nie poddała się, chciała przeprowadzić sprawę do końca. Poszła wobec tego złożyć skargę do Ministerstwa Transportu. Ale generał Chalil, sam zamieszany w ten pokątny handel, rozkazał swoim strażom dać jej nauczkę i ją wyrzucił.

Tragedia pani Zarminy trwała ponad dwa lata. Wszyscy brali ją za wariatkę, nikt nie wierzył jej opowieści. Nawet kiedy składała zażalenie do Fazela Hagh Chaleghjara, niekomunistycznego premiera w rządzie doktora Nadzibullaha, ten nie chciał jej przyjąć. Szakila opisała tę historię w swojej gazecie, na szczęście niezależnej, mimo pogroźek partii Watan. Jej artykuł pomógł wreszcie pani Zarminie zatriumfować nad nieszczęściem i niesprawiedliwością. Kiedy w kwietniu 1992 roku ruch oporu zdobył stolicę, biedna kobieta poszła szukać sprawiedliwości u nowych panów Kabulu. Zamieszani w sprawę członkowie mafii zostali wreszcie zatrzymani i osadzeni w więzieniu. Jednak kiedy weszli talibowie, pani Zarmina straciła prawo do pracy, musiała uciekać do Pakistanu i, według ostatnich wiadomości, jakie zdobyła Szakila, wegetuje z synem w obozie dla uchodźców w Naser Bagh, kilka kilometrów od Peszawaru.

Relacje o gwałtach ukazywały się wtedy często w gazetach i jest ich nadal dużo pod rządami talibów, ale już nie w prasie. Za komunistów pewna dziennikarka z tygodnika Sabawan opublikowała artykuł na ten temat, zmieniając przez ostrożność nazwiska, bo w sprawę byli zamieszani wpływowi członkowie partii. Dziewczyna o imieniu Parwin pracowała w Ministerstwie Edukacji. Kilku kolegów z ministerstwa zaprosiło ją na spotkanie towarzyskie. Na miejscu zorientowała się, że jest jedyną kobietą. Było już za późno, żeby mogła wyjść. Upili ją i zgwałcili. Nawet szofer uczestniczył w gwałcie. Do szpitala, nieprzytomną, zawiózł ją dozorca domu. Dziennikarka była tego dnia w szpitalu przez przypadek, a Parwin przed śmiercią zdążyła wszystko jej opowiedzieć. Nigdy nie zapomnę jeszcze jednej historii. W redakcji opowiadano, że na oddziale położniczym szpitala Malalaj w Kabulu urodził się potworek i żył tylko osiem godzin. Matka pochodziła z regionu Salang, na północ od miasta. Twarz noworodka budziła grozę: miał jedno oko pośrodku czoła, jedno ucho niemal na czubku głowy, a usta na lewym policzku. Nie miał rąk ani nóg. Niektórzy lekarze twierdzili, że to skutek stresu wywołanego wojną, na jaki matka narażona była podczas ciąży. Po przeprowadzeniu badań laboratoryjnych uznali ostatecznie, że matka i dziecko byli narażeni na działanie substancji chemicznych przenoszonych przez pociski Scud. Wojska radzieckie użyły ich po raz pierwszy w dolinie Salang. To wszystko działo się wtedy, kiedy mimo wojny domowej nie byliśmy skazani na jedyne źródło informacji, gdy działała telewizja, wychodziły gazety, kiedy w miarę normalne życie było jeszcze możliwe. Ostatnio najważniejsze informacje radia Szariat dotyczą znowu i jak zwykle kobiet: zakaz odzywania się na ulicy, bo dźwięk ich głosu mógłby „prowokować” handlarzy na bazarze. Jedyne, co nam pozostało, to „radio ulica” - wiadomości przekazywane szeptem przez tych, którzy poruszają się swobodnie, czyli mężczyzn. Po Kabulu krąży znowu fala pogłosek o saudyjskim przyjacielu talibów, panu ben Ladenie, i zaślubinach - data i miejsce nie jest znane - mułły Omara, dowódcy talibów, z jedną z jego licznych córek. Ludzie opowiadają, że wesele było wystawne i gorszące. Zasady talibów najwyraźniej nie obowiązują ich samych. Pewnego dnia odwiedziła nas moja dawna koleżanka szkolna Hafeza z propozycją, żeby pożyczyć od niej książki po pięćset afghani za tom. Jej matka piecze chleb i sprzedaje go za marne pieniądze, jak wiele innych ubogich kobiet. Tak nam jej było żal, że Daud obiecał wypożyczyć od niej co tydzień jedną książkę, nawet jeśli nie będziemy ich czytać.

W przeciwieństwie do naszego starszego brata Daud jest wrażliwy i milczący. Mówi niewiele, ale zawsze jest gotów pośpieszyć z pomocą. Ożenił się w lipcu 1998 roku. W normalnych czasach ślub to prawdziwe święto. Po ślubie Dauda pozostało nam mgliste i gorzkie wspomnienie. Mam poczucie, jakby nic się nie stało, jakby nie był naprawdę żonaty. A przecież Marjam, jego żona, mieszka u nas zgodnie z obyczajem. Daud bardzo chciał się ożenić. O Marjam, przyjaciółce żony, dziewczynie z dobrej rodziny, opowiedział mu kiedyś jeden z jego przyjaciół, bo uważał, że spodobałaby mu się. Zaprosił do siebie Dauda, a ponieważ Marjam mieszkała po sąsiedzku, brat zobaczył ją w ogrodzie rodzinnego domu. Nie mógł się z nią spotkać tak, jak młodzi ludzie spotykali się przed talibami, co oczywiście go irytowało. Tak czy inaczej miał już dwadzieścia dziewięć lat i stanowczo chciał się ożenić.

Rodzice poprosili o jej rękę, jak każe obyczaj. W Afganistanie to rodzice organizują zaślubiny. Moja babcia miała zwyczaj mówić, że miłość przychodzi po nik-ha, czyli ceremonii religijnej. Ze względu na sytuację panującą w Kabulu zaręczyny się nie odbyły i przyszli małżonkowie nie mogli się widywać. Nie będzie zabawy ani muzyki, ani prezentów i pięknej sukni.



Mama często nam opowiadała, że na swoim ślubie była ubrana we wspaniałą zieloną suknię zaprojektowaną przez oficjalnego krawca dworu królewskiego, pana Azara. Potem, na wieczór, przebrała się w długą białą suknię z Paryża, pożyczoną od żony szefa służb wywiadowczych króla. Zielona suknia, w kolorze nadziei i islamu, jest tradycyjną szatą zakładaną na uroczystość religijną. Wieczorem obowiązuje bardziej zachodni styl, a biały kolor przyszedł do nas z Europy. Podczas przysięgi ślubnej oblubieńcy wymieniają obrączki, a starsza kobieta należąca do rodziny wkłada im w zagłębienie dłoni hennę. Potem młoda para przegląda się w specjalnym lustrze, które później zabiera do sypialni. Nowożeńcy odczytują werset z Koranu i wypijają słodki napój, żeby w ich związku nie zabrakło słodyczy przez całe życie. Na zakończenie uroczystości puszcza się krew z barana i jeśli krew zaplami buty panny młodej, oznacza to, że będzie zawsze wierna mężowi.

Daud i Marjam zostali tego wszystkiego pozbawieni, toteż uznaliśmy, że trzeba jednak spróbować wyprawić im wesele. Ale jak to zrobić? Nie można iść do restauracji, jak z okazji ślubu Szakili, kiedy mieliśmy setkę gości. Żadna restauracja nie zgodziłaby się przyjąć jednocześnie mężczyzn i kobiet. A nasze mieszkanie jest za małe, zbyt wystawione na ciekawość sąsiadów i talibów. Zupełnie nie wiedzieliśmy, jak uczcić ten związek, chyba że w piwnicy, dokąd schodziliśmy w najgorszych czasach bombardowań.

Rodzice Marjam mieszkali w domu z ogrodem w innej dzielnicy Kabulu, ich sąsiedzi byli zaprzyjaźnieni z kolegą Dauda, podjęliśmy więc ryzyko zorganizowania uroczystości w domu narzeczonej.

Soraja i ja od dawna już nie wychodziłyśmy z mieszkania. Od dawna też nie byłyśmy na żadnym ślubie.

Mimo to nie odczuwałyśmy podniecenia, nie czyniłyśmy przygotowań, nie było mowy o malowaniu się ani o szukaniu materiału na odświętne sukienki. Grono zaproszonych gości ograniczyło się do absolutnego minimum: kilku przyjaciół Dauda i obie rodziny. Brat był rozżalony, bo nie mógł włożyć eleganckiego garnituru i krawata - to było zabronione. Koledzy żartowali:

- To nic... Przecież nie będzie się robić zdjęć, bo to zakazane. Nikt się nie dowie, że nie miałeś garnituru...

Widząc smutną minę Dauda, jeden z nich nie wytrzymał:

. - Nie, to niemożliwe, nie mogę pozwolić, żeby mój kolega nie miał chociaż jednej kasety wideo z własnego ślubu, musi mieć jakąś pamiątkę... Zajmę się tym. I przyszedł z kamerą wideo. Najpierw wszystko przebiegało zgodnie z zasadą talibów, zakazującą spotkań w mieszanym towarzystwie, nawet z okazji ślubu. Kobiety zebrały się w jednym pokoju, a mężczyźni w drugim. Na czas ceremonii trzeba było jednak połączyć nowożeńców, żeby mogli założyć

sobie obrączki. Rodziny zgromadziły się w ogrodzie. Daud i Marjam stali obok siebie. To była najbardziej symboliczna chwila, kolega Dauda wyjął więc kamerę, inny włożył do magnetofonu kasetę z muzyką. Nagle ktoś zawołał:

- Talibowie! Idą!

Wybuchła panika. Kolega rzuca się na kasety, a te znikają błyskawicznie razem z magnetofonem, nikt nie zdążył się nawet zorientować, jak to zrobił. Ale talibowie słyszeli! Wściekli, zaczęli wszystko przeszukiwać, bezskutecznie. Natomiast operator-amator nie zdążył pozbyć się kamery, przyłapali go na gorącym uczynku. Zemsta obróciła się przeciwko niemu, zbili nieszczęśnika. Wyrwali mu aparat, rzucili go na ziemię, podeptali ze złością, jak gdyby był wcieleniem diabła, i jedyna pamiątka ze ślubu Dauda została zniszczona. Ku zadowoleniu talibów nieliczni goście rozpięchli się, a my wróciliśmy samochodem do domu, zabierając ze sobą pannę młodą, jak złodzieje, gdy tymczasem jej wyjazd jest zawsze prawdziwą ceremonią. Kompletna klęska. Kolega brata nie został, na szczęście, ciężko ranny, tyle że w całej tej historii stracił kamerę. Wszyscy byli zszokowani, tata wściekły, Soraja we łzach, a Daud rozżalony. Cóż to za wstyd sprowadzić żonę na łono rodziny w podobnych okolicznościach! Zazwyczaj ślub syna świętuje się w sposób o wiele bardziej wystawny. Przyjęcie do rodziny nowego członka jest chwilą radości i szczęścia.

Kiedy z domu odchodzi dziewczyna, wtedy szczęście spotyka rodzinę jej małżonka. Biedny Daud, kilku talibów upokorzyło go, demonstrując swoją władzę! Często zastanawiam się, co chcą osiągnąć, zakazując uroczystości i zabaw, pozbawiając rodzinnych pamiątek, a odpowiedź jest za każdym razem przerażająco prosta: chcą nas pozbawić życia. Dla własnej korzyści chcą naszej zagłady, powolnej, ale pewnej. Na niebie nad Kabulem nie ma już latawców. Kiedyś całymi dziesiątkami krążyły nad miastem. Chłopcy wspinali się na dachy, zadzierali głowy, ryzykując upadek, żeby złapać wiatr. I często spadali. Co roku do szpitala trafiali mali ranni, ofiary latawców. Ale ich różnokolorowe papierowe ptaki były symbolem naszego nieba. Dzieci, które nie miały na nie pieniędzy, robiły sobie szelak, groźną broń składającą się z kamienia przymocowanego do sznurka. Wypatrywały latawców i wyrzucały pocisk, celując w tor lotu obiektu ich pożądania.

Jeśli trafiały, oba sznurki płątały się i małym złodziejom pozostawało już tylko ściągnąć łup na ziemię. Polowanie na latawca kończyło się często bójką, tym bardziej że niektórzy „myśliwi” posługiwali się ulepszonym szelakiem z dwoma kamieniami, co czyniło polowanie jeszcze bardziej niebezpiecznym. Szelak nie był używany wyłącznie przez drobnych złodziejasków, posługiwali się nim też dla zabawy tacy chłopcy jak Daud, którzy nie umieli puszczać latawców. Któregoś wieczoru, chcąc mnie rozśmieszyć, So-raja opowiada mi o latawcu, który spadł Daudowi na głowę, kiedy brat był mały.

- To było jeszcze w starym domu, przed przeprowadzką tutaj, ciebie jeszcze nie było na świecie. Podczas gdy Daud bawił się w ogrodzie szelakiem, spadł mu na głowę i zranił go szelak sąsiada, który chybił celu. Krew leciała mu z ust, ale bał się przyjść do domu, żeby nie dostać bury. Jego kolega Abdullah zaprowadził go do swojej mamy, pielęgniarki mieszkającej na pierwszym piętrze. Założyła mu szew i przyprowadziła do domu. Za godzinę Abdullah spadł z dachu ze swoim latawcem. Krwawiło mu kolano i jego matka przyszła z płaczem do naszej mamy, mówiąc, że jest ranny. Tym razem szyla i opatrywała go nasza mama. Daud był spokojny, prawie nigdy się nie bił, pilnie się uczył, miał bardzo dobre stopnie, przede wszystkim z matematyki. Bardzo lubił kino. Miał ładną kolekcję miniaturowych samochodzików, co miesiąc kupował sobie nowy. Mama często nam opowiada o dniu obrzezania jej synów, co zrobiono jednocześnie. To była wielka uroczystość, zaproszono ponad setkę gości. Mama zamówiła dla chłopców u krawca białe garnitury, zabito wielkiego barana, a podwórko domu zostało udekorowane girlandami z żaróweczek. Obrzezanie wykonuje najczęściej cyrulik albo lekarz; mama wybrała lekarza. Ojciec dokładnie wytłumaczył synom, na czym ono polega. W przypadku starszego brata operacja przebiegła bez problemu. Daud zaś bardzo się bał i kiedy przyszła jego kolej, lekarz powiedział, jak to się zwykle robi w takich chwilach:

- Popatrz na niebo i na ptaki, synku... Świadom sytuacji i rozdrażniony ze strachu, Daud odparł:

- Szybko! Tnij! Wiem, co będziesz robić. Wahid i Daud czuli się skrępowani, kiedy mama i ciotki opowiadały tę historię. Narzekali, że dla nich to wcale nie było zabawne, bo oni cierpieli, a wszyscy pozostali bawili się w najlepsze.

Wahid zaciągnął się do wojska, a Daud chciał tego za wszelką cenę uniknąć. Skończył liceum Omara Szahida. Zimą 1987 roku Daud, a miał wtedy osiemnaście lat i zdał właśnie końcowy egzamin w liceum, wyszedł rano, żeby sprawdzić wyniki. Kiedy zrobiło się ciemno, a on nie wracał, rodzina zaczęła się niepokoić. Tata obszedł sąsiadów i wypytywał kolegów Dauda, czy go nie widzieli, a Sza-kila zadzwoniła do Wahida do koszar. Brat kazał nam nie ruszać się z domu i powiedział, że się tym zajmie. Około północy przed domem zatrzymała się wojskowa ciężarówka. Wysiadł z niej Wahid w mundurze wojskowym i Daud trzęsący się ze strachu jak osika. Nie było mnie przy /m, bo byłam za mała, ale siostry opowiadały ii to tyle razy, że mam wrażenie, jakbym wszystko sama widziała i słyszała. Wahid nagadał Daudci i rozkazał mu nie wychodzić z domu, a sam /rócił do koszar. Wtedy Daud opowiedział, co się,wydarzyło.

- Kazali nam cierpliwie czekać przed szkołą na wyniki. Po dwóch godzinach wezwali nas na szkolny dziedziniec. Nags budynki otoczyli żołnierze, a na dziedziniec weszli oficerowie. Jedną salę zamienili w biuro koiisji poborowej i ogłosili, że będą wzywać uczniów w kolejności alfabetycznej i kierować ich doróżnych jednostek wojskowych. Ja z całą moją łasą dostałem przydział do Gardez, na południu. Ci, którzy mieli jakieś chody, zaczęli wydzwanić i w niecałą godzinę poszli do domu. Ale ja icilku kolegów nie wiedzieliśmy, co robić, do kgo się zwrócić. Wszyscy baliśmy się, że pošą ns na front z karabinem w ręku, jak Wahida. W zasadzie nie powinni nas wcielać do wojska, bo re skończyliśmy nauki. Jeśli ktoś chce studiować, zostaje zwolniony. Wtedy zobaczyłem Wahia w mundurze oficera gwardii prezydenckiej, włsyście sześciu żołnierzy. Był bardzo rozgniewany. Wyprężeni na baczność żołnierze zaszalutował a on kazał im natychmiast przyprowadzić dyrelora liceum i oznajmił mu: „To bezprawie, nie mcie prawa przetrzymywać tu uczniów bez wiedzy rodziców”. Przewodniczący komisji poborowej odparł, że on tylko wykonuje instrukcje. Wahid połączył się przez radio z ich dowództwem i wyłuszczył sprawę dyżurnemu w garnizonie, a ten odpowiedział, że rzeczywiście uczniów należy zwolnić. Wszyscy koledzy zwiiali, a mnie Wahid przywiózł do domu.

Wydarzyło się to wtedy, kiedy Rosjanie urządzali oblławę na młodych chłopców i siłą wcielali ich do armii afgańskiej. Niektórzy, jak mój starszy brat, zgłaszali się na ochotnika, bo i tak trzeba było odbyć służbę wojskową. Daud miał dopiero osiemnaście lat, a Wahid doskonale wiedział, że on nienawidzi wojska i wojny i że gdyby musiał walczyć z afgan-skim ruchem oporu pod dowództwem” Rosjan, nie wytrzymałby tego. Przez trzy miesiące Daud żył w ukryciu w domu, czekając na egzamin wstępny na uniwersytet. W tym czasie Szakila musiała robić za niego zakupy i codziennie chodziła ze mną do wypożyczalni kaset wideo, bo trzeba go było czymś zająć, a przede wszystkim w miarę możliwości utrzymać go w domu.

Nie było to łatwe, bo miotał się po mieszkaniu jak niedźwiedź w klatce. Tylko w naszym domu sześciu chłopców znalazło się w takiej samej sytuacji. Wieczorem spotykali się na korytarzu, żeby porozmawiać. Pewnego wieczoru bawiłam się z siostrami przed domem, kiedy nadbiegł Malek Rajhan, nasz sąsiad, i kazał mi ostrzec Dauda, że po okolicy krąży wojskowy patrol. Popędziłam uprzedzić brata i jego kolegów, a oni szybko się rozeszli. W mieszkaniach rodzice urządzili im kryjówki. Tego dnia mama zezłościła się na Dauda. Absolutny zakaz wychodzenia z mieszkania! Nie poszedł nawet na dwa wesela, jakie w tym czasie odbyły się w naszej bliskiej rodzinie. W modnych wówczas popularnych i ludowych piosenkach również była mowa o służbie wojskowej i armii, a na ślubach kobiety śpiewały:

Wieje wiatr i porywa moją chustę,  
Patrol zabrał mojego lubego,  
Daj Boże, żeby zniknęły te patrole,  
Co zabrały mego wiernego lubego!

Różne opowieści krążyły na ten temat. Jeden z sąsiadów opowiadał nam, że gdy w dzielnicy Parwan żołnierze przetrząsali wszystkie mieszkania w poszukiwaniu chłopców, weszli do ludzi, którzy im powiedzieli, że syn właśnie zmarł. To był wybieg, chłopiec leżał na łóżku i udawał nieżywego. Chwilę potem rodzice stwierdzili, że rzeczywiście nie żyje...

W Kabulu opowiadano o setkach takich zdarzeń. Każda rodzina miała w zanadrzu jakąś historię. W tej samej rodzinie niektórzy popierali ruch oporu, a inni byli raczej po stronie rządu. Rodziny były rozdarte.

Być Afgańczykiem i walczyć w wojsku afgańskim dowodzonym przez Rosjan z innymi Afgańczykami? Być Afgańczykiem proradzieckim czy antyradzieckim? Zachować neutralność? Nadchodziły trudne momenty, kiedy synowie osiąkali wiek poborowy, | stale zresztą zmieniany w zależności od kaprysów i rządu i potrzeb wojska.

Kiedyś na urodzinach, zgodnie z tradycją, za- I często śpiewać cztero wiersze. Wśród gości znalazły się osoby pochodzące z Kohestanu, równiny leżącej około pięćdziesięciu kilometrów na północ od stolicy, i inne, zamieszkałe w Kabulu. Na zmianę rozlegały się głosy członków tej samej rodziny, to zwolenników komunistycznego rządu, ' to przybyłych z Kohestanu, popierających opozycję.

Prokomuniści śpiewali:

Ach! Ten dzielny i dumny młodzieniec  
Wyprostowany na czołgu jedzie na front,  
Wyprostowany na czołgu jedzie na front  
w Pandzszirze! A oczy kobiet pełne są łez.

A zwolennicy ruchu oporu:

Chodziłam wśród kwiatów i woła mnie  
modzahedin Dzięki za uprzejmość, częstuje mnie herbatą,  
Dzięki mu, nie wypiję mu herbaty,  
Jakież jest wspaniałe z bronią na ramieniu!

Pod koniec zimy prasa podała, że młodzież może zapisywać się na uniwersytet i zdawać egzaminy wstępne. Patrole wojskowe miały tego dnia robić łapanki na mieście i legitymować studentów. Punkty kontroli były coraz bardziej liczne i wzmocnione.

Wahid zawiózł Dauda i kilku innych chłopców z dzielnicy własnym dżipem, bo patrole nie zatrzymywały samochodów wojskowych. Uniknięcie kontroli jednak nie wystarczało. Na egzaminach prace chłopców były oceniane bardziej surowo niż prace dziewcząt. Rząd robił wszystko, żeby poprzez zaostrzoną selekcję jak najwięcej młodych ludzi skierować do wojska.

Czekaliśmy z lękiem cały dzień. Wreszcie pod wieczór Daud wrócił z zadowoloną miną. Miał powody do optymizmu, bo w liceum był drugim uczniem w klasie. Jako kierunek studiów wybrał ekonomię i zdał egzamin wstępny. W tamtym okresie, kiedy ktoś był zapisany na uniwersytet, miał prawo do legitymacji studenckiej i do urzędowego zwolnienia z wojska. Zaświadczenie było ważne przez trzy miesiące. Po każdym egzaminie kwartalnym było przedłużane albo unieważniane, w zależności od wyniku.

Za pierwszy kwartał Daud dostał najlepszą ocenę w grupie. Jak każdy dobry student, mógł otrzymać stypendium umożliwiające dalszą naukę w ZSRR.

Nie miał najmniejszej ochoty na wyjazd, ale ojciec wołał, żeby opuścił Kabul i w ten sposób uniknął wojska. Nie należał jednak do partii, wobec tego nie przyznano mu stypendium. Daud pokłócił się z sekretarzem Związku Młodzieży Komunistycznej, odpowiedzialnym za przydział stypendiów. Usłyszał: „Dla ciebie nie ma!”. Ostatecznie ojciec wybrał się do sekretarza. Zrobił tyle szumu wokół tego aktu niesprawiedliwości, że Daud w końcu dostał stypendium ważne tylko w Republice Tadżykistanu, w Duszanbe, a nie w Moskwie. Daud je przyjął i wyjechał studiować ekonomię w Duszanbe. Tak było dla niego lepiej, bo przepisy w sprawie poboru do obowiązkowej służby wojskowej zmieniły się bez uprzedzenia. Z dnia na dzień na studentów nałożono obowiązek odbycia sześciomiesięcznej służby bez względu na to, czy byli synami ministrów, czy zwykłymi obywatelami. Rząd postanowił, że w zależności od potrzeb każdy mężczyzna musi odbyć dwa lata służby wojskowej. Na szczęście Daud był w Tadżykistanie. Korespondowaliśmy z nim. Od czasu do czasu dzwonił do domu. Po roku przyjechał do Kabulu na wakacje i opowiedział nam o nędzy i ubóstwie, jakie widział w Duszanbe. Tutaj przywódcy opowiadali nam wspaniałości o życiu w Związku Radzieckim, a tymczasem ludzie cierpieli tam najczarniejszą nędzę.

- Poznałem kobietę, która pracuje w państwowym gospodarstwie rolnym za dwa ruble dziennie. Profesorowie stawiają ci dobry stopień za breloczek do kluczy. Za sprzedane w Duszanbe džinsy możesz przeżyć jako student cały rok. Wszyscy afgańscy studenci przywożą džinsy, okulary przeciwsłoneczne, parasole... Wszystko, co kupuje się tutaj czy w Peszawarze, tam kosztuje fortunę. Nawet nożyczki do paznokci! Paczka gumy do żucia!

Daud mówił, że wśród studentów w Tadżykistanie panuje radziecka moda.

- Najbogatsi żenią się z Rosjankami i dają dzieciom rosyjskie imiona, takie jak Natasza, Tieresz-kowa, Walentyna, Aleksy, Iwan... To jest częścią programu sowietyzacji społeczeństwa. Młodych Tadżyków wysyłają do Moskwy, a na ich miejsce przysyłają rodowitych Rosjan.

Tłumaczył nam też, że sowietyzacja Tadżykistanu wywołała wśród Tadżyków poważny problem dotyczący tożsamości narodowej, chociaż uniezależnili się od Moskwy w 1991 roku. Kiedy Daud przyjechał do Kabulu na następne wakacje, w sierpniu 1992 roku, nie było już komunistycznego rządu. Upadł w kwietniu, pod naporem sojuszu modżahedinów. Jednak fundamentalista Hekmatjar czał się nadal i wysyłał na Kabul pociski rakietowe. Dla Dauda był to trudny wakacyjny miesiąc, bo odzwyczał się już od ostrzałów. Nie rozumiał, jak możemy się nie bać, dla niego to było straszne. A my się przyzwyczailiśmy.

Życie toczyło się w pokoju wychodzącym na wschód, gdzie nie ryzykowaliśmy, że znajdziemy się na linii strzałów. Pewnego dnia, około pierwszej, kiedy właśnie skończyliśmy obiad i oglądaliśmy telewizję, popijając herbatę, dwie rakiety upadły tuż przed naszym domem. Nie zamykaliśmy okien, żeby nie popękały szyby, ale u sąsiadów szyby rozprysły się w drobny mak.

Pobiegliśmy się schronić w korytarzu, jedynym miejscu, gdzie nie mogły nas dosięgnąć odłamki szkła. Tym razem rozplakałam się, płakał też Daud. Wybuch spowodował pożar w najbliższym sąsiedztwie i nasze mieszkanie też zaczynało się palić. Wylewaliśmy wiadra wody i jakoś nam się udało ugasić płomienie. Wtedy wrócił Wahid, który wyszedł na ulicę po pierwszych strzałach.

- Nic wam nie jest?

Mama i Daud zaczęli krzyczeć, nie panując nad sobą.

- Gdzieś ty był? Po co wychodzisz w takiej chwili?

- To wojna. Trzeba pomóc sąsiadom, wszyscy mężczyźni wyszli gasić pożar. Są ranni, jeden zabity.

Jednego z naszych sąsiadów, świeżo po ślubie, odłamek trafił w łędźwie. Kiedy wróciliśmy do pokoju, okazało się, że moskitiera jest podziurawiona jak sito. Stacjonujące w dzielnicy oddziały modżahedinów pomogły mieszkańcom w gaszeniu ognia i przewiozły rannych do szpitala. Dwie godziny później wyłączono prąd.

Wysłuchaliśmy wiadomości: w tym dniu spadło ponad sto pięćdziesiąt rakiet, powodując śmierć dwudziestu osób. Było stu pięćdziesięciu rannych. Daud, z uchem przyklejonym do radia, powiedział:

- Chcę wyjechać z Kabulu, chcę skończyć studia.

Zaraz następnego dnia, chociaż trwały walki, poszedł do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, poprosił o wizę, odebrał bilet lotniczy i tydzień później wyleciał do Duszanbe, przez Taszkient. Kiedy wyjeżdżał na wakacje, powiedziano mu, że nowy rząd afgański nienawidzi Związku Radzieckiego i że władze w Kabulu nie pozwolą mu wrócić do Tadżykistanu. Nie był jedynym studentem, który znalazł się w tej sytuacji. Ministerstwo Spraw Zagranicznych jednak nie robiło żadnych trudności, skoro studia zostały z góry opłacone przez stronę radziecką. Daud przebywał w Duszanbe do jesieni 1992 roku. Kiedy wrócił do domu, miał dwadzieścia trzy lata, Kabul był nadal w rękach sił komendanta Masuda, a fundamentaliści Hekmatjara, próbując

odbić miasto za pomocą ostrzałów z rakiet, mieli nam zgotować piekło wojny domowej. Skończyło się dla chłopców wspinanie się na dachy i wypatrywanie z zadartą głową latawców na niebie. I tak jest nadal, bo talibowie zamknęli przed nimi przestrzeń powietrzną nad Kabulem. Któregoś dnia zabronią latać ptakom. Wojna trwa już dwadzieścia lat. Prawie cztery lata żyję w zamknięciu! Czy kiedy w 2000 roku będę obchodzić dwudzieste urodziny, nadal będzie trwała wojna? Koledzy Dauda wspominają w listach, że świat o nas zapomniał, jakbyśmy się zapadli w jakąś dziurę, że talibowie zrobili, co zamierzali, i że coraz więcej Pakistańczyków przyłącza się do nich w obozach, w których odbywają ćwiczenia wojskowe. W BBC powiedzieli, że Amerykanie zbombardowali te obozy w odwecie za zamachy na ich ambasady w Afryce. Amerykanie nic sobie jednak nie robią z tego nieustannie trwającego zamachu na nas, Afgańczyków i Afganki. W BBC podano, że znaczącym źródłem dochodów dla rządu talibskiego jest opium: od każdej dostawy handlarze płacą dwudziestoprocentowy podatek. Kraj znalazł się w rękach zorganizowanych band. Początkowo tata starał się podtrzymać w nas nadzieję: „Za dwa tygodnie - mówił - za trzy miesiące, za pół roku...”. A teraz, za ile lat? Myślę o dorastających wokół nas tysiącach przyszłych talibów. Biedni mali Afgańczycy, biedny kraj, a tak do niego pasowały latawce...

## Kto w Afganistanie ma głos ?

Kiedy przekręcamy gałkę tranzystora i odzywa się radio Szariat, dreszcz przebiega nam po plecach. Można, na przykład, usłyszeć, że skoro pozbawienie wolności jest aktem niesprawiedliwości, to ucięcie ręki złodziejowi jest o wiele bardziej miłosierną karą niż więzienie, bo będzie mógł nadal pracować i wykarmić rodzinę... Jeśli dziecko ukradnie ze straganu bochenek chleba, bo jego matka, wdowa pozbawiona męskiej opieki, nie może pracować i wobec tego jest skazana na żebranie, komu tali-bowie utną rękę? Są złodzieje i złodzieje. Zgodnie z jednym z dekretów talibskich, za złodzieja uznaje się też człowieka, który ośmieli się „wymienić banknoty o niskim nominale na banknoty o wysokim nominale”. Na czym polega przewinienie takiego „złodzieja”? Na tym, że ujmuje kieszeniom ciężaru inflacji? Że ukrywa oszczędności przed innymi złodziejami? Jak mówi „radio ulica”, mułła Omar przemieszcza się podobno zawsze z kuframi pełnymi afgańskich rupii i dolarów. Nie wiadomo, czy to skarb państwa, czy jego osobisty. Państwo talibskie nie jest naszym Afganistanem. Ich islamski emirat nie ma naprawdę nic wspólnego z naszym islamem. W BBC i Głosie Ameryki nie mówi się teraz często o naszym kraju. Daud ma rację, żyjemy jak szczury w norze niedostępnej dla reszty świata. W sierpniu 1999 roku obie stacje informują jednak o ofensywie oddziałów komendanta Masuda, które wyparły talibów na równinę Szomali, na północ od Kabulu. Daud komentuje tę wiadomość w tonie fatalistycznym:

- Dopóki świat nie zrozumie, że talibowie to Pakistan, wojna nigdy się nie skończy. Wszyscy popierają Pakistan. Co może zrobić taki osamotniony modżahedin jak Masud? Wojna domowa nie jest żadnym rozwiązaniem. Nie ma wyjścia z tej sytuacji, chyba że dobrowolne wygnanie.

Myszę o mieszkającym w Moskwie Wahidzie. Zawiadomił nas o swoim ślubie z młodą Rosjanką, Nataszą, 1 kwietnia 2000 roku. Jeszcze jedna uroczystość bez naszego udziału. Po czyjej stronie by się opowiedział, gdyby rodzice nie doradzili mu wyjazdu? Kiedy talibowie wkroczyli do stolicy, część Kabulczyków wzięła ich za zbawców, którzy przywrócą w kraju pokój, położą kres burzeniu miasta przez zwalczające się stronnictwa i zaprowadzą zasady islamu. Czy brat też by w to wierzył? Owszem, na miasto nie spadają już rakiety, ale panuje grobowa cisza. Protalibscy mieszkańcy zapewne poczuli się oszukani już w pierwszych dniach. Dla nich pokój nie musiał oznaczać odebrania im tradycyjnych zwyczajów, a tak się stało. Koniec z bębenkami, ze śpiewami, z tańcami na weselach i latawcami, koniec zabaw z gołębiami pod groźbą ich wybicia, jak stanowi jeszcze jeden dekret!

„Radio ulica” donosi - ale czy to prawda? - że mułła Omar boi się Kabulu i mieszka w Kandaha-rze w domu zbudowanym przez jego teścia ben Ladena. Natomiast radio Szariat podaje, że ben Laden zaferował wsparcie w finansowaniu i zaopatrzeniu kabulskich piekarni, co wcześniej robiła ONZ.

Pod koniec 1999 roku Rada Bezpieczeństwa ONZ nałożyła sankcje na talibów w związku z odmową ekstradycji do Stanów Zjednoczonych ben Ladena oskarżanego o terroryzm. Wtedy ben Laden zagroził: „Zaznaczenie trzęsień ziemi i huraganów zesłanych przez Boga, a to co was spotka, będzie dla was zaskoczeniem”. W 1996 roku, kiedy zdawałam egzamin cząstkowy na dziennikarstwo, ben Laden finansował meczety. Meczety i chleb to dwa filary codziennego życia w Kabulu. W ten sposób ben Laden zdobywa znaczenie w kraju. Zastanawiam się, co jeszcze sfinansuje. Chętnie dołączyłabym ilustrację do artykułu o ben Ladenie w gazetce Fager, ale to niemożliwe, bo po mieście nie krąży żaden jego wizerunek, jest to zabronione. Mamy pewne problemy ze zbieraniem interesujących informacji do gazety. Farida przynosi plotki ze straganów, Daud słucha, co mówi się w sklepikach, ale zbliża się rok 2000, cały świat szykuje się do wielkiego świętowania, a nam brakuje tematów. Dawniej my też świętowaliśmy początek roku, ale talibowie uznali; że to pogański obyczaj! Nawet Święto Wiosny jest zabronione, czyżby kwiaty były poganami? Czy zbierając karty pocztowe z kwiatami, Soraja dopuściła się przestępstwa? Rok 2000 nie przyniósł nic nowego, co nadawałoby się do gazety, poza... Titanikiem! Do numeru Fagera z roku 2000 trafiła nam się nad wyraz pogańska gratka. Daud przyniósł plakat z Leonardem Di Caprio, zdobył nawet pochodzącą z Pakistanu kasetę z filmem. W korycie rzeki Kabul, które susza, jak to się często zdarza, przemieniła w bazar, handlarze sprzedają gadżety z Titanica. Czarny rynek kręci się wokół filmu. Styl Titanic ma ogromne powodzenie, zwłaszcza u fryzjerów. Radio Szariat podało, że dwudziestu ośmiu zatrzymano i skazano za to, że obcinali chłopcom włosy na podobieństwo Leonarda Di Caprio. W piwnicach Kabulu trwa swoista rebelia, tam używa się magnetowidów i telewizorów. Miasto jest bezbronne, kobiety chodzą ze spuszczoneymi głowami, mężczyźni kurczą się pod ciosami różgi, a mimo to ludzie napawają się w ukryciu niesamowitą historią kochanków z Titanica, oplakują śmierć bohatera w falach Atlantyku... Może się to wydawać powierzchowne, bo życie codzienne jest okropne, kraj umiera z głodu, uchodźcy ze wsi przepełniają obozy na pograniczu z Pakistanem i Iranem, żebracy okupują ulice Kandaharu, Kabulu, Heratu, Mazar-e Szarif i Dżalalabadu. Ale o tym talibowie nie mówią, są zbyt zajęci wsadzaniem do więzienia cyrulików, biczowaniem mężczyzn i karaniem kobiet. Dlatego, skoro zgodnie z dekretem ani kobietom, ani mężczyznom nie wolno śmiać się w miejscach publicznych, a dzieciom bawić się, ludzie płaczą nad pogańską historią miłosną.

Leonardo jest taki przystojny! Dziewczęta z mojej dzielnicy potrzebują jego widoku, choćby wpatrywanie się w niego było grzechem. Wklejam do gazety zdjęcie aktora z poczuciem, że - pozbawiona nauki i wiedzy, pozbawiona życia - buntuje się buntem dwudziestolatki. Numer specjalny poświęcony Titanikowi jest wreszcie gotowy. Daud ozdobił tytuł swoim pięknym pismem. Jeszcze nie wiem, że to będzie nasza ostatnia domowa produkcja. Jest 1 stycznia; rok 2001 zaczyna się smutno pod rządami ciężkiego prawa talibów, jedynym powodem do radości jest kolorowe zdjęcie ze ślubu Wahida. Dotarło do nas wreszcie po długiej wędrówce, przechodząc z rąk do rąk kolejnych posłańców. Brat jest w garniturze i krawacie, w kieszonce ma biały kwiat; jego żona, ładnie umalowana, ma na sobie suknię z białej koronki, z dekoltem odsłaniającym ramiona, a na blond włosach uczesanych w kok - delikatny biały welon. Oboje wyglądają pięknie. Na odwrocie Wahid napisał: „Kochana Mamo! To dla Ciebie. Zdjęcie z naszych zaślubin”. Wahid wygląda na szczęśliwego. Tam, gdzie jest, żaden talib nie zniszczył aparatu fotograficznego. Jego żonie nie grozi chłosta za to, że zbyt odsoniła swoją urodę. Są wolni, a my znajdujemy się w więzieniu. Talibowie opanowali prawie cały kraj. Przyszła zima i Afgańczycy uciekają przed zimnem i głodem. Daud mówi, że pakistańscy policjanci żądają pieniędzy od wszystkich Afgańczyków chcących przejść przez granicę, nawet od nędzarzy szukających ratunku przed głodem. Pakistan chce naszej śmierci i jest już bliski celu. Żyjemy w całkowitej izolacji, bo talibowie dawno

już rozkazali zamknąć biuro Misji Narodów Zjednoczonych w Kabulu. Odcinają nas od międzynarodowej opinii, ten koszmar się nie skończy. W BBC mówili o masakrze afgańskich cywili w kilku zajmowanych przez nich miastach.

Głos Ameryki niepokoi się o los posągów Buddy w Bamjan, wspaniałego zabytku archeologicznego, tak słynnego w Afganistanie, że ich wizerunek widnieje na biletach lotniczych towarzystwa Air Aria-na. Daud ogląda je codziennie w przedstawicielstwie, w którym pracuje. Te posągi są od wieków dumą regionu Hazaradzat. Talibowie zniszczyli już dzieła sztuki w muzeum w Kabulu i freski Beh-zada, słynnego malarza perskiego z XV wieku, w Heracie, mieście sztuki założonym w IV wieku p.n.e. przez Aleksandra Wielkiego i stolicy mongolskiego władcy Timura, a teraz przyszła kolej na posągi Buddy! Nawet Anglicy i Rosjanie uszanowali tak bogate dziedzictwo kulturalne Afganistanu. Dawniej do Bamjanu i Heratu przyjeżdżało wielu turystów...

Radio Szariat podało, że zgodnie z dekretem mułły Omara, nakazującym zniszczenie wszystkich posągów powstałych przed przyjęciem islamu, posągi Buddy w Bamjanie zostaną zburzone. Głos Ameryki nadał wywiad z przedstawicielem międzynarodowej organizacji archeologów, który oburzał się na zamach na te kolosy z V wieku, należące do światowego dziedzictwa ludzkości, oraz wypowiedź rzecznika mułły Omara, który wyjaśnił, że przedstawiają one bożków niewiernych.

„Islamski Emirat Afganistanu nie może tolerować bałwochwalstwa, dla islamu te posągi nie są wyobrażeniem żadnej wiary. Rozbijamy tylko kamienie, nic więcej”. W innej audycji Głosu Ameryki rzecznik talibów oświadczył, że nie może potwierdzić ani zaprzeczyć, iż posągi zostały już zniszczone. W ten sposób daje do zrozumienia, że byli tam przed nimi rebelianci z Sojuszu Północnego... Potem przyznaje się do zamachu na kulturę. A w Bamjanie ludzie wiedzą. Widzieli, jak talibowie strzelali z broni maszynowej i z wyrzutni raketowych do dwóch kolosów stojących w swoich grotach od piętnastu stuleci. BBC podało, że cały świat jest wstrząśnięty tym aktem wandalizmu, któremu dorównać mogłoby tylko zburzenie piramidy w Egipcie. Talibowie nie drukują nowych biletów towarzystwa Air Ariana.

Najgorsza wiadomość, jaką podało BBC w lutym 2001 roku, to zapowiedź wizyty w Paryżu ministra zdrowia, mułły Mohammada Abbasa, mającego przeprowadzić we Francji rozmowy w sprawie pomocy humanitarnej. W związku z tą oficjalną wizytą radio Szariat nie posiada się z radości! Jak mówi spiker, stanowi ona pewną formę uznania państwa talibskiego. Talib w Paryżu, w ojczyźnie praw człowieka! Minister zdrowia zakazujący kobietom wstępu do szpitali, który w 1997 roku odważył się uwięzić przedstawicielkę Komisji Europejskiej do spraw Pomocy Humanitarnej! Pani Bonino, która przybyła z wizytą do pewnej organizacji pozarządowej w Kabulu w związku z planem szybkiej pomocy finansowej, była nękana, bita w obecności towarzyszącego jej zagranicznego operatora i godzinami przesłuchiwana. Potem ją uwolniono. Jakim prawem ten talib będzie rozmawiał za granicą o kwestiach humanitarnych? Wszyscy wiedzą, że obozy dla uchodźców są zaniedbane, że z powodu suszy, warunków atmosferycznych i nieustannych ataków talibów, zwłaszcza na północy, tym nieszczęsnym ludziom brakuje wszystkiego. Farida, Soraja i ja jesteśmy wściekle i oburzone. Francuzi zapro-siliby lepiej którąś z naszych lekarek lub pielęgniarek, odsuniętych teraz od pracy.

Przed zaprowadzeniem rządów przez talibów tworzyły one trzon personelu szpitali, Ministerstwa Zdrowia, żłobków, wykonywały nieocenioną pracę na wsi, upowszechniając zasady higieny matki i dziecka, i zapewniały opiekę ginekologiczną w nagłych przypadkach. Ta wizyta to skandal! Ten talib jest tylko niewykształconym mułłą, nie jest nawet lekarzem, to marionetka Pakistańczyków. Mamę już i tak przyprawili o chorobę, a to jest jeszcze dla niej dodatkowy cios. Tego taliba przyjął nie tylko minister spraw zagranicznych, ale i przewodniczący Zgromadzenia Narodowego. To takie odrażające, że kiedy o tym rozmawiamy, jesteśmy wściekli i popadamy w coraz czarniejszą rozpacz. Jeśli Francja gości taliba, to znaczy, że ich propaganda zadziałała!

- Nie przyjęli nikogo z ruchu oporu, nie przysłali nawet dziennikarza, żeby ujawnił, co się naprawdę dzieje w Kabulu, a podejmuje taliba! To naprawdę koniec...

W tym samym czasie na stadionie w Kabulu stracono dwie Afganki uznane za winne cudzołóstwa.

Wychłostano dziesięciu niewiernych mężów. A w Fajsalabadzie, na południu Pakistanu, wystąpiło trzęsienie ziemi. Wstrząsy, odczuwane też w Kabulu, wywołały panikę.

Wydaje mi się, że my w Afganistanie znamy się lepiej na trzęsieniach ziemi niż talibowie na Koranie.

Kwiecień 2001 roku. Tym razem Głos Ameryki i BBC informują o przybyciu do Paryża komendanta Ahmada Szaha Masuda, dowódcy ruchu oporu w Pandższirze. Za pośrednictwem niezawodnej Faridy „radio ulica” donosi, że kابلczyków ogarnia jakieś niewiarygodne podniecenie. Widziano nawet ludzi słuchających w miejscu publicznym radia, i to na cały regulator, co jest absolutnie zabronione. A kiedy zjawia się w charakterze cenzora talib gotowy użyć bata, winny wykroczenia ośmiela się powiedzieć:

- Przecież nie ma muzyki! To nie jest radio irańskie! Słucham tylko wiadomości radia Szariat. Chwilami nad strachem bierze górę jakiś rodzaj szaleństwa. Paryż przyjmuje wreszcie Afgańczyka, ale czy go wysłucha? Radio Szariat najpierw całkowicie zaprzecza: „Masud nie pojechał do Paryża. To kłamstwo!”. Potem, kiedy okazuje się, że wszystkie zakazane radiostacje - a wiedzą, że słuchamy ich co wieczór po kryjomu - nie mówią o niczym innym, talibowie przeinaczają fakty na swoją korzyść: „Ten rebeliant pojechał po prostu zebrać o broń i dostanie ją. Ale i tak pobijemy go, choć będzie miał francuską broń”. Rebelianta przyjmuje minister spraw zagranicznych, potem zaprasza go Parlament Europejski, jako swego rodzaju ambasadora. Po raz pierwszy coś się wreszcie dzieje za murem stworzonym przez talibów. Stwierdzenie, że przepełnia nas nadzieja, byłoby przedwczesne. Ale jak wszyscy kابلczycy wsłuchujemy się w lakoniczne niestety informacje podawane przez BBC. Masud odbył długą rozmowę z francuskim ministrem Hubertem Vedrine'em, złożył oświadczenie w Parlamencie Europejskim w Strasburgu, prosząc o przysłanie emisariuszy, którzy stwierdziliby na miejscu, jaka jest sytuacja w Afganistanie i że gwałcone są prawa człowieka.

Niemal w tym samym czasie doktor Sima, która zorganizowała w Kabulu tajny gabinet lekarski, przekazuje mamie wiadomość.

- Szukają kobiet, które mogłyby pojechać do Paryża, żeby opowiedzieć o naszej sytuacji w Afganistanie. Jakaś organizacja francuska i pismo kobiece chcą zorganizować kampanię informacyjną. Ja nie mogę jechać, za bardzo jestem tutaj potrzebna. Powiedziałam tej organizacji, żeby skontaktowali się z tobą. Dobrze byłoby, gdyby pojechała Latifa i opowiedziała o uciśnionych kobietach, o tajnych szkołach. Relacje naocznych świadków to nasza jedyna broń. A ty powinnaś jej towarzyszyć, jesteś lekarką, nie prowadzisz praktyki z winy talibów. Jeźdźcie obie, to ważne! Najpierw spotkacie się z dziennikarkami francuskimi. Czasopismo ma tytuł Elle, jest bardzo popularne. Wystąpić też w Parlamencie Europejskim, spotkacie się z wpływowymi osobami, takimi jak pani Nicole Fontaine. Nie wolno zmarnować takiej okazji! Ja mogę jechać, ale boję się. Przede wszystkim, nigdy nie byłam na Zachodzie, nigdy nie leciałam samolotem... Od szesnastego roku życia nie wychodzę za próg rodzinnego domu. Dlaczego doktor Sima mnie wybrała? Nie tylko my trzy, z Faridą i Marjam, prowadzimy tajną szkołę.

Chociaż bardzo osłabiona i chora, mama jest raczej za przyjęciem propozycji.

- Doktor Sima ma rację. To ważne, żeby ludzie na Zachodzie wiedzieli, iż lekarki są skazane na siedzenie w domu i nic nie mogą zrobić dla chorych.

Soraja też się zgadza, chociaż niepokoją ją zagrożenia wiążące się z tak daleką podróżą.

- Latifo, życie w kraju jest takie ciężkie. Może to przyniesie nam jakąś zmianę! Doktor Sima twierdzi, że spotkacie się z ważnymi osobami.

Ojciec jest całkowicie przekonany o znaczeniu relacji naocznych świadków, ale waha się między koniecznością towarzyszenia nam w podróży, bo przecież potrzebny nam jest mahram z paszportem, a obawą o Dauda, który zostałby w domu z żoną i Sorają.



- Jedyny problem to bezpieczeństwo rodziny. Gdyby talibowie dowiedzieli się, że część rodziny jest w Paryżu, a część w Kabulu, mogliby nas rozłączyć, a sytuacja stałaby się niebezpieczna. Decyzję podejmujemy w uzgodnieniu z przyjaciółmi. Pojedziemy we trójkę, mama, tata i ja, z jeszcze jedną dziewczyną, Dibą, która też potajemnie uczy dzieci. Jeden z jej kuzynów, mający paszport, podejmuje się towarzyszyć jej do Islamabadu. Postanawiamy, że pojedziemy minibusem Coaster do Peszawaru. Nasze wizy są ważne, bo niedawno, jadąc z mamą na leczenie, przekraczaliśmy granicę pakistańską. 28 kwietnia około godziny piątej rano pod dom zajechała taksówka, żeby zawieźć nas na dworzec autobusowy. Diba z kuzynem dołączyła do nas w Pakistanie, bo muszą jeszcze załatwić coś związanego z wizą i paszportem. Oficjalnie udajemy się do Pakistanu w związku z chorobą mamy. Zostawić Dauda, Marjam, Soraję w kabulskim więzieniu to ciężkie przeżycie. A i podróż będzie trudna przez ten ciągły strach, że mogą nas bez powodu odesłać albo zatrzymać, strach tym większy, że wieziemy ze sobą tajemnicę. Oczywiście nic nie zdradza naszego ostatecznego celu. Dostaliśmy proste instrukcje: mamy jechać do Peszawaru, potem do Islamabadu, a kiedy znajdziemy się w stolicy Pakistanu, skontaktować się telefonicznie z ambasadą Afganistanu w Paryżu. Dowiemy się, gdzie odebrać opłacone bilety lotnicze. Później pójdziemy do ambasady Francji w Islamabadzie po wizy francuskie. Potem, jeśli wszystko dobrze pójdzie, polecimy samolotem Emirates Airlines do Paryża, z międzylądowaniem w Dubaju. Na przejściu granicznym żołądek podchodzi mi do gardła. Czekamy trzy kwadranse. Pakistańczycy każą wysiąść z innego minibusa podróżnym pochodzenia hazardzkiego, niespiesznie sprawdzają ich paszporty i wreszcie ich przepuszczają. Po kontroli granicznej wsiadamy znowu do samochodu i jedziemy do Peszawaru, gdzie zatrzymujemy się na jeden dzień w hotelu. Nie wiem, jak kuzyn Diby tak szybko zdobył paszport i wizę pakistańską dla nich obojga, w każdym razie zdążyli na czas. Muszę zadzwonić do ambasady Afganistanu w Paryżu, numer telefonu mam zapisany na skrawku papieru. Osoba, z którą rozmawiam, jest ostrożna, nie mówi jasno, pyta, kim jestem, czy wszyscy już są, oddzwonimy jutro... Domyślam się, że sprawdzają naszą tożsamość, bo obawiają się, że są na podsłuchu. Odkładałam słuchawkę i czekamy do następnego dnia. Tym razem wszystko jest jasne.

- Możecie jechać! Proszę zapisać nazwę agencji i adres, numery biletów. Czekają już na was. Ruszamy do Islamabadu, to trzy godziny drogi. Nie znam stolicy Pakistanu, ale nie mam serca do zabawy w turystkę. Ta przygoda przerasta mnie do tego stopnia, że jestem przygotowana na wszystko, nawet na najgorsze. Pierwszy powód zaniepokojenia: mężczyzna w agencji podróży patrzy ze zdziwieniem na numery biletów.

- Te numery się nie zgadzają. Nie ma rezerwacji na takie numery...

Wychodzimy, nasz niepokój się nasila. A jeśli to pułapka, jeśli sprawdzają w ten sposób naszą tożsamość? Nie mam pojęcia, trzeba znowu zadzwonić do Paryża i wyjaśnić sprawę.

- Ach... Przepraszam, podano wam złe numery biletów, to pomyłka. Może pani zanotować?

Wracamy do agencji. Tym razem otrzymujemy bilety. Teraz możemy iść do ambasady Francji po wizy. Kiedy zjawiamy się przed ambasadą, jestem zdumiona, widząc, że czeka tyle ludzi. Na nas też ktoś czeka, tylko kto? Co zrobić, żeby ominąć kolejkę?

Pytam po pakistańsku strażnika, a on odpowiada:

- Trzeba się umówić!

Wobec tego zwracam się po angielsku do innego, stojącego bliżej drzwi.

- Muszę zobaczyć się z kimś w ambasadzie. Ten rozumie od razu.

- Tak, jesteście umówieni, czekają na was, możecie wejść.

Prowadzi nas. Mówi coś do kolegi, potem dzwoni, żeby nas zapowiedzieć.

Po kilku minutach jesteśmy już w gabinecie jakiegoś Francuza, który liczy nas, nieco zaskoczony. Rozmawia po angielsku z kuzynem Diby, który mówi lepiej ode mnie, ale rozumiem, co próbują sobie wyjaśnić.

- Jest was pięcioro, a wyjeżdża tylko czworo!

Dlaczego jest jedna osoba więcej? Nic mi o tym nie mówiono!

- Ja nie wyjeżdżam, proszę pana, towarzyszę tylko kuzynce.

Francuz, uspokojony, daje nam formularze z wnioskiem o wizę.

- Nie musicie wypełniać wszystkiego. Wpiszcie tylko najważniejsze dane. Na jak długo potrzebne wam jest zezwolenie na pobyt?

- Tydzień, może lepiej dziesięć dni...

W ciągu kilku minut wydano nam przepisowe francuskie wizy, podczas gdy ludzie czekający na zewnątrz nie otrzymują ich przed upływem wielu miesięcy, jeśli w ogóle je dostaną... A już absolutną rzadkością jest uzyskanie wiz dla czterech osób równocześnie.

Mężczyzna żegna się i życzy nam szczęśliwej podróży.

Pierwszy etap mamy za sobą. Na lotnisku w Islamabadzie kuzyn Diby żegna się z nami, przechodzimy przez odprawę bagaży i stawiamy się do kontroli wizowej. Policjant patrzy na nas podejrzliwie. Truchleję ze strachu.

- To dziwne... Dwa paszporty i cztery wizy? Jak to? W jaki sposób uzyskaliście wizy? To ciekawe, że ambasada Francji wydaje cztery wizy w ten sposób... To ciekawe...

Pada przygotowana odpowiedź:

- Jedziemy spotkać się we Francji z młodymi kobietami afgańskimi. To jest mój ojciec, towarzyszy nam w podróży.

- Jakimi młodymi kobietami? Dlaczego? Powiedz jasno, co to za ludzie? Co zamierzacie robić?

- Jedziemy na zaproszenie Stowarzyszenia Młodych Afganek. Ojciec nam towarzyszy...

Policjant marszczy brwi i idzie po kogoś. Tak się boję, że zajrzy nam do toreb i znajdzie burki! To byłby dowód, że przyjechalśmy z Afganistanu. Burki musiałyśmy mieć na sobie do granicy i zachować je na drogę powrotną. A bywało już, że wydalano z ich powodu młode kobiety. Jeśli je znajdzie, trudno, powiem, że często je nosimy, a jeśli chce, niech je sobie zabierze!

Rozglądam się wokół w poszukiwaniu pomocy, kogokolwiek... Widzę jakiegoś mężczyznę w mundurze służby lotniskowej, zwracam się do niego nieśmiało:

- Proszę pana, bardzo przepraszam, to moja pierwsza podróż. Pan jest w wieku mojego ojca... Czy nie mógłby pan powiedzieć temu policjantowi, żeby nam nie robił trudności?

- Pogadam z nim... Ten rzeczywiście lubi się czepiać...

Podchodzi do policjanta rozmawiającego z jakimś innym, trochę dalej. Jeden z pasażerów ostrzega ojca:

- Ten policjant chce pieniędzy...

- Nie zapłacę... nie mam pieniędzy... nic mu nie mogę dać. Jeśli nam nie pozwoli jechać, to nie pojedziemy.

Mężczyzna wraca z policjantem i wskazując na mnie, mówi miłym głosem:

- Popatrz na nią... Puść ją, co złego może zrobić? Jest młoda... Jak moja córka. Daj jej spokój.

Policjant zwraca nam paszporty i wizy, możemy przejść za barierkę, ale tata nie przestaje z daleka obserwować urzędnika, który patrzy na nas złym wzrokiem. Niezbyt uważnie sprawdza paszporty innych podróżnych. Odwracam się do niego tyłem, żeby się więcej nie denerwować. Tata uspokaja nas:

- Nie martwcie się. Papiery są najzupełniej w porządku, wszystko jest jak należy, nic nam nie może zrobić.

Godzina oczekiwania w tej sali, z tym człowiekiem, który nie spuszcza nas z oczu, to długo. Wydaje się, jakby zastanawiał się, co może zrobić, żeby nas zawrócić.

Wreszcie z ulgą przechodzimy do sali, gdzie czeka się przed wejściem na pokład. Jest tu restauracja i toalety.

Pijemy herbatę, a Diba idzie się odświeżyć.

Obserwuję mamę, wszystkie moje myśli skupione są wokół niej. Mam nadzieję, że dobrze zniesie niewygody podróży, wytrzyma ciśnienie, jakie stwarza sytuacja. Zapowiadają lot do Paryża, na płycie czeka na nas autobus, trzeba jeszcze przebyć tę odległość, mając nad głową napelniające nas takim lękiem pakistańskie niebo. Będę się bała, dopóki samolot nie wystartuje. Nawet kiedy siedzę już w samolocie, choć napięcie nerwowe powinno trochę osłabnąć, doznaję zawrotu głowy. Silniki zostają uruchomione i maszyna odrywa się od ziemi. Czuję się taka słaba...

Siedzimy pośrodku kabiny, i bardzo dobrze, bo nie chcę oglądać Pakistanu nawet z wysoka. Lecimy do Dubaju, gdzie przesiądziemy się na inny samolot, potem będzie Paryż. Powinnam tylko o tym myśleć.

Postój w Dubaju jest okropny. Wszyscy pasażerowie są już na pokładzie, a my nadal czekamy, policjant skrupulatnie sprawdza nasze dokumenty.

- Wy! Stańcie z boku... Poczekajcie!

Czekamy, podróżni przechodzą i wszystko zaczyna się od nowa. Powinnam zadzwonić do ambasady Francji... Nie, to by nie było rozsądne. W końcu telefonuję, żeby powiedzieć, iż nie wiemy, czy uda nam się wylecieć z Dubaju.

Mama powtarza mi, co mam mówić, jeśli będą mnie pytać. Jedziemy do Francji, bo muszę się leczyć, powiesz, że jestem chora.

Policjant patrzy na mnie z nieprzeniknioną miną.

- Gdzie jest dokumentacja lekarska?

- W bagażach, w samolocie.

- Do jakiego lekarza się wybieracie?

- Jeszcze nie wiemy.

- Jak to? Nikogo tam nie znacie? To wasza pierwsza podróż, w paszporcie nie ma innych pieczęci. Nie ma też miejsca pracy ojca. Skoro ojciec nie pracuje, czym opłaciliście podróż?

- Sprzedaliśmy dom, żeby zdobyć pieniądze i moc leczyć mamę.
- Sprzedaliście dom? Więc nie wracacie?
- Wracamy, oczywiście. Gdybyśmy mieli nie wracać, zabralibyśmy wszystkie rzeczy, a wzięliśmy tylko to, co potrzebne na tydzień.
- Macie pieniądze na leczenie?
- Ojciec ma czterysta dolarów i trochę rupii pakistańskich.
- A jeśli to nie wystarczy?
- Ojciec każe sobie przysłać z Pakistanu. Policjant sprawdza pieniądze, liczy banknoty.
- Nie ruszajcie się stąd. Nic nie rozumiem, ta wiza jest dziwna.

Zostaliśmy już tylko my i jakiś Japończyk. Podchodzi do nas inny policjant, powtarzam wyjaśnienia, oddala się, żeby do kogoś zadzwonić, a kiedy wraca, mówi:

- W porządku. Możecie przechodzić.

Kiedy samolot do Paryża startuje, zapadam się w fotel. Lepiej nie myśleć, co będzie się działo podczas powrotu.

W Paryżu wszystko jest proste. Czekają na nas jakiś pan, jest charge d'affaires w ambasadzie. Przedstawia nam Francuzki, które zorganizowały całą naszą podróż: Marie-Francoise i Catherine z czasopisma Elle, Szekebę, przewodniczącą stowarzyszenia Wolny Afganistan, która będzie naszą przewodniczką i tłumaczką, i jej koleżankę Marjam. Mama zna kilka słów po francusku, powiedziała „bonjour”. Ja nie umiem powiedzieć nawet tego. Szekeba tłumaczy, że ze względu na nasze bezpieczeństwo na lotnisku nie było kamer ani fotografów i że wszędzie, gdzie znajdziemy się we Francji, powinniśmy podawać przybrane nazwiska. Odtąd ja nazywam się Latifa i takim imieniem podpiszę moją relację.

Pierwsze, na co zwracam uwagę po wyjeździe z lotniska, to wysokie budynki, jakie widziałam tylko na filmach. Później wieża Eiffla. Spodziewałam się, że Paryż wyda mi się wspaniały, i jest rzeczywiście wspaniały. Wpadliśmy w wir - najpierw hotel, potem studio telewizyjne, gdzie uspokajają mnie, że moja twarz na ekranie będzie nieostra i że nie będzie można mnie rozpoznać. Na początku rozmowy zachowuję się nieśmiało, a Szekeba tłumaczy moje wypowiedzi. Nazajutrz wyjeżdżamy pociągiem do Parlamentu Europejskiego. Oto więc mama, Diba i ja stałyśmy się ambasadorkami naszego biednego kraju. Szekeba opowiada mi o wizycie w Paryżu komendanta Masuda; wie oczywiście o wiele więcej ode mnie na ten temat. Poprosił ministra spraw zagranicznych o pomoc humanitarną, a uzyskał tylko symboliczne wsparcie, żadnej obietnicy pomocy. W Strasburgu, gdzie spotkał się z przewodniczącą Parlamentu Europejskiego, Nicole Fontaine, nie prosił ani o broń, ani o obecność obcych wojsk w Afganistanie, tylko o wsparcie Francji dla ruchu oporu przeciwko sprawującym władzę tali-bom, żeby zmusić ich do negocjacji pokojowych i wypracować rozwiązanie polityczne. Pani Fontaine potraktowała komendanta Masuda jak rozmówcę o szczególnym znaczeniu w procesie pokojowym. Masud udał się następnie do Brukseli, gdzie spotkał się z wysokim przedstawicielem Unii Europejskiej do spraw polityki zagranicznej, Javierem Solaną. Szekeba mówi, że wsparcie, jakie udało mu się uzyskać, jest mizerne, ale pewna gazeta \* zamieściła podpisany przez niego apel, w którym omawia problem przebiegu granicy między Afganistanem i Pakistanem, pisze o rosnącej roli tego kraju, który chce stać się mocarstwem w tym regionie świata, a z Afganistanu uczynić swego satelitę, otwierając sobie tym samym bezpośredni dostęp do Azji Środkowej. Szekeba pokazuje mi niektóre fragmenty z zakończenia tego tekstu. „Talibowie wymordowali tysiące ludzi z powodu ich przynależności etnicznej i religijnej. Prowadzą czystkę etniczną... Można uznać, że Afganistan przeżywa tragedię, która łatwo może ogarnąć cały region, tym bardziej że Pakistańczycy i talibowie wspierają i szkolą całą mgławicę terrorystów zagrażającą krajom sąsiednim... Pragnąłbym, aby po naszym zwycięstwie nad komunizmem okazano nam wdzięczność i byśmy uzyskali pomoc w leczeniu naszych ran. Niestety, Pakistan wbił nam nóż w plecy, Waszyngton zaufała Islamabadowi, a Europa wybrała obojętność. Aby położyć kres tej tragedii, wspólnota międzynarodowa może zwiększyć pomoc humanitarną dla narodu afgańskiego, a z drugiej strony wywierać nacisk na Pakistan, żeby zaprzestał ingerencji w Afganistanie”. Podczas gdy mężczyźni rozprawiają o polityce, mama, Diba i ja możemy mówić tylko o kobietach, uciśnionych, pozbawionych praw, głosów, wytypowanych na ofiary systematycznej czystki. Nie wolno im pracować, nie wolno uczyć się ani pokazywać.

\* Chodzi o Courrier International

W naszym kraju, gdzie mężczyźni zdziesiątkowała trwająca od dwudziestu lat wojna, gdzie tyłu ich zostało kalekami albo wygnańcami, kobiety są skazane na wdowieństwo i żebranię. Kto wie, czy pewnego dnia czystki nie doprowadzą do tego, że, zniewolone, przyglądać się będziemy ostatecznemu upadkowi tak starego i dumnego kraju; czy jako matki nie będziemy zmuszone wydawać na świat synów talibów. Muszę, wszystkie trzy musimy walczyć, musimy powiedzieć, że nie godzimy się na utratę godności, że chcemy przywieźć z Francji tę wolność, której ja nigdy nie zaznałam przez dwadzieścia lat życia. Jesteśmy dumnym narodem, nasz kraj ma bogatą historię. Chciałabym zanieść mu wolność. Szekeba z naszą czeredką w burkach obesza więc ważne osoby. Przyjęli nas Nicole Fontaine, Raymond Forni w Zgromadzeniu Narodowym, Christian Poncet w Senacie i minister do spraw współpracy z zagranicą, pan Josselin. Przyjechałam z rodzicami i Dibą 2 maja 2001 roku. Mieliśmy wracać po dziesięciu dniach, ale „objazd ambasaderek” trwał dłużej, niż zaplanowano, i musieliśmy prosić o przedłużenie wiz. Pod koniec maja czuję rozczarowanie. Gdybym nie spotkała dziennikarek z Elle, gdybym nie widziała ich łez, gdyby nie okazały nam wsparcia i przyjaźni, nie urządziły ulicznej manifestacji, chyba bym żałowała, że ta misja ambasaderek kobiet af-gańskich w ogóle miała miejsce. Odniosłam wrażenie, że to niczego nie zmieni. Ojciec, jak zawsze optymista, powtarza mi ciągle, jakie to mieliśmy szczęście, że zobaczyliśmy Francję, spotkaliśmy się ze wszystkimi tymi osobami i że nasze słowa nie były głosem wołającego na pustyni. Że któregoś dnia wydadzą owoce.

- Nie robiłyście tego na darmo, uwierz mi. Kobiety słuchają kobiet, wasze relacje pozwolą im zrozumieć, do czego zmuszają was talibowie. Kobieta nie jest nikim. Jeśli talib mówi do kobiety, że jest nikim, a on wszystkim, to znaczy, że jest ignorantem. Każdy mężczyźna rodzi się z kobiety, każdy święty człowiek ma matkę, wszyscy na świecie zostali poczęci w ciele kobiety. Powinnaś pamiętać to afgańskie porzekadło: Jeśli perła powie ostrydze, że jest niczym i że to ona wszystko robi, ryba może równie dobrze powiedzieć niebu, żeby przestało zsyłać deszcz.

Ostatniego dnia maja w ambasadzie czeka na nas faks od Dauda. Pojechał do Pakistanu, żeby go nadać. Zawiadamia, że talibowie obłożyli fat-wą wszystkie kobiety występujące przeciwko ich reżimowi. Po powrocie do Kabulu dowiedział się, że talibowie zdewastowali nasze mieszkanie. Nie chciał ryzykować i sprawdzać tego osobiście, zresztą sąsiedzi go uprzedzili, że oni się tam sprowadzili. Straciliśmy wszystko. Wszystkie nasze pamiątki, zdjęcia rodzinne, obrazy wujka, tak skrzętnie ukryte przez mamę, na osiedlu Mikrorajan nie został ślad po naszej rodzinie. Wzrok taty i mamy, utkwiony w pustce naszego dawnego życia, przeszywa mi serce. Czuję się winna. Nie możemy już wrócić do Kabulu. Nieszczęście potwierdza pracownica ambasady:

- Obłożyli was fatwą, nie wiedząc nawet, kim jesteście. Mówią, że kobiety, które znalazły się we Francji, opowiadają same kłamstwa i że jeśli wrócą, zabiją je. Taki tekst umieszczono w Inter-necie.

To po to tyle ryzykowaliśmy! Tym razem nawet ojciec traci ducha.

- Owszem, przyjęli was we Francji - przyznaje - ale co to dało?

Jestem załamana. Czekam teraz wyczekiwania na przedłużenie wiz, szukanie kąta u innych uchodźców, a na pytania, jakie lęgną nam się w głowach, nie ma odpowiedzi. Jestem tutaj, żyję. Ale co ze mną będzie? Znalazłam się w kraju, którego języka nie znam, mama błądzi w swoim świecie nieszczęścia i niemego cierpienia. Ojciec wszystko stracił, jego dwoje dzieci jest w Pakistanie, jeden syn w Rosji, jedna córka w Stanach Zjednoczonych. Rodzina rozpadła się, rozproszyła. Tylko ja z nim zostałam. Jego najmłodsza córka. Jak się dalej uczyć? Gdzie teraz żyć? Gdzie zaczynać od.nowa? I co zaczynać? Przyszłość jednak pokaże, że nie jesteśmy osamotnieni: otrzymamy wsparcie od społeczności afgańskiej, od naszej ambasady i, oczywiście, od naszych przyjaciółek dziennikarek, które pomogą nam w rozwiązaniu problemów z dokumentami, z mieszkaniem... Dano mi okazję napisania tej książki. Pozostała mi nadzieja, że zdołam wytłumaczyć, dlaczego się tu znalazłam.

Ja, dziewczyna z Kabulu, wychowana za okupacji radzieckiej, w czasach kolejnych rządów komunistycznych, zmieniających się w ciągu trwającej cztery lata wojny domowej, a potem zamknięta w czterech ścianach przez potworną władzę i pozbawiona w wieku szesnastu lat prawa do życia.

W moim kraju nadal, nieprzerwanie, biją się Af-gańczycy. Uchodźcy na granicy z państwami sąsiadującymi z Afganistanem cierpią bardziej ode mnie, wiem o tym. Cóż mogę zrobić, jeśli nie opowiedzieć, czym było życie mieszkanki Kabulu, po którym nie zostało nic oprócz ruin?

9 września 2001 roku: w swojej kryjówce w Pan-dższirze komendant Masud pada ofiarą zamachu rzekomych dziennikarzy-samobójców. Nie wiadomo, czy żyje.

11 września: Amerykę ugodzono w samo serce. 13 września: Ahmad Szah Masud nie żyje. 7 października: Amerykanie rozpoczynają wojnę z talibami. Kończę moją skromną opowieść w godzinie, kiedy broń przemawia za nas. Jak zawsze. W naszym języku azadi znaczy wolność. Ale kto w Afganistanie ma głos? Już nie wiem.

# Podziękowania

Wyrażam moją głęboką wdzięczność: czasopismu Elle, które udzieliło nam wydatnej pomocy, kiedy w maju 2001 roku opuściliśmy Afganistan i przybyliśmy do Francji, a zwłaszcza Marie-Francoise Colombani, która broni naszej sprawy z wielkim przekonaniem, i Valerie Toranian;

Szekebie Haszemi, która wspomagała mnie w pisaniu tej książki i poświęciła życie sprawie kobiet afgańskich. Powołane przez nią w 1994 roku we Francji stowarzyszenie Wolny Afganistan prowadzi zbiórkę darów, z których ma być finansowana budowa szkół i szpitali w naszym kraju; Hakimowi Saeedowi, który bardzo mi pomógł, tłumacząc moje słowa na francuski.

Dziękuję również gorąco za ich zachętę panu i pani Masstan i wszystkim moim przyjaciołom.

# Słowniczek

**CZADOR:** chusta noszona przez kobiety muzułmańskie, okrywająca głowę i ramiona.

**CZADRI:** szata muzułmanek w ciemnym kolorze, składająca się z zasłony z nieprzezroczystej tkaniny doszytej do czepeczka, z haftowaną siatką na wysokości oczu. Ta zasłona, różnej długości, może okrywać tylko ramiona albo spływać aż do kostek, wtedy określa się ją mianem burki, ale noszona jest tylko w odległych prowincjach \*.

\* Docent Jolanta Sierakowska-Dyndo inaczej definiuje słowa czador, czadri i burka:

Czador to strój muzułmanek, duża chusta okrywająca całą postać, od głowy aż do kostek. W Afganistanie czadory zostały w XIX w. „zmodyfikowane”. Kobiety zaczęły nosić stroje zwane borgha (j. dari: woalka, zasłona na twarz) zasłaniające także twarz. Miały ją skrywać przed okupującymi Afganistan wojskami brytyjskimi. Borgha jest obszerną, plisowaną chustą z nieprzezroczystej, cienkiej tkaniny, doszytą do haftowanego czepeczka w tym samym kolorze. Strój sięga do kostek, z przodu jest nieco krótszy - za kolana; na wysokości oczu i nosa jest haftowana siatka, przez którą kobiety mogą patrzeć, same nie będąc widzianymi. Borgha noszona była w całym Afganistanie, szczególnie w miastach. Na wsi kobiety częściej nosiły zwykłe czadory, niezasłaniające twarzy.

Czadri, w Afganistanie to mała chusta lub szal zakrywający włosy.

**DZIHAD:** święta wojna w obronie islamu lub muzułmanów; w pierwotnym znaczeniu dżihad to „wysiłek” podejmowany przez każdego, kto stara się doskonalić od strony moralnej i religijnej.

**FATWA:** odpowiedź, jakiej na pytanie w kwestii prawnej udziela autorytet uznany przez społeczność muzułmańską. Taki mający moc dekretu wyrok może być nawet orzeczeniem kary śmierci.

**MAHRAM:** mężczyzna-opiekun kobiety; może nim być ojciec, brat lub mąż, ostatecznie kuzyn.

**MODŻAHEDINI:** bojownicy o wiarę, członkowie islamskiego ruchu oporu w Afganistanie podczas okupacji radzieckiej (1979-1989).

**MUŁŁA:** przywódca religijny, duchowny muzułmański.

**PAKOL:** tradycyjny beret afgański.

**PASZTUNOWIE:** większościowa grupa etniczna w Afganistanie, gdzie rywalizują ze sobą zwaśnieni Hazarzy, Uzbeki, Pasztunowie, Tadžycy i Turkmeni.

**SZARIAT:** zbiór zasad zawartych w świętych księgach islamu, a dotyczących życia religijnego, politycznego, społecznego i prywatnego muzułmanów.

**TALIBOWIE:** uczniowie kształceni w pakistańskich szkołach koranicznych, powołują się na przynależność do szkoły filozoficznej z centrum w Deobandzie. Ten ortodoksyjny odłam islamu, głoszący uwolnienie od wszelkich obcych wpływów i nakazujący ściśle przyjętą interpretację przesłania Koranu, powstał pod koniec XIX wieku w mieście Deoband, na północy Indii, gdzie korzystał ze wsparcia Anglików, którzy szukali silnego ruchu religijnego mogącego stanowić przeciwwagę dla hinduizmu.

# Krótkie kalendarium

1919: ogłoszenie niepodległości Afganistanu 1921: traktat kabulski kładzie kres ingerencji brytyjskiej 1933-1973: panowanie Mohammada Zahera Szaha 1959: noszenie czadom staje się dobrowolne 1964: kobietom przyznano czynne prawo wyborcze 1965: pierwsze wybory parlamentarne 1973: obalenie monarchii przez Mohammada Dauda, powołanie przez niego Republiki Afganistanu, na której czele staje jako prezydent 1978: zamach stanu i utworzenie Demokratycznej Republiki Afganistanu, inspirowanej przez komunizm. Nur Moham-mad Taraki zostaje prezydentem, a Hafizullah Amin premierem. Reformy narzucone bezwzględnie społeczeństwu afgańskiemu, silnie przywiązanemu do tradycji, wywołują powstanie, któremu przewodzą ruchy islamskie, co prowadzi do destabilizacji reżimu.

1979: wojskowa interwencja ZSRR. Organizuje się partyzantka modżahedinów. Wojna partyzancka z armią radziecką i pozostającymi pod jej kontrolą wojskami afgańskimi będzie trwała dziesięć lat. Prezydenturę sprawują kolejno Babrak Karmal (1979-1986) i doktor Nadżibullah (1986-1992).

Kwiecień 1988: podpisanie układów zawartych w Genewie pod egidą ONZ przez rząd afgański, ZSRR, Pakistan i Stany Zjednoczone; określają one kalendarz wycofywania wojsk radzieckich.

1989: koniec ewakuacji oddziałów radzieckich. Początek wojny domowej między modżahedinami należącymi do różnych grup etnicznych; zwaśnionymi oddziałami dowodzą m.in. Tadżyk Ahmad Szah Masud i Pasztun Gol-buddin Hekmatjar.

Marzec 1992: siły komendanta Masuda zdobywają prowincje na północy.

Kwiecień 1992: zdobycie Kabulu przez modżahedinów Masuda. Proklamowanie Islamskiego Państwa Afganistanu, którego prezydentem będzie przez dwa miesiące Seb-ghatullah Modżaddidi, zastąpiony w czerwcu przez Bur-hanuddina Rabbaniego. Nasilenie się wojny domowej między siłami komendanta Masuda i ekstremistami islamskimi wspieranymi przez Pakistan. Talibowie odnoszą pierwsze zwycięstwa na południu (zajęcie Kandaharu w 1994 roku).

Wrzesień 1995: talibowie zajmują Herat.

Wrzesień 1996: talibowie zajmują Dżalalabad i Kabul.

1997-1998: talibowie kontynuują marsz na północ. Kilkakrotnie zajmują i tracą miasto Mazar-e Szarif; w sierpniu 1998 roku zdobywają je ostatecznie.

Komendant Masud wycofuje się do doliny Pandższiru i jako jedyny stawia opór talibom.

9 września 2001: zamach na Ahmada Szaha Masuda; 13 września oficjalna wiadomość o jego śmierci.

11 września 2001: zamach na World Trade Center w Stanach Zjednoczonych.

7 października 2001: początek amerykańsko-brytyjskiej interwencji zbrojnej w Afganistanie.

Dary na rzecz stowarzyszenia Wolny Afganistan (Afghanistan Libre) można przesyłać na adres:

80, avenue Aristide-Briand

92160 ANTONY, France

tel.: 33 (0) 1 42 72 16 43; faks: 33 (0) 1 46 68 58 55

afghanlibre@hotmail.com CCP La Source 4060 932 X Internet: afghanistan-libre.org